

ZYCHOWICZ O IRVINGU:

**Dlaczego rząd spełnia
wolę Izraela**



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)

NR 14/317 1-7 KWIETNIA 2019

**Gociek doradza rodzicom:
Najlepsze filmy dla dzieci**

**KATASTROFY BOEINGÓW, CZYLI
RYZIKO SZTUCZNEJ INTELIGENCJI**



**Łysiak o dziurawej sztuce
Henry'ego Moore'a**

MIT 200 TYSIĘCY

**Kto próbuje obciążyć Polaków
zbrodniami Hitlera**

ŚLEDZTWO „DO RZECZY”



ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 78 tys. egzemplarzy
14>

MARK BOWDEN

powraca z nową książką!

*Porywająca, wciągająca i brutalnie
prawdziwa rekonstrukcja najkrwawszej
bitwy wojny wietnamskiej!*



WP
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

GAZETA
wyborcza

Newsweek
HISTORIA

PATRONI MEDIALNI:
TOK Przewodnik
Radio
Informacyjne

Kandydat **ponad** podziałami



PAWEŁ LISICKI

Niemal codziennie słyszę, jak to strasznie PiS dzieli Polaków. Że niby już ze sobą nie rozmawiają przy stole, kłócą się, awanturują, patrzeć na siebie nie mogą. Mało kto jednak zauważył odwrotną rolę, jaką od pewnego czasu zaczęła odgrywać partia rządząca.

Otóż śmiej się, że perspektywa pozostania PiS u władzy doprowadziła do wielkiego porozumienia sił i ruchów do tej pory, wydawałoby się, nie do pogodzenia. Czy ktoś mógł sobie bowiem jeszcze kilka miesięcy temu wyobrazić, że Grzegorz Schetyna umieści na pierwszym miejscu na liście warszawskiej Koalicji Europejskiej Włodzimierza Cimoszewicza? Że były antykomunista, niegdyś zwolennik ustawy dekomunizacyjnej (tak, to prawda), zgodzi się, by listę kandydatów w Warszawie otwierał były komunista, prominentny działacz PZPR, ktoś, kto po 1989 r. publicznie w obronie dawnych towarzyszy występował? To się nazywa pojednanie ponad podziałami.

Nigdzie chyba wyraźniej niż w Warszawie nie widać, jak mocno obecna Platforma stała się partią obrony interesów establishmentu III RP. Jak bardzo establishment ten łączy środowiska

postkomunistyczne i postsolidarnościowe. W tym sensie kandydatura Włodzimierza Cimoszewicza to swoisty symbol, ukoronowanie drogi rozpoczętej przy Okrągłym Stole.

Jeśli komuś mogło się wydawać, że zwycięstwo PiS w 2015 r. nauczyło elity III RP pokory, roztropności, że wywołało refleksję, samokrytycyzm, że stało się lekcją i przyniosło otrzeźwienie, to myli się głęboko. Ci ludzie nic nie zrozumieli. Nic nie pojęli. Niczego się nie nauczyli. Nie dostrzegli, jak ważną rzeczą dla Polaków była kwestia godności i obrony tożsamości. Dla nich to wszystko rzeczy bez znaczenia, bez wagi. Pod tym względem warto słuchać Cimoszewicza, bo jest konsekwentny. Dla niego siła Jarosława Kaczyńskiego polega na „wykorzystywaniu ignorancji dużej części społeczeństwa. Ludzie pozwalają sobą manipulować, nie są zdolni do samodzielnego i krytycznego zastanawiania się nad dowolnymi, bardziej złożonymi problemami”. Po prostu Polacy to idioci, którzy dali się straszniemu Kaczyńskiemu omamić i kupić. Nie są w stanie myśleć i rozumować samodzielnie.

Polacy jednak nie tylko są mało rozgarnięci. Cimoszewicz nie dostrzega problemu, jakim jest atak

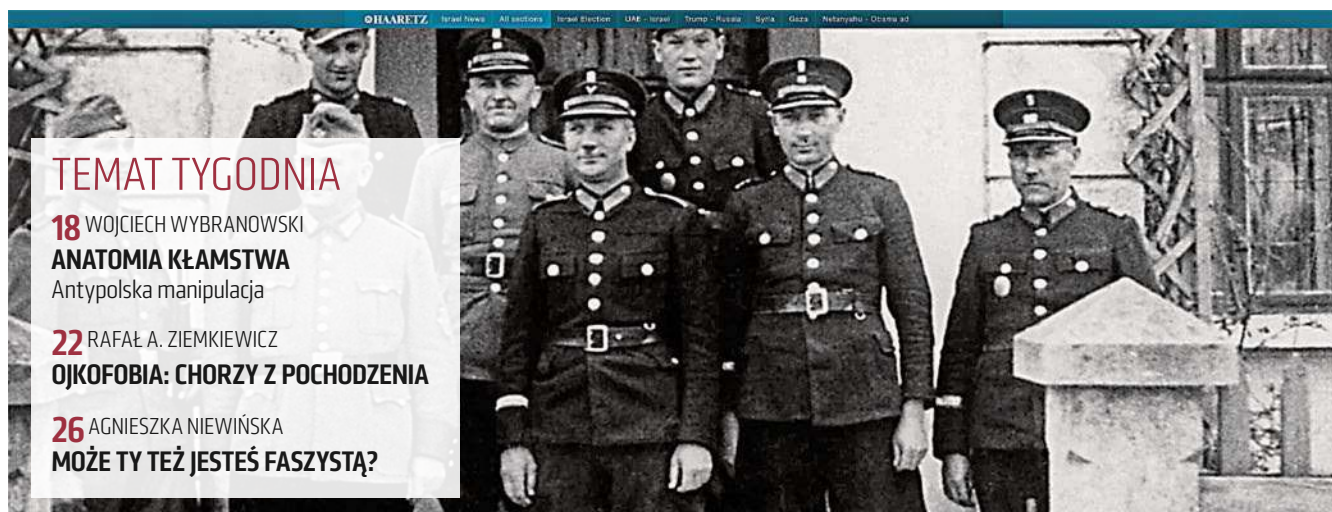
na polską pamięć. Wszystko to są jego zdaniem problemy urojone: „Wmawia się ludziom, że Polska jest nieustannie kłamliwie atakowana i pomawiana”. Konflikt polsko-żydowski dotyczący oceny przeszłości... nie istnieje. To wytwór propagandy PiS, jak wynika z wywiadu, którego udzielił przed rokiem „Rz”. Według lidera listy KE w Warszawie jakiegokolwiek wiązanie problemu roszczeń żydowskich z krytyką postępowania Polaków w czasie II wojny światowej to... przejaw antysemityzmu. Kandydat Grzegorz Schetyna uważa, że „Polacy brali udział w Holokauście”, że „antysemityzm był i pozostaje w naszym kraju endemiczny. Różnice dotyczą tylko jego natężenia i jawności w różnych okresach”. Brzmi to dokładnie tak samo jak stwierdzenie Israela Katza, że „Polacy wysłali antysemityzm z mlekiem matki”, przynajmniej ja nie jestem w stanie dostrzec różnicy między „antysemityzmem wysykanym” a „antysemityzmem endemicznym”, czyli charakterystycznym dla Polaków. Tak samo, jak nie widzę różnicy między zagrajnymi radykałami atakującymi Polskę i kandydatem Koalicji w Warszawie: „PiS od zawsze flirtował z nacjonalizmem. Wielu z nich pewnie po prostu jest nacjonalistami. W tej atmosferze wszelkie formy rasizmu i ksenofobii muszą kwitnąć”. To, że większość polityków PiS to antysemita, Cimoszewicz powiedział z kolei w wywiadzie dla „Newsweeka”.

Już nie mogę się doczekać tych wystąpień Cimoszewicza w Parlamencie Europejskim, kiedy to pospół z Janem Tomaszem Grossem i przedstawicielami nowej polskiej szkoły historii będzie piętnował polski endemiczny antysemityzm, nacjonalizm i ksenofobię. A może razem z panem Katzem? Toż to będzie dopiero dialog. Naprawdę Grzegorzowi Schetynie za to, że obdarował Warszawę tak wspaiałym kandydatem, należą się wielkie podziękowania. ©©

RYСУNEK TYGODNIA

*Słyszacieś, „Gazeta Wyborcza”
wygrywa przedwczesne wybory
do Parlamentu Europejskiego!*





TEMAT TYGODNIA

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI

ANATOMIA KŁAMSTWA

Antypolska manipulacja

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

OJKOFOBIA: CHORZY Z POCHODZENIA

26 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

MOŻE TY TEŻ JESTEŚ FASZYSTĄ?

KRAJ

28 ROZMOWA

Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM

TYLKO PIS OBRONI POLSKĘ

Znam Europę lepiej niż Koalicja Europejska

31 PIOTR SEMKA

POLSKA DZIELNICOWA – REAKTYWACJA

34 KAMILA BARANOWSKA

CHODZI O KOMPETENCJE?

36 RADOŚLAW WOJTAS

VERHOFSTADT POD SĄD?

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

JAK ONI CHUDNĄ

KULTURA

40 WALDEMAR ŁYSIAK

HENRY MOORE, KRÓL DZIUR

Wystawa prac Henry'ego Moore'a w Polsce

48 PIOTR GOCIEK

KRESKĄ PO GŁOWIE

51 JOANNA LICHOCKA

ZUPA BRZECZEWY

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE



60 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM DĘBSKIM

WIĘCEJ US ARMY W POLSCE

Co naprawdę znaczy Fort Trump

64 ŁUKASZ WARZECHA

SPRAWIEDLIWOŚĆ Z ULICY?

66 GRZEGORZ KUCHARCZYK

NIEMCY NAS NAUCZĄ

HISTORIA

70 ROZMOWA Z BRYTYJSKIM ZNAWCĄ HISTORII

II WOJNY ŚWIATOWEJ

SOSABOWSKI MIAŁ RACJĘ

Niestudne oskarżanie Polaków za fiasko „Market Garden”

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI

HORROR W KOKPICIE

Boeing w tarapatkach

76 PIOTR ZYCHOWICZ

ZATRZYMAĆ IRVINGA

80 PIOTR KOŚCIŃSKI

KAZACHSKA DYMISJA

EKONOMIA

82 STEFAN SĘKOWSKI

NIERÓWNA GONITWA

ZA EUROPĄ

Bogate i biedne regiony UE

84 ROZMOWA Z PAWEŁM KOLCZYŃSKIM,

WICEPREZESEM ARP

WESPRZEMY PRZEDSIĘBIORCÓW

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK

BOLIDY Z LABORATORIUM

Technologiczny wyścig F1

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

NIEEFEKTYWNE

LECZENIE SIĘ OPŁACA?

Przyszłość ochrony zdrowia w Polsce

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZALEWSKI, WOLSKI (63), ZYCHOWICZ, KOPER (68), WARZECHA (75), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), KUCHARCZYK (96), JĄSTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jackie Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Witas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoni**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojarczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Marek Budzisz**, **Sławomir Cenciekiewicz**,
Wiesław Chelminiak, **Dominika Coś** (*Bruselo*), **Krzysztof Czabański**,
Piotr Gursztyn, **Katarzyna**, **Jack Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk**
(Rzym), **Jakub Kowalski**, **Grzegorz Kucharczyk**, **Tomasz Lenczewski**,
Ewa Łosińska, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Makowski**, **Monika Małkowska**,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, **Gabriel Michalik**, **Filip Menches**,
Agnieszka Niewińska, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Witold Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sękowski**,
Joanna Siedlecka, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**,
Błażej Toruński, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**,
Tomasz Wróblewski, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji
 Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio
 Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzry**, **Damian**
Cygan, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski**,
Jack Nadratowski, **Anna Sobieska-Wojtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortniewska**, **Przemysław Traczak**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**

Okładka: **Roger Viollet/Getty Images; NAC, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



spółka
notowana na
GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 78 tys. egzemplarzy


DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
 i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
 www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji tekstów
 oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
 wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
 opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
 Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
 za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
 prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy

Dzisiaj w rubryce temat, któremu
 poświęciliśmy okładkę jednego
 z ostatnich numerów. E-maile
 prosimy kierować na adres:
 listy@dorzeczy.pl.

**„Tęczowa równia pochyła”
 – Paweł Lisicki, „DRz” 12/2019**

W pełni podzielam poglądy red. Pawła
 Lisickiego wyrażone w artykule wstęp-
 nym „Tęczowa równia pochyła”. Środo-
 wiska lewicowe za pomocą inżynierii
 społecznej i nowomowy (newspeak
 Orwella) próbują przebudować społe-
 czeństwa i uczynić ludzkość „szczęśliwą”.
 Wychowani w PRL, w cieniu ZSR,
 doskonale pamiętamy słowa piosenki,
 której musieliśmy się uczyć w szkołach:
 „Ja drugiej takiej strony nie znam, gdzie
 tak wolno dyszyt człekawiek”. Faktycznie,
 ledwie dyszały miliony ludzi w kraju,
 w którym w praktyce zrealizowano
 lewicowe pomysły. Dzisiejsza lewica
 znowu próbuje narzucić nam swoją
 ideologiczną wizję świata, według której
 szczęście człowieka realizować się
 będzie w nieokiełznanym seksualizmie,
 a mówiąc wprost – w totalnej demo-
 ralizacji. I tak jak dawniej na usługi
 ideologicznego szaleństwa sięgnięto
 po newspeak, tworząc wspomniane
 przez red. Lisickiego potworki językowe
 w rodzaju „orientacji seksualnej”.
 Dotychczas sądziłem, że orientować się
 można w terenie, np. w lesie lub górach
 albo mieście, ale nie w seksie. Tu mamy
 raczej do czynienia z biologiczną normą,
 czyli popędem służącym potencjalnie do
 naturalnego przekazywania genów, co
 może być realizowane jedynie w ukie-
 runkowaniu go na płęć przeciwną, albo
 ze zboczeniem, jakim jest każde inne
 ukierunkowanie (homoseksualne, pe-
 dofilskie, zoofilskie itd.). I żadne zabiegi
 twórców nowomowy czy demokratyczne
 głosowania towarzystw psychologicz-
 nych tego stanu nie zmienią. Są wszakże
 na świecie towarzystwa płaskoziemców,
 które głoszą, że Ziemia jest płaska, ale
 czy to ma wpływ na faktyczną kulistość
 naszej planety?

Niestety rację ma redaktor naczeln-
 ny „Do Rzeczy”, porównując to, co się
 dzieje na świecie, do równi pochyłej. Jak
 wiadomo, ciało poruszające się po niej
 nabiera tempa i nie może się zatrzymać.
 Chyba że nagle natrafiłoby na jakiś opór,

na jakąś przeszkodę. Dzisiaj niczego
 takiego jednak w świecie nie widać, co
 mogłoby powstrzymać taki kierunek
 upadku zachodniej cywilizacji. Wyda-
 wać by się mogło, że rolę tę powinien
 odegrać Kościół. Jednak sam wstrząsany
 skandalami homoseksualnymi coraz
 bardziej przypomina ewangeliczną sól,
 która utraciła smak. Szczególnie słabość
 tę widać w ostatnich latach, pod rządami
 biskupa Rzymu Franciszka, który mówiąc
 o grzesznikach popełniających grzechy
 sodomskie (a te bezwzględnie potępia
 Bóg w wielu miejscach Pisma Święte-
 go), twierdzi: Kim ja jestem, abym mógł
 osądzać. Do tej pory wydawało mi się,
 że Jezus wyraźnie powiedział: „Ty jesteś
 Piotr – Opoka, i na tej opoce zbuduję
 mój Kościół, a bramy piekielne go nie

*Panie władzo, szybko, tauteu
 homofob się za ulką nie obejrzał!*



przemogą. I tobie dam klucze królestwa
 niebieskiego: cokolwiek zwiążesz na
 ziemi, będzie związane w niebie, a co
 rozwiążesz na ziemi, będzie rozwią-
 zane w niebie”. Jednak lokator hotelu
 św. Marty w Watykanie zdaje się wątpić
 w swoje uprawnienia nadane mu przez
 Chrystusa, zamiast wzorem wielu swoich
 poprzedników stać na straży prawdzi-
 wej nauki. Sam zadaje sobie pytanie,
 dlaczego tak się dzieje? Dlaczego w tych
 trudnych czasach, także w Polsce, brak
 biskupów na miarę prymasa Wyszyńskie-
 go czy Karola Wojtyły, którzy odważnie
 piętnowaliby publicznie zło i nie wahali
 się potępiać błędnych ideologii? Czyżby
 apokaliptyczna wizja z powieści Pawła
 Lisickiego o papieżu Judaszu i Kościele
 „postkatolickim” zaczęła się spełniać na
 naszych oczach?

Prymas Tysiąclecia w najczarniejszych
 latach komunizmu stalinowskiego zawie-
 rzył Kościół i naród polski opiece NMP.
 I chyba tylko Ona została nam jako jedyna
 tarcza mogąca powstrzymać grożący
 nam nowy, tym razem tęczowy, terror.

Wojciech Zajczkowski, Łódź



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niesiemy wam pożar

Radni Koalicji Obywatelskiej, największego klubu w gdańskiej radzie miasta, napisali interpelację do prezydenta Dulkiewicza, aby wystąpiła do arcybiskupa o zmniejszenie liczby lekcji religii w szkołach z dwóch do jednej tygodniowo – doniosła trójmiejska „Gazeta Wyborcza”. „Pod interpelacją podpisało się 13 radnych z klubu Koalicji Obywatelskiej (PO i Nowoczesna)”.

Wymiar lekcji religii może być zmniejszony jedynie za zgodą biskupa diecezjalnego Kościoła katolickiego albo władz zwierzchnich pozostałych Kościołów i innych związków wyznaniowych. Występując więc z deklaracją ograniczenia lekcji religii bez wcześniejszych konsultacji z abp. Leszkiem Głódziem, radni PO pokazali, że chcą raczej kolejnej odsłony wojny cywilizacyjnej niż dialogu z kuria. Jeśli chcieli ostrej reakcji, to się jej doczekali. Arcybiskup Głódź zadeklarował, że nie widzi powodu do zmian.

Cała ta historia pokazuje, że Platforma coraz lepiej czuje się w roli jednej ze stron sporu światopoglądowego jako osi bieżącej kampanii. Gdy miesiąc temu Rafał

Trzaskowski ogłosił deklarację wprowadzenia w Warszawie karty LGBT, część komentatorów pisała, że postawił swoją partię, PO, w kłopotliwej sytuacji. Jeśli nawet tak było, to Grzegorz Schetyna szybko uznał, że taki spór posłuży jego ugrupowaniu. Będzie czytelny dla młodego elektoratu wielkomiejskiego, a przy okazji zepchnie na drugi plan partię Wiosna. A przecież to Robert Biedroń chciał być beneficjentem wprowadzania do kampanii tematów cywilizacyjnych.

Ludwik Dorn w wywiadzie dla jednego z dzienników wskazuje przyczyny tego zwrotu: „Udział praktykujących 1–2 razy w miesiącu lub częściej w elektoracie PiS jest stały – nieco ponad 80 proc., ale pozostaje jeszcze spora mniejszość praktykujących głosująca także na inne partie. Generalnie jednak preferencje polityczne osób aktywnych religijnie są dość stabilne. Inaczej to natomiast wygląda, gdy przyjrzymy się preferencjom osób, które deklarują głosowanie na Platformę. [...] W 2005 r. wyborcy w ogóle niepraktykujący czy praktykujący rzadko stanowili 31 proc.

w elektoracie Platformy. W 2017 r. ten odsetek wzrósł do 51 proc. Fakt, że w ciągu 12 lat liczba niepraktykujących wyborców PO wzrosła o 20 pkt proc., świadczy o charakterze ewolucji tej partii”.

Schetyna mógł więc uznać, że ponad połowa jego wyborców odeszła od Kościoła, a ci, którzy jeszcze praktykują, nie zakwestionują tej nowej laickości PO z racji niechęci do Jarosława Kaczyńskiego. Niewykluczone więc, że Platforma może szykować jeszcze kolejne zderzenia w stylu karty LGBT. Czy jej się to opłaci? Zobaczymy. Pokazuje to jednak, jak bardzo naiwni byli ci, którzy zakładali, że Schetyna pewnych granic w wojnie z Kościołem nie przekroczy. Otóż przekroczył, jeśli sztabowcy powiedzą, że mu się to opłaci. I na koniec jeszcze jedna refleksja. Arcybiskup Głódź zrobił wiele, by śmierć Pawła Adamowicza była okazją do próby zasypiania podziałów. Czuwał przy umierającym prezydencie. Zaoferował pochówek zmarłego w bazylice mariackiej. Teraz przy pierwszej okazji radni PO „dziękują” mu za tamte gesty. Tyle wynieśli nauki z gdańskich dni żałoby. ©©

„DAR MŁODZIEŻY” ZAKOŃCZYŁ REJS NIEPODLEGŁOŚCI

Po ponad 10 miesiącach rejsu dookoła świata „Dar Młodzieży” wrócił do portu w Gdyni. W trakcie podróży żaglowiec odwiedził 23 porty w kilkunastu krajach. Trasa wiodła m.in. przez: Tallin, Kopenhagę, Bordeaux, Teryferę, Dakar, Kapsztad, Mauritius, Dżakartę, Singapur, Szanghaj, Osakę, San Francisco, Los Angeles, Miami oraz Londyn. W każdym z portów odbywała się impreza promująca Polskę i rocznicę jej niepodległości. Rząd ogłosił też konkurs na nazwę żaglowca, który zastąpi „Dar Młodzieży”. (jap) ©©



FOT. LUKASZ DEINAROWICZ/FOTUM

Promocja dla kandydatów Koalicji Obywatelskiej



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Portal DoRzeczy.pl dotarł do dokumentów (oficjalnych faktur za wykonane usługi dla komitetów wyborczych), z których wynika, że politycy PO i Nowoczesnej otrzymali od Miejskich Zakładów Autobusowych w Warszawie (będących właścicielem nośników reklamowych na autobusach) duże zniżki na zamieszczenie reklam. Upusty sięgały nawet 70, 80 proc. wartości ceny z oficjalnej oferty. Jak wynika z dokumentów, zniżkę 80 proc. dla kandydatów PO przyznano między innymi na wspólną reklamę kandydującej do rady Warszawy przewodniczącej rady miasta stołecznego, Ewy Malinowskiej-Grupińskiej, oraz kandydującego do sejmiku Mazowsza Ludwika Rakowskiego. Politycy zapłacili za reklamę po 1866,67 zł plus VAT. „Ta sytuacja w naszym przekonaniu jednoznacznie wskazuje na nadużycie

władzy, wykorzystanie spółki miejskiej do promocji konkretnych polityków rządzącej opcji w wyborach samorządowych” – komentował doniesienia DoRzeczy.pl radny m.st. Warszawy Tomasz Herbich z Prawa i Sprawiedliwości.

Rzecznik MZA Adam Stawicki w wiadomości przesłanej do redakcji DoRzeczy.pl podkreślał: „Miejskie Zakłady Autobusowe prowadzą politykę rabatową, kierowaną do wszystkich partnerów handlowych, stosując specjalne upusty dla podmiotów niekomercyjnych dla potrzeb kampanii społecznych. Miejskie Zakłady Autobusowe stosują też politykę specjalnych, jednakowych rabatów dla WSZYSTKICH KOMITETÓW WYBORCZYCH [...]”. Żadnemu komitetowi wyborczemu nie odmówiono wykonania usługi”.

(hp) ©©

NIK: AMBASADY NA BAKIER Z FINANSAMI

Najwyższa Izba Kontroli opublikowała wyniki kontroli placówek dyplomatycznych w Gruzji, Jordanii i Serbii. Kontrolerzy wskazali, że brakowało nadzoru nad gospodarką finansową. W efekcie powstawały nierzetelne sprawozdania budżetowe, a dokumentacja nie pozwalała na ustalenie majątku.

Najwięcej zastrzeżeń NIK ma do funkcjonowania Ambasady RP w Gruzji. Choć obiekt nie był własnością Polski, kierownictwo MSZ zdecydowało o rozpoczęciu jego gruntownej przebudowy. Dopiero potem negocjowano z właścicielem zakup. Prace adaptacyjne budynku pochłonęły w sumie 2,3 mln euro. A w październiku 2017 r. nieruchomość kupiono na rzecz Skarbu Państwa za 3 mln dol. W dodatku Ambasada RP w Gruzji posiada też inną nieużywaną nieruchomość. Zakupiono ją pod koniec grudnia 2008 r. za 3,55 mln dol. Miała być przeznaczona na siedzibę ambasady. Stan budynku przed zakupem oceniano jako dobry przy zewnętrznych oględzinach. Wykonana później dokumentacja architektoniczno-budowlana ujawniła, że budynek ma wady konstrukcyjne i małą odporność na obciążenia sejsmiczne. (luz) ©©

ROSJANIE UTRUDNIĄ PRZEKOP MIERZEI?

Od kiedy tylko ujawniono, że rząd PiS planuje przekop Mierzei Wiślanej, inwestycja jest krytykowana przez środowiska ekologiczne. Ostatnio poruszenie w polskich mediach wywołał nawet sam fakt wycinki drzew w miejscu, gdzie prowadzony będzie przekop, choć wykarczowano niewielki odsetek zalesienia na Mierzei. Powiadomiono Komisję Europejską, która zresztą odpowiedziała, że co do zasady nie widzi problemu z przekopem, jeśli wszystko odbędzie się zgodnie z prawem.

W ekologiczny ton od początku uderza też Rosja, która tak bardzo chce ochronić polską przyrodę, że także apelowała w sprawie inwestycji do Komisji Europejskiej. Teraz – jak ujawnił TVN24 – Rosjanie mają inny pomysł. Właśnie ogłosili, że na swojej części Mierzei zamierzają stworzyć region turystyczny. Planują kurort z delfinarium, hotel, kempingi, nową drogę. Rosjanie podnoszą też, że Polacy nie skonsultowali inwestycji z państwami regionu Morza Bałtyckiego. Jednak sama Rosja nie podpisała nigdy konwencji z Espoo, która mogłaby być podstawą do roszczeń. (luz) ©©


 RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Niesmak musi trwać

Prokurator specjalny USA Robert Mueller razem z 19 zatrudnionymi przez niego prawnikami i 40 oddanymi mu do dyspozycji agentami federalnymi, po przesłuchaniu 500 świadków, wystawieniu ponad 500 nakazów przeszukania i przesłedzeniu poczyniła ok. 2,8 tys. osób uznanych za podejrzane lub istotne w sprawie, co wszystko razem

zniszczyć reputację Hillary Clinton i Baracka Obamy. Całość raportu nie została opublikowana, gdyż wiele w nim informacji poufnych, ale konkluzja jest jednoznaczna: nie znaleziono żadnych powiązań, żadnych śladów spisku Putina z Trumpem.

Dla wielkich wpływowych mediów, które od dwóch lat trąbią o „pudlu Putina” i pandemicznym spisku populistów, który odebrał władzę jasnie oświeconym elitom, fakt, że afery nie było, nie jest jednak powodem, by przestać o niej pisać i judzić. Sposób jest prosty: „Nie udało się znaleźć dowodów powiązań Trumpa z Putinem”. Uważają państwo: nie „wszystko wysłaliśmy z palca”, po prostu nie udało się znaleźć dowodów – do tak umiejętnie sformatowanego „niusa” słówko „na razie” przykleja się już właściwie samo. „Trump triumfuje przedwcześnie”..., „trwają inne śledztwa”... I na koniec dramatycz-

ne pytanie: „Co dalej z russiagate?”. Pytanie retoryczne: dalej będzie grzana. Fakty nie potwierdzają? Tym gorzej dla faktów, jak mawiał klasyk.

Cytaty pochodzą z mediów rodzimych, głównie „Gazety Wyborczej”, ale wiernie powtarzają one narrację liberalnych „starszych siostr” z Ameryki. Zresztą nie tylko powtarzają, lecz także dokładnie je naśladują, choćby grzejąc pseudoafery „układu Srebrnej”. Wszystko jak w starym kawale: nie zaprosimy was więcej, bo jak ostatnio u nas byliście, żonie zginął złoty pierścionek! Ależ my przecież nigdy... No tak, rzeczywiście, okazało się, że wpadł za szafę, ale – niesmak pozostał!

Otóż tym się różnią media „liberalne” od normalnych. Nie chodzi o prawdę, chodzi o ten niesmak – żeby był i żeby trwał. A jak tam było z pierścionkiem, nie ma najmniejszego znaczenia. ©©

Nie znaleziono żadnych śladów spisku Putina z Trumpem. Ale dla mediów to nie powód, by przestać o tej „aferze” pisać

zajęło ponad dwa lata, sporządził dla Departamentu Sprawiedliwości raport zamykający śledztwo dotyczące manipulowania przez Rosję wyborami w USA i spisku, w jaki miał wejść z przywódcą obcego mocarstwa Donald Trump, żeby

CZERWONE I CZARNE

Kłątwa Kwaśniewskiego


 WOJCIECH
WYBRANOWSKI

Ledwo nastała prawdziwa wiosna, polityczna Wiosna Roberta Biedronia zaczęła odchodzić w polityczny niebyt. Nic dziwnego, upadek Biedronia został przesądzony już cztery lata temu, a to w momencie, gdy był prezydent Aleksander Kwaśniewski namaszczył go na przyszłego lidera lewicy, mówiąc w rozmowie z RMF: „Myślę, że w 2020 roku prezydentem będzie Robert Biedroń”. Tak się dziwnie składa, że polityczne byty namaszczone przez Kwaśniewskiego znikają ze sceny politycznej niczym śnieg na wiosnę. Na kłatwę Kwaśniewskiego nie ma rady i im bardziej Biedroń płasza i się krząta,

tym bardziej widać, że jego czas w polityce szybko się kończy.

Ot, w ostatnich dniach poleciał z gronem swoich aktywistów malować tęczę pod biurem PiS w Warszawie, że niby jest jeszcze bardziej tolerancyjny niż prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, który podpisał kontrowersyjną „Deklarację LGBT+”. Na nieszczęście Biedronia nikt mu nie powiedział, że nawet w stronnictwie Trzaskowskiego uznano, iż był to strzał w kolano, bo choć Polacy są zazwyczaj nader tolerancyjni, to ekstremizmów nie akceptują, również tych tęczowych. Nie zdzierzą też prób ograniczania wolności słowa, co już

zapowiedział partner Biedronia, Krzysztof Śmiszek, deklarując, iż nowy ruch wprowadzi „kary więzienia dla homofobów” – czyli tych, którzy roszczeń LGBT nie akceptują. Znaczący się zamkną trzy czwarte polskiego społeczeństwa. Na razie na szczęście nie zamykają.

Za to tęczowi lobbyści rozpoczęli kolejną kampanię nienawiści – tym razem wymierzoną w Andrzeja Jakubowskiego, kanclerza Uniwersytetu Szczecińskiego, który na swoim Facebooku napisał, że „Karta LGBT+ niszczy dzieciństwo i naród”. Za swoje słowa prawdy zapewne zapłaci stanowiskiem. Ot, taka tęcząca wolność. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O świdrującej ciszy nad Sekwaną

Lewacki terrorysta Cesare Battisti (65 lat), schwytany w połowie stycznia w Boliwii i wydany Włochom, zszokował swoich postępowych entuzjastów. Przesłuchiwany przez prokuratora Mediolanu Alberto Nobilego w więzieniu na Sardynii przyznał się do wszystkich zarzucanych mu czynów. A więc do udziału w zamachach, w których pod koniec lat 70. zideologizowani mordercy organizacji Zbrojni Proletariusze na rzecz Komunizmu położyli trupem cztery osoby, a też do licznych „proletariackich

Ciekaw jestem, jak się czują teraz filozofowie Bernard-Henri Lévy, Giorgio Agamben, pisarze spółdzielni literackiej Wu Ming, literaci Daniel Pennac, Valerio Evangelisti, Erri De Luca, Tiziano Scarpa, pisarka Fred Vargas, włoska żona Sarko Carla Bruni i półtora tysiąca dalszych postępowych „ludzi intelektu” (w tym zmarły pięć lat temu gigant literatury Gabriel García Márquez), którzy podpisali histeryczny protest przeciwko wydaniu Battistiego z Francji do Włoch w 2004 r.

W końcu zaopatrzyli terrorystę w fałszywe dokumenty i pieniądze oraz wyekspediowali do Brazylii pod opiekuncze skrzydła prezydenta Luli. Ta grupa wpływowych i ciągle obecnych w mediach postępowców tłumaczyła, że Battisti po pierwsze walczył w słusznej sprawie, a po drugie nikogo nie zabił. Twierdzili, że padł ofiarą opresyjnego, mściwego państwa włoskiego i pokazowych procesów.

Niestety, nie dowiem się, jak się czują. Proszeni przez media o komentarz rzucają z irytacją słuchawką. Nie przyszło im do głowy, żeby choć przeprosić bliskich ofiar swojego pupila. Próżni, wypchani, chochołowi ludzie Eliota z ideologiczną słomą w głowach. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Śmiszkowanie

Nie jest łatwo w dzisiejszym świecie założyć progresywną partię lewicową, jednocześnie nie wpadając w sidła logiki postępu. Przekonała się o tym ostatnio Wiosna. „Dlaczego Marta Lempart, liderka Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, ma 6. miejsce na liście Wiosny do PE w okręgu dolnośląsko-opolskim, lider nowej lewicy Michał Syska piąte, a partner Roberta Biedronia Krzysztof Śmiszek pierwsze? Czy to nie jest nepotyzm? Tak jak jedynka dla Sylwii Spurek, partnerki Anaszewicza?” – zapytała w duchu logiki równościowej Renata Grochal. Nie otrzymała odpowiedzi.

W jakimś sensie korespondencyjnie do zarzutu odniósł się jednak wywołany do tablicy Krzysztof Śmiszek, akcentując kadrowe pryncypia ruchu. „Jesteśmy partią proekologiczną. Ale jedną kwestię odrzucamy jako Wiosna. To jest recykling polityków! Ci sami ciągle wymieniają się stołkami. Raz do Sejmu, raz do PE, a raz do Senatu. Koniec z tym!” – obiecał. Pech chciał, że tego tweeta przeczytał nieco mniej entuzjastyczny lider SLD. „Krzysiu, nie atakuj swojego szefa Roberta, Wandy Nowickiej, Pauliny Piechny i Kazimierza Gawkowskiego. Oni też już kandydowali lub byli w kilku partiach. Używanie określenia »recykling« w stosunku do nich jest niegrzeczne. Popraw się chłopaku!” – pogroził palcem Włodzimierz Czarzasty.

Śmiszek, nieświadomy zagrożenia, ruszył z kontratakami. „Włodziu! Dobrze wiesz, o co chodzi. Potrzeba świeżej krwi w tym politycznym krwiobiegu. Wiosna to gwarantuje! Koniec z obiegiem zamkniętym. To jest dobre dla gospodarki, nie dla polityki :). Pozdrawiam, chłopaku!” – odparł wyraźnie z siebie zadowolony.

Zapomniał jednak, że boksuje się nie z twitterowym trollem, ale ze starym wygą. „Krzysiu. Z Bujakiem w 1990 r. w Giżycku myśleliśmy, jak wprowadzić ZSP do ROAD-u, 8 lat temu Biedroń odszedł z SLD do Palikota, bo dostał złe miejsce na liście. Gawkowski i Piechna – vice w SLD odpowiedzialni m.in. za Ogórek, o premii Nowickiej nie wspomnę. Świeża ta krew w obiegu :)” – zgasił światło Włodek Czarzasty. I było tak śmiszkować? ©©

Battisti powiedział Nobilemu, że zdaje sobie sprawę ze zła, które wyrządził, i poprosił rodziny oraz bliskich swoich ofiar o wybaczenie

uwłaszczeń”, czyli napadów z bronią w rękę. Przyznał, że dwóch policjantów zastrzelił osobiście. Za te delikty we Włoszech zaocznie skazano go na dwa dożywocia. Co więcej, Battisti powiedział Nobilemu, że zdaje sobie sprawę ze zła, które wyrządził, i poprosił rodziny oraz bliskich swoich ofiar o wybaczenie. Prokurator odniósł wrażenie, że to wyznanie sprawiło Battistiemu ogromną ulgę.

JEŚLI GŁOŚNO, TO DOBRZE?

Justyna Żyła, była żona znanego skoczka narciarskiego, wciąż jest na show-biznesowej fali wznoszącej. Choć tańczyć nie umie wcale, to wciąż nie odpadła z „Tańca z gwiazdami”. Co prawda jurorzy miażdżą ją ocenami, ale widzowie głosują, by pozostała w programie. Justyna cieszy się swoją popularnością, która – jak przyznaje – mocno ją zaskoczyła. A wszystko zaczęło się od tego, że poskarżyła się, iż mąż zostawił ją i dzieci dla innej. Potem poszło szybko. Sesja w „Playboyu”, program w telewizji i udział w „Tańcu z gwiazdami” (w roli gwiazdy, żeby była jasność), a na horyzoncie jest wydanie książki kucharskiej. Nic dziwnego, że Żyła mówi dzisiaj, że nie żałuje, iż opowiedziała publicznie o swoim małżeństwie, choć – jak przyznaje – nie miała świadomości, że jej zwierzenia usłyszy pół Polski. – Nie wiedziałam, że mój Instagram jest otwarty, ja myślałam, że tam są sami znajomi, ale to też poszło bardzo w emocjach, a później już się podzieliło – opowiadała w Superstacji. – Nie myślałam, że później też jeszcze wiele kobiet się otworzy w show-biznesie do tego, żeby mówić, że w ich związkach coś jest nie tak. Trochę stałam się takim prekursorem – chwali się świeżo upieczona celebrytka. – Co nie robię, to jest głośno – dodaje. To ostatnie powinno dać Justynie szczególnie do myślenia. Bo naczelną zasadą show-biznesu głosi: im głośniej, tym lepiej. I głośniej.

CO ZA POTENCJAŁ!

Celebrytka Karolina Gilon to taki człowiek orkiestra. Jest modelką, piosenkarką, prezenterką, aktorką, wizażystką, a ostatnio dała się poznać jako coach. Zresztą teraz pouczanie i dawanie złotych rad, jak żyć, stało się wśród gwiazd i gwiazdek bardzo modne. „Jeśli nie umiesz latać, biegnij. Jeśli nie umiesz biegać,

chodź. Jeśli nie umiesz chodzić, czołgaj się. Ale bez względu na wszystko – posuwaj się naprzód” – napisała na swoim Instagramie. Czujemy się bardzo zmotywowani. Głównie do śledzenia dalszej kariery Karoliny w show-biznesie. Czujemy duży potencjał. Tak, tak, wedle tej samej zasady, która sprawdza się w przypadku Justyny Żyły.

ZAWSZE JEST NADZIEJA

Aktor Jacek Borkowski pochwalił się właśnie, że sąd przychylił się do jego wniosku i może przestać płacić alimenty byłej żonie. Chodzi o alimenty na żonę, nie dzieci. Do tej pory musiał wspierać, jak donoszą kolorowe media, była małżonkę najpierw kwotą 5 tys. zł miesięcznie, potem po sześciu latach kwotą o 4 tys. mniejszą. Teraz sąd wziął pod uwagę możliwości finansowe aktora i całkiem zwolnił go z tego obowiązku. Dodajmy – po 16 latach płacenia! Aktor nie kryje ulgi z wyroku sądu. – Zakończyła się sprawa alimentacyjna z moją byłą żoną, Katarzyną. Zapadł wyrok, w myśl którego nie będę płacił alimentów. Teraz czekam na jego uprawomocnienie. Wyrok jest dla mnie bardzo korzystny. Moja była żona jest osobą, która może pracować i nie jest sama – skomentował w wywiadzie dla tygodnika „Rewia”. Mówi, że alimenty płacone przez tyle lat kosztowały go jakieś 700–800 tys. zł, ale dodaje, że niczego nie żałuje i gdyby mógł cofnąć czas, zrobiłby wszystko tak samo. Czytaliśmy tę historię i przed oczami mieliśmy Kaza i Isabel Marcinkiewiczów. Panie Kazimierzu, jest nadzieja! 16 lat szybko zleci.

TALERZE Z MISJĄ

Małgorzata Rozenek-Majdan jest bardzo dumna, a wręcz wzruszona. Długo na ten dzień czekała. Z niecierpliwością. Aż wreszcie nadszedł i Małgorzata mogła się nim wreszcie pochwalić! Otóż, Lady Rozenek została twarzą talerzy! Ach, co to za wzruszenie i duma. „Kochani, dziś jest dzień, na który czekałam z niecierpliwością” – poinformowała. „Mam przyjemność zaprezentować Wam moją autorską kolekcję porcelany Hampton Collection by Małgorzata Rozenek-Majdan. Kolekcja została stworzona we współpracy z Kasią i Małgosią. Założycielkami marki @sweetliving-homeinspirations. Dziewczyny, dziękuję Wam za ten inspirujący czas i za to, że wspieramy się przez te wszystkie lata. Nasza kolekcja jest dowodem na to, że kobiety, gdy współpracują, mogą wiele razem zdziałać” – napisała Małgonia. Widzicie, niby to tylko talerze, a jaki krok dla ludzkości. I dla kobiet. No kto by się nie wzruszył? ©



FOT. KRZYSZTOF JAKOBSZ FORUM

FOT. FRANK LOMAX

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, pewnie słyszeliście już, że tylko 38 proc. Polaków czyta przynajmniej jedną książkę rocznie. Oczywiście trudno, żeby było inaczej – przeciętny janusz nie ma dostępu do e-booka, nie interesuje się współczesną polską prozą, a w jego małym ośrodku nie ma żadnej księgarni. Janusz mógłby więc kupić książkę przez Internet – of kors gdyby tylko miał do niego dostęp.

Kiedy tak wpatrujemy się w tę statystykę, to co prawda nie dostrzegamy nic więcej, ale naszym zdaniem odsetek osób, które czytają książki, pokrywa się mniej więcej z odsetkiem wyborców partii Wiosna, Razem i Koalicji Europejskiej. Jak bowiem wiadomo, ludzie bardziej wykształceni, obcy z kulturą i świadomi trendów we współczesnej polskiej literaturze mają też częściej poglądy normalne, europejskie, niż statystyczny janusz, który nie potrafi przeczytać nawet własnego wniosku o „500+”.

Cieszymy się więc, iż mamy taką statystykę, którą możemy mile połechtać własne ego, zwłaszcza że książek mamy w domu więcej niż jedną, a niektóre nawet przeczytaliśmy. Kochamy nie rozumieć prozy, to nawet lepsze niż niezrozumienie współczesnego teatru.

Masakra, co się dzieje w tej Unii :/ Otóż okazuje się, iż Parlament Europejski ma pozwolić na to, iżby nie zmieniać czasu z letniego na zimowy!!!

W ten sposób już w październiku 2021 r. nie cofniemy zegarków o godzinę. Oznacza to ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że zostaniemy pozbawieni godziny życia w ciągu jednego roku. A jeśli weźmiemy pod uwagę kolejnych kilkanaście-kilkadziesiąt lat, to pożyjemy tyle samo godzin krócej!

Of kors polski rząd jest przychylny tym zmianom, bo chce, iżby obywateli żyli krócej, aby ratować ZUS! Depopulacja za pomocą zmiany czasu staje się faktem! Obudźcie się!

Przykra sprawa i długo wahaliśmy się, czy o niej pisać. Otóż pewnie znaczenie osobomarzanny w pierwszy dzień Wiosna? Otóż wyobraźcie sobie, iż ta tradycja żyje nie tylko w muzeach etnograficznych w tym kraju, lecz także jest jak najbardziej żywa.

W państwie, które sankcjonuje piekło kobiet, wciąż 21 marca wrzuca się do rzeki kukłę imitującą osobę waginopozycyjną, jako symbol nienawidzonej przez podkarpacie i inne chłopstwo zimy. Tylko w tym kraju personifikacja zimy mogła wyglądać jak kobieta. Dobrze, iż przed symbolicznym utopieniem kukła nie została obita kablem od żelazka, of kors końcówką z żelazkiem.

Dlatego tesh my w tym roku postanowiliśmy dokonać dekonstrukcji tego zwyczaju i nasz

W tym roku nasz korpokolektyw postanowił utopić tzw. marzana

korpokolektyw postanowił utopić tzw. marzana, czyli kukłę białego, heteronormatywnego fallusoosobnika w średnim wieku, który najczęściej sprawuje w tym kraju funkcje zarządcze i kierownicze. Jest to nasz symboliczny sprzeciw wobec niesprawiedliwego traktowania waginoosób oraz kultury patriarchy. Jesteśmy przekonani, że w ślad za nami ruszy już niebawem cała Europa. ©©

f FASHYISM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

Hospicjum
Ziemi Kluczborskiej
Św. Ojca Pio

Podaruj nam swój 1%

na dokonczenie budowy
hospicjum stacjonarnego w Smardach

KRS: 0000168645

www.hospicjumswpio.pl

Barwy kampanii. Ale jakiej kampanii? Głupia sprawa, kandydaci jeżdżą na spotkania, przekonują, cuda-wianki opowiadają, ale to wszystko bez jednej głupiej ulotki, balonika czy smyczy. Dopóki listy nie są bowiem oficjalnie zarejestrowane w PKW, dopóty żadnej oficjalnej kampanii nie można prowadzić ani rozliczać żadnej złotówki wydanej na uloteczkę. Co okrutnie frustruje kandydatów.

Barwy frustracji. Niestety potwierdzamy: niewdzięczni Polacy nie chcą się podpisywać i komitety wyborcze pogrążone są w czarnej rozpacz. Groźba niezebrania odpowiedniej liczby podpisów wisi nie tylko nad mniejszymi komitetami, takimi jak kukiści czy konfederaci siarscy. Dużi wcale nie mają lepiej. Od wpływowego PiS-owca usłyszeliśmy taką oto mrozącą krew w żyłach opowieść o bohaterstwie jego wolontariuszy: „Cały dzień stali, nasłuchali się bluzgów i zebrali dziesięć podpisów”.

Podobne dantejskie sceny rozgrywają się przed każdymi wyborami, a mimo to wszystkim listy udaje się zarejestrować. Jak dochodzi do tego cudu? Już tłumaczymy. Najważniejsze to mieć jakiegokolwiek podpisy zebrane przy jakiegokolwiek okazji. Może być poprzednia kampania albo referendum. Następnie tania siła robocza zajmuje się przepisywaniem danych z tamtych list na nowe kartki. Trzeba tylko przepisać trochę więcej na zapas, bo przecież niektórzy autorzy oryginałów od czasu poprzedniej kampanii kopnęli w kalendarz.

Barwy frustracji 2. Współczujemy premierowi Mateuszowi. No bo jak tu nie współczuć, kiedy robi, co może, żeby wzmacniać więzy z Kaczorem Dyktatorem i swą pozycję w PiS, podczas gdy jego tata Kornel łązi po mieście i opowiada, że syn nie jest pewien swojej przyszłości w partii. Oj, będzie z tego nieszczęście.

Tata Kornel opowiada też, że obojście uratuje swojego syna, tworząc mu szalupę ratunkową w postaci całkiem nowej partii. Przewidujemy, że najbliższe spotkanie rodzinne będzie wyjątkowo gorące, zwłaszcza że syn

Mateusz dowiaduje się o tym pomyśle jako ostatni.

Tymczasem w rządzie. Żli ludzie opowiadają, że wszystkim marzy się tam, by Anka Zalewska zamiast reformowaniem oświaty i negocjacjami z nauczycielami zajęła się już wyłącznie kampanią do europarlamentu. Ci najbardziej okrutni dodają, że wszystko rozstrzygnie się w tygodniu strajkowym, czyli po 8 kwietnia, a los Anki zależał będzie od tego, jak resort poradzi sobie z ograniczaniem efektów strajku.

Apropos nauczycieli. Pozdrawiamy rządowych ekspertów od PR-u, kimkolwiek są. Tak, to był sarkazm. Ponieważ pamiętamy wszystko, pamiętamy też, że Peło do spółki z Peezelem w ramach reformy emerytalnej skasowała nauczycielom prawo do emerytury po 25 latach pracy przy tablicy. Pamiętamy też, że ZNP jakoś wówczas nie prote-

Niewdzięczni Polacy nie chcą się podpisywać na listach i komitety wyborcze pogrążone są w czarnej rozpacz

stował. Nie rozumiemy więc, dlaczego w rządzie nikt tego nie pamięta. Stąd sarkazm.

Jeszcze o rządzie. Pogawędziliśmy sobie z pewnymi miłymi ludźmi. Na temat budżetu. Na pytanie, czy da się go utrzymać w ryzach, odpowiedzieli, że w 2019 r. na pewno. Potem nadejdą czasy dobre dla fizyki. To znaczy ryzyk-fizyk.

Nie żebyśmy pokładali jakąś wiarę w tym, że gdyby rządziła Peło, to radziłaby sobie z budżetem lepiej. Co to, to nie. Gdyż, jak pamiętacie, wszystko pamiętamy. Cytując piękne zdanie Achima Brudzińskiego: „Nikt nie da ci tyle, ile Platforma obieca”, chcielibyśmy na podstawie wspomnień ukuć własne hasło: „Jak PiS mówi, że da, to da. Jak PO mówi, że zabierze, to zabierze”.

Za kulisami eurowyborów. Mało kto wie, że podobnie jak przed wyborami samorządowymi, tak i przed europejskimi zaawansowane były negocjacje Peezel-Eselde. Na temat wspólnej listy, oczywiście. Wszystko jednak padło, kiedy Grzesiek Schetyna wyskoczył ze swoją konferencją wszystkich premierów świata i zaszachował Czarzastego pełną kolekcją kandydatów od Belki przez Cimoszewicza do Millera. Cwany gapa.

Iнна sprawa, że choć wielu zielonych braci wciąż boli wejście

dwaj panowie



FOT. ROBERT GARCZYŃSKI

Peezelu do Koalicji Łeuropejskiej, to jednak rozumieją, że inaczej być nie mogło. Wcale nie chodzi o lęki przed słabym wynikiem, ale o rachunki. Tak się bowiem składa, że aparat partyjny zainwestował wszystko, co miał, w kampanię samorządową. Tymczasem efekty okazały się gorsze od oczekiwanych i wielu inwestujących nie ma co liczyć na zwrot inwestycji w postaci fruktów władzy. No i teraz nie mają z czego wydawać na eurowybory. A w koalicji to niech się Grzegorz martwi.

Jest i dobra wiadomość. Peezel skończy wiosną spłacać długi, w które wpadł z powodu odebrania dotacji. Wtedy jesienią będzie już łatwiej. Wtedy nie będzie już mowy o tym, żeby iść do wyborów w jakiejś koalicji. Czyli to w sumie dwie dobre wiadomości.

Żaloba na Mazowszu. Umowa była taka: PeŁo i Peezel blatują się w samorządach, rozpoczynając koalicyjną współpracę także na eurowybory i dalej. W eurowyborach wystartować miał marszałek Struzik Adam. Niestety, Struzik się wykpił i nie chce. Skąd żaloba i gdzie? Ano bez Struzika byłyby nowe wybory marszałka województwa mazowieckiego, a zblatowani z PiS wybrani patrioci Peezelu szykowali się po cichu do nowej koalicji.

Są dwa powody rejterady Struzika. Pierwszy to lęk przed opisanym wyżej zamachem stanu i przejęciem sejmiku mazowieckiego przez PiS dogadany z pojedynczymi chłopami patriotami. Drugi to fakt, że nie podołał konkurencji Jarosława Kalinowskiego, który ani myślał się posunąć na listach. No i wyszło, jak wyszło.

Wyjątkowo nie o eurowyborach, ale o nadchodzących wyczynach dzielnych chłopców z CBA. Zauważyliście akcję zatrzymania grupy miglanców, do której należeli brat Elki Bieńkowskiej i jej asystent? Będzie tego więcej. Elka pochodząca z Sosnowca (tam skończyła szkołę średnią), ale medialnie sprzedawana jako Ślązaczka z Mysłowic, była bowiem przez lata guru dla związanych z PeŁo fachowców od funduszy unijnych. Wiewiórki twierdzą, że wiele w tamtych kręgach ciekawych inwestycji do wyjaśniania o godz. 6.

Jak tak dalej pójdzie to PiS wygra te wybory walkowerem...



Ze świata tajniaków. Na posiedzeniu komisji ds. służb specjalnych stanęła sprawa tzw. stotrydziestki. Chodzi o artykuł 130 Kodeksu karnego mówiący o szpiegostwie. Służby, a przede wszystkim kontrwywiad, od dłuższego czasu domagają się nowelizacji. Dzisiaj bowiem ciężko szpionowi wlepić więcej niż osiem lat. W wię-

ujmując – nie wywołało to zachwyty służb.

Kulinaria. W Libanie przebywała delegacja Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Wizyta związana była z planami powrotu polskiego kontyngentu w ramach misji ONZ. Przy okazji upomniano się też o Polaków migrujących przez Liban do Polski. Chodzi jednak o specyficzny gatunek Polaka, a mianowicie bociany. Jak głosiło kiedyś hasło reklamowe: „Co trzeci bocian jest Polakiem”. Niestety, z roku na rok bocianów do Polski przylatuje coraz mniej. A to za sprawą tego, że bywają one po drodze łapane i zjadane, w czym przoduje ludność Libanu. Bocianowym skrytożercom mówimy zdecydowane „Nie!”. Zastanawiamy się tylko, czy to temat na rozmowy akurat przy okazji misji ONZ.

Peezel skończy wiosną spłacać długi, w które wpadł z powodu odebrania dotacji. Jesienią będzie więc łatwiej. Wtedy nie będzie już mowy o tym, żeby iść do wyborów w jakiejś koalicji

szości krajów jest to przestępstwo zagrożone najwyższymi karami. I w tym kierunku miała zmierzać nowelizacja, dodatkowo uwzględnione miały być czyny związane z tzw. działaniami hybrydowymi. Jakież było zdumienie komisji, kiedy wiceszefowa Prokuratury Krajowej oznajmiła, że jej się dotychczasowe przepisy podobają. Nie musimy chyba dodawać, że – najłagodniej rzecz

Lekcja historii. Odkryliśmy jeszcze jeden dowód na to, jak blisko kukistom do PiS. Otóż ojciec posła kukistów Tomka Rzymkowskiego zakładał w Bydgoszczy za pierwszej Solidarności lokalny NZS – razem z Janem Dwojga Imion Ardanowskim. Maciej i Jan Krzysztof byli kumplami i towarzyszami walki, razem drukowali bibułę. Mały Tomek wyniósł więc antyustrojowość z domu. I tak już zostało. ©©



FOT. ADAM STOK

Marzenia na kredyt

Polacy chętnie pożyczają pieniądze. Co trzeba wiedzieć, zanim weźmie się w banku kredyt lub pożyczkę? Na co należy uważać, aby nie wpaść w spiralę zadłużenia?

Co zrobić, gdy bardzo chcemy coś mieć, ale nie mamy na to pieniędzy? Możemy zacząć oszczędzać. Argument, że nie mamy z czego, jest dość często nietrafiony. Kredyt gotówkowy w banku kosztuje bowiem ok. 10 proc. rocznie. Jeśli więc wystarczająco wcześniej zaplanujemy wydatek (np. kupno nowego telewizora), to przy regularnym odkładaniu pieniędzy, możemy zrealizować nasze marzenie taniej, niż korzystając z kredytu lub pożyczki.

Banki kuszą jednak szybszym rozwiązaniem problemu braku wystarczających środków. Oferują pieniądze zarówno na zakup domu lub mieszkania (kredyty hipoteczne), jak i na wakacje, świąteczne prezenty, pralkę, lodówkę czy smartfon (kredyty konsumenckie, ratalne).

POLACY LUBIĄ POŻYCZAĆ

Według badania „Dlaczego Polacy się zadłużają”, przeprowadzonego na zlecenie Krajowego Rejestru Długów Biura Informacji Gospodarczej, ponad 75 proc. Polaków w wieku od 18 do 64 lat przynajmniej raz w życiu wzięło kredyt lub pożyczkę. Autorzy opublikowanego w styczniu 2019 r. raportu podkreślają, że najczęściej zadłużamy się na zakup sprzętu AGD i RTV, remont w domu oraz kupno samochodu.

Z raportu „InfoKREDYT” Związku Banków Polskich, opublikowanego w październiku 2018 r., wynika, że wartość wszystkich kredytów zaciągniętych przez Polaków wyniosła 678,2 mld zł, z czego ponad połowę stanowiły kredyty mieszkaniowe (399,2 mld zł), a jedną czwartą – kredyty konsumpcyjne.

Z ogłoszonej w lutym 2019 r. informacji Biura Informacji Kredytowej wynika, że w styczniu 2019 r. banki wydały 87,1 tys. kart kredytowych (wzrost o 7,1 proc. w porównaniu ze styczniem 2018 r.), a łączna kwota przyznanych limitów wzrosła rok do roku o ponad 21 proc. – do 561 mln zł. W szybkim tempie wzrosła również wartość udzielonych kredytów mieszkaniowych. W styczniu 2019 r. banki udzieliły łącznie 16,1 tys. tego typu kredytów o łącznej wartości 4,24 mld zł. To, co prawda o 4,6 proc.

kredytów mniej niż rok wcześniej, ale ich wartość jest aż o 11,9 proc. wyższa niż w styczniu 2018 r. Rośnie bowiem liczba wysokokwotowych kredytów mieszkaniowych. Ponadto w styczniu 2019 r. udzielono aż o 48,7 proc. więcej kredytów na kwotę powyżej 350 tys. zł niż w tym samym okresie roku ubiegłego. W styczniu 2019 r. instytucje finansowe w Polsce odnotowały niewielki wzrost także w innej grupie produktowej: banki przyznały łącznie 58,2 tys. limitów kredytowych w kontach osobistych (wzrost o 1,3 proc. r/r) na łączną kwotę 258 mln zł (wzrost o 2,1 proc. r/r).

Z kolei według najnowszych danych Narodowego Banku Polskiego wartość

678,2 mld zł

TYŁE WYNOSI WARTOŚĆ WSZYSTKICH KREDYTÓW ZACIĄGNIĘTYCH PRZEZ POLAKÓW

udzielonych przez banki kredytów konsumpcyjnych ogółem w lutym 2019 r. wzrosła miesiąc do miesiąca o 886,4 mln zł i wyniosła 191 173 mln zł. Z tego wartość kredytów konsumpcyjnych w złotym wzrosła miesiąc do miesiąca o 873,9 mln zł i wyniosła 186 944,4 mln zł. Z danych NBP wynika też, że wartość udzielonych przez banki kredytów na nieruchomości dla gospodarstw domowych ogółem w lutym 2019 r. wzrosła w porównaniu ze styczniem 2019 r. o 2692,8 mln zł i wyniosła 434 731,0 mln zł.

NA CO UWAŻAĆ

Kredytodawcy kuszą klientów w najróżniejszy sposób. Jedni oferują niskie oprocentowanie nominalne lub nawet kredyty „za darmo”, inni zachęcają klientów brakiem prowizji lub możliwością czasowego zawieszenia spłat.

Na co warto zwrócić szczególną uwagę przed zaciągnięciem kredytu lub pożyczki? Przeważnie pierwszym elementem, który porównujemy, jest oprocentowanie nominalne. Oprocentowanie nominalne jest zawsze podawane

w skali roku. Zadłużając się na dłuższy okres, warto również sprawdzić, czy oprocentowanie – np. kredytu hipotecznego – jest stałe w całym okresie finansowania czy zmienne. W drugim przypadku oprocentowanie kredytu składa się z dwóch elementów: pierwszy to marża banku, drugi zaś stanowi zmieniająca się w zależności od warunków rynkowych stawka WIBOR (Warsaw Interbank Offer Rate – to stopa procentowa, po jakiej banki udzielają pożyczek innym bankom). Marża banku jest stała – warto więc zadbać o to, aby była jak najniższa. Trzeba jednak pamiętać, że nominalna stopa oprocentowania nie zawiera wszystkich kosztów kredytu. Należy zwracać uwagę na różnego rodzaju prowizje i dodatkowe opłaty, które stanowią istotne źródło przychodów dla instytucji finansowych.

Przed podpisaniem jakiegokolwiek umowy z bankiem warto więc sprawdzić rzeczywistą roczną stopę oprocentowania (RRSO), a także całkowity koszt kredytu. Dopiero te dwie informacje pozwalają dokładnie sprawdzić, jak drogi jest dany kredyt, i rzetelnie porównać oferty różnych instytucji finansowych. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania jest wskaźnikiem, który służy do porównania kredytów pod względem związanych z nimi kosztów. RRSO określa nie tylko koszt odsetek, które będziemy musieli zapłacić, lecz także obejmuje wszystkie pozostałe opłaty, takie jak np. prowizja za przyznanie kredytu, ubezpieczenie, marże i inne koszty dodatkowe w ujęciu rocznym.

Im niższy wskaźnik RRSO, tym kredyt jest tańszy. Całkowity koszt kredytu pokazuje z kolei wszelkie koszty, które konsument jest zobowiązany ponieść w związku z umową o kredyt lub pożyczkę.

Podpisując umowę o kredyt lub pożyczkę, warto dokładnie sprawdzić, co zostało w niej napisane, i pamiętać, że obowiązują nas zawarte w umowie zapisy. Przed podjęciem decyzji o skorzystaniu np. z proponowanego ubezpieczenia sprzedawanego przez bank przy okazji udzielania kredytu warto sprawdzić, jaki byłby koszt takiego produktu u różnych ubezpieczycieli niezwiązanych z bankiem. Może się bowiem okazać, że bankowa „promocja” jest wyjątkowo drogim rozwiązaniem.

Pamiętajmy też, że przed decyzją o udzieleniu pożyczki lub kredytu instytucja finansowa bada zdolność



FOT. ANDRZEJ STOLCK

■ kredytową potencjalnego klienta. Zależy ona m.in. od uzyskiwanych dochodów, stałych wydatków (czynsz, opłaty za media itp.) oraz innych zobowiązań (np. wysokość zadłużenia z kart kredytowych), a także naszej historii kredytowej, czyli dotychczas zaciągniętych kredytów lub pożyczek. Celem takiej analizy jest sprawdzenie, czy klient będzie miał możliwość spłaty zaciągniętego długu wraz z odsetkami w określonym w umowie terminie.

NAJDROŻSZE GOTÓWKOWE

Jednym z najbardziej popularnych kredytów udzielanych w Polsce jest kredyt gotówkowy. Z raportu „InfoKREDYT” Związku Banków Polskich wynika, że 40 proc. klientów deklaruje, że pożyczą gotówkę na zakup większych dóbr konsumpcyjnych (samochodów, sprzętu RTV i AGD), 28 proc. na zakup lub remont mieszkania, 15 proc. – aby uzupełnić budżet, a 2 proc. bierze kredyt gotówkowy na wakacje lub podróż.

Kredyt gotówkowy może być jednocześnie jednym z najdroższych tego

typu produktów. Uzyskane pieniądze można wydać na dowolny cel, a w przypadku mniejszych kwot decyzja kredytowa może być podjęta nawet w ciągu kwadransa. Zgodnie z prawem wartość nominalna oprocentowania takiego kredytu nie może być wyższa od czterokrotności stopy lombardowej NBP. Obecnie maksymalne oprocentowanie kredytu gotówkowego nie może więc przekraczać 10 proc. w skali roku. Do odsetek, które nalicza bank, często dodać trzeba również dodatkowe opłaty, np. prowizję za udzielenie kredytu (mogą sięgać np. 5 lub 10 proc. kwoty kredytu), a także obowiązkowe ubezpieczenia. Do kredytów konsumpcyjnych należy również kredyt ratalny, który można zaciągnąć w wielu sklepach, sieciach handlowych i punktach usługowych.

Aby rozpatrzyć wniosek o kredyt, bank może oczekiwać od kredytobiorcy nie tylko zaświadczenia o zarobkach, lecz także zażądać zabezpieczenia kredytu. Takie zabezpieczenie może mieć różne formy. Jedną z nich jest weksel in blanco. Co to takiego? Weksel jest papierem

wartościowym. Osoba posiadająca prawo do weksla może domagać się od dłużnika zapłaty sumy określonej na wekslu. Weksel in blanco może dotyczyć albo całości, albo tylko części kwoty kredytu. Wekslowi in blanco powinna towarzyszyć tzw. deklaracja wekslowa, która określa, kiedy i na jakich warunkach może on być uzupełniony. Ważne jest również, aby w deklaracji wekslowej znalazł się zapis informujący, kiedy weksel zostanie zwrócony (np. po spłacie kredytu).

Popularnym wśród Polaków produktem jest też karta kredytowa. Mając ją w portfelu, trzeba jednak pamiętać o dyscyplinie zarówno w wydawaniu pieniędzy, jak i w regulowaniu zadłużenia. Największą zaletą karty kredytowej jest możliwość korzystania z darmowego kredytu w tzw. okresie bezodsetkowym. Okres bezodsetkowy wynosi – w zależności od banku, który wydał kartę – od 40 do 61 dni. Przez ten czas możemy bezpłatnie korzystać z pieniędzy banku, a swoje trzymać np. na rachunku oszczędnościowym. W takiej sytuacji karta kredytowa umożliwia

znaczące ograniczenie kosztów związanych z kredytowaniem comiesięcznych wydatków. Co więcej, w ramach promocji wiele banków często wydaje karty kredytowe za darmo i nie pobiera opłat za ich używanie. Trzeba jednak pamiętać o wysokich kosztach, które pojawiają się, gdy nie spłacimy w terminie całości zadłużenia. Wówczas od całości długu na karcie kredytowej będziemy musieli zapłacić wysokie odsetki (do 10 proc. w skali roku). Warto również wiedzieć, że karty kredytowej nie opłaca się wykorzystywać do wypłat w bankomacie – w przypadku tego typu transakcji nie obowiązuje bowiem żaden okres bezodsetkowy.

Osobom, które chcą mieć pieniądze na czarną godzinę, banki oferują również limit na koncie osobistym, zwany także kredytem odnawialnym. Tego typu produkt umożliwia przebrnięcie przez chwilowe problemy finansowe, zanim na konto wpłynie kolejna pensja. Zaletą limitu w koncie jest to, że odsetki (wynoszące najczęściej 9–10 proc. w skali roku) są obliczane od kwoty rzeczywiście wykorzystanego kredytu. Wadą limitu w koncie jest prowizja, którą bank pobiera za jego przyznanie lub odnowienie. Poważnym minusem tego produktu jest również zacieranie się granicy między własnymi oszczędnościami a pieniędzmi, które są dostępne w ramach dozwolonego limitu, co może prowadzić do tzw. pułapki zadłużenia.

Tańszym rozwiązaniem może być bankowa pożyczka hipoteczna. Od kredytu hipotecznego, o którym mowa poniżej, różni ją m.in. to, że pieniądze z pożyczki hipotecznej mogą być wykorzystane na dowolny cel. Zaletą pożyczki hipotecznej jest niższe oprocentowanie niż w przypadku kredytów konsumpcyjnych, a wadą to, że zabezpieczeniem spłaty kredytu jest hipoteka ustanowiona na nieruchomości. Po stronie minusów trzeba też uwzględnić czas potrzebny na jej uzyskanie (procedura jego otrzymania jest bowiem podobna do starań o uzyskanie kredytu hipotecznego), a także to, że banki często ustanawiają minimalną kwotę, którą można w ten sposób pożyczyć.

Sam kredyt hipoteczny jest najtańszy na rynku. Jego oprocentowanie zależy jednak m.in. od tego, jakim wkładem własnym dysponuje kredytobiorca. W tym przypadku również warto sprawdzić nie tylko wysokość oprocentowania nominalnego, lecz także wysokość prowizji i dodatkowych

opłat (np. opłat związanych z wcześniejszą spłatą kredytu). Uzyskanie kredytu hipotecznego to złożona procedura. Zaczyna się ona od sprawdzenia zdolności kredytowej i upewnienia się, że cena nieruchomości jest dostosowana do możliwości finansowych klienta. Bank wymaga również podpisania umowy przedwstępnej lub deweloperskiej i złożenia dokumentów dotyczących m.in. zatrudnienia, zarobków, zaświadczeń dotyczących innych zobowiązań kredytowych.

SPIRALA ZADŁUŻENIA

Mimo że wielu Polaków decyduje się na zaciągnięcie kredytu lub pożyczki, to jednocześnie wielu z nas podchodzi do kwestii zadłużania z ostrożnością. Z podanej w styczniu 2019 r. informacji prasowej Krajowego Rejestru Długów Biura Informacji Gospodarczej („W banku, u teściów i na zeszyt – gdzie pożyczają Polacy”) wynika, że 37 proc. Polaków woli zaczekać z zakupem, żeby zebrać potrzebną kwotę i nie zadłużać się, a co piąty ankietowany uważa, że kredyty są wręcz niebezpieczne, bo korzystając z nich, łatwo wpaść w tzw. spiralę zadłużenia. Niestety, z tego samego badania wynika również, że aż 25 proc. Polaków nie kalkuluje wcześniej, czy będzie w stanie spłacić dług. Co trzecia osoba w grupie zaciągającej pożyczki robi to bez sprawdzania, czy udźwignie nowy dług, a także robi to pod wpływem impulsu. Dla 30 proc. Polaków uzasadnieniem jest to, że „po prostu bardzo chcieli mieć daną rzecz”. Z kolei dla przeciętnego dłużnika spłata wszystkich zobowiązań wymagałaby przeznaczenia na ten cel dwuletnich dochodów.

Tymczasem nieprzemyślany lub zbyt drogi kredyt, niewłaściwe zarządzanie środkami na karcie kredytowej, a do tego nagła choroba lub utrata pracy, uniemożliwiające spłatę zaciągniętego długu, mogą doprowadzić do poważnych problemów z obsługą zadłużenia. Łatwo wówczas wpaść w pułapkę, która nazywa się „spiralą zadłużenia”. Termin ten oznacza sytuację, w której dłużnik nie jest już w stanie spłacać zaciągniętych pożyczek oraz kredytów i w celu ich uregulowania zaciąga kolejne długi, co może prowadzić do utraty dorobku całego życia.

W sytuacji kryzysowej, gdy długi szybko rosną, nie należy zaciągać nowych pożyczek. Trzeba jak najszybciej powiadomić o swojej sytuacji bank i podjąć

próbę negocjacji. To pozwoli uniknąć dodatkowych kosztów związanych np. z bardzo wysokimi odsetkami od należności przeterminowanych. Bank może zaproponować tzw. wakacje kredytowe, czyli okresową przerwę w płaceniu rat, lub np. zgodzić się na to, aby kredytobiorca przez pewien czas spłacał tylko raty kapitałowe lub tylko odsetki.

Co zrobić? Jednym z rozwiązań jest konsolidacja wszystkich posiadanych kredytów, co powinno pozwolić na obniżenie oprocentowania nowego kredytu konsolidacyjnego. Kredyt konsolidacyjny wiąże się przeważnie również z wydłużeniem okresu spłaty, a co za tym idzie – z mniejszą wysokością miesięcznej raty, co ułatwia systematyczną spłatę długu, ale sprawia jednocześnie, że całkowity koszt kredytu może być stosunkowo wysoki. Tak jak w przypadku innych produktów bankowych warto porównać oferty kredytu konsolidacyjnego z różnych banków, aby wybrać najkorzystniejszą dla siebie opcję. Aby

25 proc.

TYTU POLAKÓW NIE KALKULUJE WCZEŚNIEJ, CZY BĘDZIE W STANIE SPŁACIĆ DŁUG

uzyskać kredyt konsolidacyjny, trzeba mieć jednak odpowiednią zdolność kredytową – takie rozwiązanie nie jest więc dostępne dla każdego dłużnika w tarapatkach.

Jak widać, wydostanie się ze spirali zadłużenia może być niekiedy bardzo trudne. Dlatego pieniądze trzeba pożyczyc rozważnie. Warto dobrze się zastanowić, czy na pewno potrzebujemy pożyczki np. na egzotyczne wakacje czy telewizor. Najlepiej zaś w ogóle unikać tych kredytów i pożyczek, które służą jedynie konsumpcji, a nie domowym inwestycjom (np. kupno mieszkania, działki budowlanej, budowa domu, zakup nowego przydatnego w pracy laptopa lub innego sprzętu, który może zwiększyć przychody gospodarstwa domowego).

W przypadku zakupów nowego sprzętu AGD czy nowego samochodu często lepszym rozwiązaniem będzie wcześniejsze zaplanowanie wydatku i regularne odkładanie pieniędzy na wymarzony cel.



Wojciech Wybranowski

Skąd się wzięło nieprawdziwe oskarżenie Polaków o wymordowanie podczas II wojny światowej 200 tys. Żydów

Dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego prof. Paweł Śpiewak w niedawnym wywiadzie udzielonym czeskiemu tygodnikowi „Týdeník Echo” przekonywał, że pojawiająca się co jakiś czas we wpływowych mediach na Zachodzie opinia, jakoby Polacy w czasie II wojny światowej zabili więcej Żydów niż Niemców, jest prawdziwa. „Oczywisty fakt historyczny czy raczej – rzecz niezwykle prawdopodobna” – mówił Śpiewak. W ten sposób powielał kłamliwą tezę o rzekomym zabiciu przez Polaków większości z 200 tys. Żydów, uciekinierów z niemieckich gett. Powtó-

w powieście biłgorajskim nie pozostawiają...” – czytamy w tomie pierwszym wspomnianej książki, na stronie 271 w monografii powiatu biłgorajskiego autorstwa Aliny Skibińskiej. – Czyli Polacy byli uczestnikami Holocaustu tylko przez to, że stali się świadkami zbrodni. Nie mówi się o nich zgodnie z prawdą jako o ludziach bezbronnych i bezradnych, którzy nic nie mogli zrobić, by zapobiec niemieckim deportacjom Żydów z małych miasteczek Lubelszczyzny, kreuje się świadków na uczestników zagłady – wskazuje dr Gontarczyk.

Przeanalizowaliśmy i pokazujemy, jak rodził się i był wykorzystywany krzywdzący mit o rzekomo 200 tys. żydowskich uciekinierów zamordowanych przez Polaków.

WROBIĆ POLAKÓW

Początek 2018 r. Trwa właśnie ostry spór dyplomatyczny między Polską a Izraelem, dotyczący rzekomego udziału Polaków w zbrodni Holocaustu, a wywołany przygotowywaną przez polską stro-

Anatomia

rzył więc to, co niedawno sformułował prof. Jan Grabowski, członek Centrum Badań nad Zagładą Żydów i współredaktor (wspólnie z Barbarą Engelking) książki „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”.

– To jest liczba wyszana z palca. Dziś różnymi metodami często niemającymi wiele wspólnego z rzetelnymi badaniami historycznymi próbuje się przypisać Polakom współudział w zabójstwie jak największej liczby Żydów, nawet w przypadku wydarzeń, z którymi Polacy nie mieli nic wspólnego – ocenia w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Piotr Gontarczyk, historyk IPN. I wskazuje jeden z mechanizmów manipulacji wykorzystywany do powielania kłamstw o współudziale Polaków w Holokauście, przywołując fragment książki „Dalej jest noc”.

„Świadectwa świadków i tym samym uczestników akcji eksterminacyjnej

nę nowelizacją ustawy o IPN. W piśmie „The Times of Israel” ukazuje się artykuł Amandy Borschel-Dan, która powołując się na rzekome ustalenia Szymona Datnera (polskiego historyka żydowskiego pochodzenia, zajmującego się zagadnieniem Holocaustu i odpowiedzialności za masowe zbrodnie na ludności żydowskiej), przekonuje, że ok. 200 tys. Żydów, którzy uciekli z niemieckich gett lub nazistowskich transportów, zostało później zamordowanych bądź wydanych Niemcom przez Polaków.

– Liczba 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków jest wzięta z powietrza. Ale robi wrażenie. Coś takiego jak podawana dawno temu na Zachodzie liczba „polskich kolaborantów nazistowskich”, wynosząca niby 50 tys., bo tyłu było sołtysów, wójtów, urzędników gminnych i innych pracujących w administracji Generalnego Gubernator-

Jan Tomasz Gross w 2010 r. publicznie mówił o 200 tys. Żydów zamordowanych rzekomo przez Polaków

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

stwa – mówi prof. Marek Chodakiewicz, historyk z The Institute of World Politics w Waszyngtonie. – Co do tych mitycznych 200 tys. Żydów, to są zgadywanki na temat tego, ile osób uciekło z gett, a ile potem przeżyło. Dopóki nie będzie mikrostudiów każdej miejscowości, to będzie można sobie tak gdybać – podkreśla naukowiec specjalizujący się w stosunkach polsko-żydowskich.

Liczba „200 tysięcy” zaczyna w 2018 r. krążyć w innych mediach. Reaguje ambasador RP w Brnie Jakub Kumoch, który sprawdza publikacje Datnera. Jak wytknął w mediach społeczno-ściowych, w żadnej z prac Datnera takie dane nie padają. Co więcej, w swoich książkach Datner sugeruje, że ok. połowa z 200 tys. uciekinierów z gett i transportów z różnych względów mogła ocaleć także dzięki pomocy Polaków. Historyk nie oskarżył też ludności polskiej o udział w zabójstwie współobywateli żydowskiego pochodzenia, wskazując, że jeżeli takie przypadki się zdarzały, były one dziełem marginesu społecznego.

reakcje pozwalające przedstawiać się panu Grabowskiemu jako człowiek, który „walczy o prawdę”.

Z własnego śledztwa, które przeprowadził ambasador Jakub Kumoch, wynika, że Grabowski minął się z prawdą, przeinaczając dane, miesząc fakty i pomijając prawdy niewygodne dla stawianej przez siebie tezy, która miała potwierdzać mit o rzekomej współpracy Polaków z Niemcami przy Zagładzie. Kumoch przytoczył też źródła, na które powoływał się Grabowski. To pokazało, że członek Centrum Badań nad Zagładą Żydów wykorzystał zwyczajny łańcuch cytatów niemających potwierdzenia w danych. „Pięć minut wnikliwej lektury wystarczy, by zrozumieć genezę bardzo poważnego przeinaczenia źródła” – napisał na swoim FB polski dyplomata.

LICZBY Z KAPELUSZA

Mimo dementi ambasadora Kumocha i niskiej wiarygodności danych podawanych przez Grabowskiego kłamstwo o „200 tys. zamordowanych Żydów” jest

były sekretarz premiera Mateusza Morawieckiego i założyciel United Against Defamation w Amsterdamie. – Niezależnie od kręctw Grabowskiego liczba 200 tys. funkcjonuje w obiegu publicznym w Polsce i za granicą. Przywoływano ją szczególnie często w Izraelu podczas ubiegłorocznego sporu o nowelizację ustawy o IPN. Grabowskiego cytowali politycy, dziennikarze – dodaje.

W kwietniu ubiegłego roku „Newsweek”, kierowany przez Tomasza Lisa, zapowiadając książkę: „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski” pod red. Barbary Engelking i Jana Grabowskiego, napisał: „Z przeprowadzonych przez nas badań jednoznacznie wynika, że zdecydowana większość próbujących się ratować Żydów – na podstawie przebadanych i zweryfikowanych przypadków – zginęła z rąk polskich bądź też została zabita przy współudziale Polaków”.

Dzisiaj już wiadomo, że autorzy bzdury o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków nawet nie zadali sobie trudu, by sprawę rzetelnie wyjaśnić. Zamiast samokrytyki lansują za to coraz bardziej kuriozalne teorie.

„Jest to przybliżona liczba Żydów (może 150 tys., a może 250 tys. – nie sposób stwierdzić dokładnie), którzy szukali ratunku wśród mieszkańców okupowanej Polski w trzeciej fazie Holokaustu – po likwidacji gett. Mniej więcej trzy czwarte z nich nie dożyło końca okupacji (ocalało ok. 50 tys.) – i jakaś część tych śmierci obciąża sumienie Polaków” – napisała prof. Barbara Engelking, współautorka „Dzisiaj jest noc” w artykule dla „Gazety Wyborczej” (9 września 2018 r.).

Nieco wcześniej, w marcu 2018 r., prof. Jan Grabowski, także na łamach „GW”, znów powołując się na szacunki Datnera, których ten nie podawał, przekonywał: „Nigdy nie mówiłem o 200 tys. Żydów zamordowanych własnoręcznie przez Polaków. [...] Mówiłem, że według moich szacunków Polacy mogą być odpowiedzialni lub współodpowiedzialni za śmierć większości tych ludzi – a to ważne rozróżnienie. Bo część Żydów niewątpliwie zginęła bezpośrednio z polskiej ręki, a część zabili Niemcy, lecz na skutek polskich donosów bądź też po tym, jak Polacy doprowadzili i oddali żydowskie ofiary w ręce niemieckiej policji”.

Kilka tygodni temu izraelska dziennikarka „The Jerusalem Post”, Lahav Harkov, znana z niechętnego stosunku

kłamstwa

Ambasador Kumoch zwrócił się więc z prośbą do izraelskiej dziennikarki, by ta podzieliła się z nim źródłem swoich rewelacji. Wtedy Amanda Borschel-Dan przyznała, że publikacji Datnera nie zna, bo nie zna też języka polskiego. I ujawniła, że dane o 200 tys. Żydów rzekomo zamordowanych przez Polaków otrzymała od prof. Jana Grabowskiego, którego ceni jako badacza Holokaustu.

– Skandaliczny wymysł pana Grabowskiego. Twierdzenia o 200 tys. zamordowanych przez Polaków Żydów nie mają żadnych podstaw historycznych, faktograficznych – komentuje prof. Bogdan Musiał, niemiecko-polski historyk specjalizujący się w okresie II WŚ, były szef Katedry Studiów nad Europą Środkową i Wschodnią UKSW. – Mamy do czynienia z konfabulacją, która miała moim zdaniem tylko jeden cel: sprowokować i wywoływać mocne

wciąż wykorzystywane do uderzenia w Polskę. Jak?

Izraelski dziennik „Haaretz” przypomniał tekst „Orgy of Murder: The Poles Who »Hunted« Jews and Turned Them Over to the Nazis” z 2017 r. autorstwa Ofer Adereta. I tu również powołano się na wypowiedzi prof. Grabowskiego, przekonując, że „ponad 200 000 Żydów zostało zabitych, bezpośrednio lub pośrednio, przez Polaków w czasie II wojny światowej”. Tekst z „Haaretza” błyskawicznie zaczął też być promowany przez izraelskie MSZ, które zamieściło go na swoim oficjalnym portalu na Facebooku.

– Podczas moich rozmów z izraelskimi dziennikarzami, byli oni zaskoczeni, że podważam ustalenia Grabowskiego, bo przecież, jak uważali, „są to wyniki poważnych badań jego zespołu”. Problem w tym, że nie są – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Andrzej Pawluszek,



German and Polish police, Poland, 1943. Credit: Yulia Wozniak/Alamy. From: Hunt for the Jews

'Orgy of Murder': The Poles Who 'Hunted' Jews and Turned Them Over to the Nazis

More than 200,000 Jews were killed, directly or indirectly, by Poles in World War II, says historian Jan Grabowski, who studied the brutal persecution of the victims. His conclusion: There were no bystanders in the Holocaust.

W izraelskiej prasie wciąż pojawiają się artykuły takie jak w „Haaretz” w 2017 r. – o 200 tys. Żydów, którzy zginęli przez „polujących” na nich Polaków

do Polski, znów powieliła nieprawdę, stwierdzając na Twitterze: „Warszawa zrobi lepiej, jeśli przestanie ukrywać rolę wielu Polaków w pomaganiu nazistom... Ponad 90 proc. polskich Żydów zginęło w Holokauście... Historyk Szymon Datner szacuje, że Polacy doprowadzili do wymordowania 200 tys. Żydów”.

Fake newsów oskarżających Polaków o współudział w mordowaniu Żydów pojawia się coraz więcej. Kilka tygodni temu w państwowej telewizji Rossija 1 w programie ulubieńca Władimira Putina – Władimira Sołowjowa, wystąpił jako ekspert i izraelski działacz społeczny Jakow Kedmi. – Piętno współpracy z nazistami nie jest jedynym problemem Polaków. [...] Zhańbili się dodatkowo mordami na Żydach. Pół miliona Żydów zostało zamordowanych przez samych Polaków! Nie przez Niemców, a Polaków! – grzmiał Kedmi.

W połowie lutego w Paryżu zorganizowana została konferencja „Nowa polska szkoła Holokaustu”, w której uczestniczyli Jan Gross, Barbara Engelking, Anna Bikont i prof. Jan Grabowski. Jak twierdzili świadkowie konferencji Gross – autor „Sąsiadów” i „Złotych żniw”, kontrowersyjnych książek oskarżających Polaków o współudział w Holokauście – przekonywał, że Polacy zabili na wsiach więcej Żydów niż Niemców. Z kolei Grabowski miał sugerować, że Polacy nic nie robili, żeby bronić i ratować Żydów w czasie Holokaustu.

W trakcie dyskusji znów padła liczba 200 tys. Żydów, rzekomo ofiar Polaków z małych miasteczek.

– To jest po prostu hucpa niemająca nic wspólnego z warsztatem historyka. Dziś się mówi o 200 tys. Żydów, za chwilę ci sami „badacze” będą mówić o owym pół milionie, chodzi tylko o to, by stopniować szok, wtedy temat się lepiej sprzedaje – uważa dr Wojciech Muszyński, historyk, redaktor naczelny czasopisma naukowego „Glaukopis”. Uważa, że możemy mieć do czynienia z jednym z elementów wojny informacyjnej przeciwko Polsce. – Rosjanie mówią dokładnie to samo co Gross czy Grabowski, wyostrzając niektóre elementy, robiąc to bardziej topornie, podczas gdy Gross i jego grupa działa z pewną finezją – zauważa.

NARODZINY KŁAMSTWA

Jednak fałszywy mit o 200 tys. żydowskich ofiar polskiej nienawiści nie narodził się dziś. To efekt zaniedbań władz państwa polskiego i historyków, którzy często bez reakcji pozostawiali pojawiające się w przestrzeni publicznej nieuzasadnione wyniki rzetelnych badań naukowych opowieści lewicowo-liberalnych historyków, często związanych ze skrajnymi środowiskami żydowskimi. Były to opowieści o rzekomym współudziale Polaków w zorganizowanej zagładzie Żydów.

W 2010 r., popularyzowany przez środowiska „Gazety Wyborczej” i diaspo-

re żydowską w Stanach prof. Jan Tomasz Gross, który wówczas wydał książkę „Złote żniwa”, przekonywał, że Polacy zamordowali w czasie wojny ok. 200 tys. Żydów. Był pierwszym, który rzucił tę liczbę w przestrzeń publiczną. Przeciśnięty przez niektórych historyków, wytykających mu nierzetelność i braki warsztatowe, wycofał się i zaczął opowiadać o „kilkudziesięciu tysiącach”.

– Wszystko jedno, czy napiszę, że Polacy zamordowali 100, 200 czy kilkadziesiąt tysięcy. Jedno i drugie oznacza dużo – beztrudno oznajmił Gross w wywiadzie dla „Polska The Times” (17 marca 2011).

Głos w jego obronę natychmiast zabrała wówczas Alina Skibińska – ta sama, która obecnie uważa świadków Holokaustu za jego uczestników, przekonując, również w wywiadzie dla „Rz” („Chłopi mordowali Żydów z chciwości” 13.01.2011), że Gross sobie owych „200 tys. nie wymyślił”. Jednak samą liczbę rzekomych żydowskich ofiar polskich zbrodni szacowała znacznie niżej niż Gross. – Kilkadziesiąt tysięcy. I raczej więcej niż mniej. Zresztą nawet gdy za kilka lat zakończymy analizę dokumentów, i tak nie ustalimy dokładnej liczby Żydów zabitych przez Polaków – stwierdziła Skibińska.

Nie minęły nawet dwa tygodnie i liczba „pomordowanych przez Polaków” niespodziewanie wzrosła. Barbara Engelking, kierownik Centrum Badań nad Zagładą Żydów, w rozmowie z PAP



Niesprawdzone dane o 200 tys. zamordowanych przez Polaków Żydów podawał m.in. prof. Jan Grabowski FOT. DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA GAZETA

sugerowała, że z gett uciekło 250 tys. Żydów, a Polacy mieliby odpowiadać za śmierć 210 tys. z nich.

26–27 listopada 2011 r. dziennik „Rzeczpospolita” przeprowadził wywiad z prof. Pawłem Śpiewakiem, wówczas dyrektorem Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Śpiewak, powołując się na jedną z książek Barbary Engelking, utrzymywał: „Z tych badań wynika, że z rąk Polaków zginęło w czasie wojny 120 tys. Żydów”.

W 2016 r. w wywiadzie dla niemieckiej rozgłośni Deutschlandfunk Gross stwierdził, znów nie przedstawiając żadnych danych potwierdzających rzucane przez niego liczby: – Podczas tak zwanej trzeciej odłony Holokaustu, po likwidacji gett, po masowym mordzie w obozach zagłady, gdy 200 do 250 tys. ludzi usiłowało uciec i ukryć się wśród polskiej ludności, Polacy pomagali w polowaniu na Żydów, zorganizowanym przez Niemców, ale wspieranym przez polską ludność. Tylko 40 tys. polskich Żydów przeżyło.

Po dwóch latach do sprawy domniemanej polskiej odpowiedzialności za Holokaust wrócił prof. Andrzej Żbikowski z Żydowskiego Instytutu Historycznego. W wywiadzie dla tygodnika „Wprost” przy okazji obrad Sejmu, który chciał uhonorować Polaków ratujących Żydów, ogłosił: – Co do tego, że w czasie wojny więcej Żydów zginęło z rąk Polaków, niż zostało przez nich uratowanych, raczej

nie ma wątpliwości – mówił. I dodawał asekurująco: – Trudno powiedzieć, czy z rąk polskich zginęło 50 tys., 100 tys. czy może 150 tys. Żydów.

Mityczne „200 tys.” wróciło ponownie za sprawą Grossa, który wcześniej wszak przyznawał, że nie jest w stanie dokładnie oszacować domniemanych ofiar Polaków w czasie Holokaustu. – Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców. Na dziś to wygląda tak, właściwie nie mamy wątpliwości, że te liczby sięgają 100–200 tys. osób, które zostały zabite lub wydane Niemcom przez polskie otoczenie – powiedział w programie Tomasza Lisa w marcu 2018 r.

Krzywdzący mit o 200 tys. ofiar polskiej nienawiści to także efekt zaniedbań. Nie reagowano na takie opowieści pojawiające się publicznie

Historyk Bogdan Musiał zwraca uwagę na wspólną cechę tych enuncjacji – padają różne, niekiedy odmienne liczby, na których potwierdzenie „badacze” nie przedstawiają ustaleń wynikających z analiz, lecz opierają się wyłącznie na swoich rzekomych szacunkach. – Jeżeli podaje się liczby odnoszące się do danego zjawiska, to jako badacze, naukowcy

staramy się wyjaśnić, jak one powstają, muszą mieć one podstawy w źródłach, badaniach. Naukowiec nie może sobie, ot tak, rzucać danych z kapelusza, jak to ma miejsce w tym przypadku – tłumaczy prof. Musiał.

SHOW MUST GO ON

Kilka dni temu izraelski dziennik „The Jerusalem Post” oficjalnie wycofał się ze swoich publikacji, w których oskarżał Polaków o współudział w zamordowaniu 200 tys. Żydów. Nieoficjalnie mówi się, że to efekt nacisku ambasadora RP w Izraelu Marka Magierowskiego.

Gazeta przyznała, że powieliła nieprawdziwe informacje oskarżające Polaków o udział w zbrodni, której nie popełnili. Podkreśliła też, że obywatele Rzeczypospolitej uratowali 100 tys. Żydów z Holokaustu.

Wcześniej Instytut Pamięci Narodowej wydał oświadczenie, w którym wskazał jednoznacznie, że opowieści o 200 tys. Żydów pomordowanych przez Polaków są kłamstwem niemającym poparcia w rzetelnych badaniach naukowych i źródłach. „Nigdy, w żadnej z prac, Szymon Datner nie wymienił liczby 200 tys. Żydów pomordowanych poza gettami” – napisano w oświadczeniu.

Czy to zakończy show pełen nieprawdziwych oskarżeń Polaków o współudział w zagładzie Żydów? Wątpliwe. Na agendzie polskich i izraelskich mediów właśnie znalazła się wspomniana praca prof. Jana Grabowskiego i prof. Barbary Engelking „Dalej jest noc [...]”, w której znów gwałcąc zasady rzetelnego warsztatu badacza historii, próbuje się Polakom przypisać niepopołnione zbrodnie. Co prawda liczba „200 tys.” w niej nie pada, ale mowa jest o tym, że dwóch na trzech spośród Żydów, którzy próbowali się ratować, zostało zamordowanych przy udziale Polaków.

– W książce jest bardzo wiele przykładów manipulacji źródłami. Dochodzi nawet do sytuacji, gdzie ucina się pewne fragmenty z relacji, które pokazują zupełnie inny kontekst, albo wyrzywa się konkretne zdania z wypowiedzi. To jest praktyka nie tylko niedopuszczalna w publikacjach naukowych, ale w ogóle w analizie źródeł historycznych – mówił w rozmowie z portalem Do Rzeczy Tomasz Domański, historyk IPN i autor opracowania „Korekta obrazu”, w którym wskazał liczne przekłamania z pracy Grabowskiego i Engelking.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Rafał A. Ziemkiewicz

**Określenie „ojkofobia”,
spopularyzowane przez Rogera
Scrutona, nigdzie nie objaśnia emocji
dominujących w polityce i debacie
publicznej tak dobrze jak w Polsce**

Ktoś niszczył w Warszawie plakaty zapraszające na Marsz dla Życia. Sam fakt, a bardziej jeszcze sposób, w jaki to robił, jest niezwykle symptomatyczny. Otóż plakaty, przypominające o Narodowym Dniu Życia, „nieznany sprawca” (czy też „sprawcy”) zaklejał wyprodukowanymi „małą poligrafią” ulotkami, krzyczącymi, że „Polacy w czasie wojny mordowali Żydów!”, a „żołnierze wyklęci” byli „pospolitymi bandytami” – i zaprzeczanie tym „faktom” to „antysemityzm wtórny”.

Sposób wykonania tej „akcji” nie wskazuje na profesjonalną organizację ani duże pieniądze – niszczenie plakatów, umieszczanych głównie przy warszawskich parafiach, wydaje się dziełem oddolnej grupki maniaków, tego rodzaju jak 12 starszych pań, które wmieszały się w Marsz Niepodległości, by na dany sobie znak jednocześnie rzucić się „faszystom” pod nogi i paradować potem w kołnierzach ortopedycznych; jak ludzie, którzy szturmowali w ostatnich tygodniach budynek TVP przy placu Powstańców, siedzibę episkopatu czy atakowali Magdalenę Ogórek. I którzy na co dzień, jak przechwalają się na swoich internetowych profilach, „walczą z reżymem”, produkując dziesiątkami internetowe komentarze, nazywające św. Jana Pawła II „patronem pedofilów”, a bohaterów czczonych w polskiej historiografii „patrydmiotami”.

Powie ktoś, i w sumie słusznie, że trudno doszukiwać się sensu w działaniach ludzi, którzy aplikują sobie rozkoszne dreszcze „antyreżimowej konspiracji”, odbijając na powielaczach i kolportując podziemnie tezy bynajmniej w obiegu publicznym niecenzurowane, głoszone codziennie przez tzw. media głównego nurtu, a przy tym (jak pochwaliło się wspomniane komando „trzeciego wieku” kierowane przez panią Podleśną dokumentującemu takie „akty oporu” prof. Osiatyńskiemu) komunikują się przez łączniczki, ponieważ



„reżym” podsłuchuje im telefony i czyta e-maile. A jednak w zachowaniach maniaków skupia się jak w soczewce mentalność i tożsamość, którą ulicznicy aktywnie tylko uskrajnili. Mentalność przenikająca dyskurs wpływowych mediów i opiniotwórczych środowisk, dająca radykałom rozgrzeszenie z łamania w stosunku do przeciwników elementarnych norm, ponieważ „walczą o wolność”.

Walczą – przeciwko komu? Jakiej „walki” logika, pozostawiając już na boku jej sens czy raczej bezsens, skłania kogoś, żeby nie tylko niszczyć umieszczony przy kościele plakat zachęcający do udziału w proteście przeciwko aborcji – ale żeby niszczyć go właśnie obelgą przeciwko Polakom, krzykiem, że Polacy to antysemita, zbrodniarze, a ich bohaterowie – pospolici bandyci? Pomijając oczywistą kłamliwość tych oskarżeń, co ma piernik do wiatraka?

Otóż postępowanie proaborcyjnej „niewidzialnej ręki” tłumaczyć może tylko

jedno: dla owego „ruchu oporu” (możemy się z tego śmiać, ale tak bywają KOD czy „Obywatele RP” nazywane w poważnych z pozoru zagranicznych mediach) Polak i katolik to jedno: postać budząca obrzydzenie i nienawiść.

W istocie figura Polaka katolika, stworzona w drugiej połowie XIX w. przez Dmowskiego, Balickiego i Popławskiego, szukających wspólnego mianownika Polaków ze wszystkich stanów i zaborów, wciąż żyje, a nawet przeżywa renesans. Tyle że dziś jest dla „wysadzonych z siodła” elit III RP totemicznym archetypem wroga i potworem nawiedzającym je w snach. Definicja sprzed wieku okazała się nader poręczna, by skupić wszystkie idiosynkrazje pokrągłostołowych salonów.

Nie jest to oczywiście nic nowego – niemal od zawsze określenia takie jak „prawdziwy Polak” czy właśnie „Polak katolik” były w dyskursie salonów III RP określeniami nacechowanymi negatyw-



Dyskurs mediów i elit, których polityczną emanacją jest Koalicja Europejska, bazuje na prostych identyfikacjach. Co polskie – złe, zacofane, faszystowskie, antysemitkie, homofobiczne etc. Na zdjęciu marsz „Stop Rasizm, Stop Faszyzm” z 2018 r.

FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

nie, ironicznymi, ośmieszającymi – fakt, że podobnie funkcjonowały tam również słowa „Sarmata” czy „sarmacki”, pokazuje, że historyczne korzenie tej niechęci sięgają głębiej niż przywołana tu figura dawnej, endeckiej publicystyki (słowa „endecja” i „endecki” skądinąd oznaczają w tym dyskursie po prostu diabła wcielonego, wszelkie zło, równoznaczne z „faszyzmem”). Tyle że dopóki „elita III RP” czuła się pewnie, dopóki cieszyła się miażdżącą instytucjonalną i medialną przewagą, pozwalającą wierzyć, że „katolicki ciemnogród”, „wymrze jak dinozaury” i że prędkiej „zakonnica w ciąży” zostanie przejechana na pasach, nim cokolwiek tej przewadze zagrozi – dopóty niechęć ta wyrażała się tylko szyderstwem.

Trauma trzech ostatnich lat, wypełnionych coraz bardziej rozpaczliwym i bezradnym wmawianiem sobie, że zwycięstwo „ciemnogrodu” jest tylko chwilowe, że już za moment „miliony na ulicach”

i gniew „Europy” sprawią, iż znienawidzone rządy rozwieją się jak zły sen, zmieniła tę sytuację. Polak katolik stał się obiektem żywiołowej agresji.

W jakimś sensie wracamy w ten sposób do sytuacji, która figurę „Polaka katolika” wydała. Przypomnijmy sobie pierwsze zdanie wiekopomnych „Myśli nowoczesnego Polaka”, manifestu owej „wszechpolskości”, która wskazywała na katolicką tożsamość jako istotę polskości. „Nierzadko spotykamy się ze zdaniem, że nowoczesny Polak powinien jak najmniej być Polakiem. Jedni powiadają, że w dzisiejszym wieku praktycznym trzeba myśleć o sobie, nie o Polsce, u innych Polska zaś ustępuje miejsca – ludzkości”. Przecież te słowa, napisane po raz pierwszy w roku 1901, doskonale opisują elektorat tej części Polski, która w lepszych latach lubiła nazywać siebie „fajną” i „jasną”, a dziś szuka identyfikacji w określeniach „obywatelska” i „europejska”. Część z nich chciałaby się skupiać na

swym osobistym sukcesie, część na budowaniu ponadnarodowej wspólnoty, walce z ociepleniem czy wyzwalaniem „mniejszości seksualnych” na całym świecie – ale każdy wyborca Koalicji Europejskiej bez wahania podpisze się pod stwierdzeniem, że „Polak nowoczesny powinien być Polakiem jak najmniej”.

Dlaczego? Bo bycie Polakiem to „obciach”. Bycie Polakiem w porównaniu z byciem człowiekiem Zachodu nie ma w ich oczach uroku. Być Polakiem to tak, jakby, dajmy na to, słuchać polskiej ludowej, „wsiowej” muzyki, zamiast topowych hitów z list przebojów (skądinąd fala niewiarygodnego internetowego hejtu „fajnej Polski” na wiejskie śpiewaczki, które ośmieliły się swego czasu wygrać plebiscyt na turniejową piosenkę piłkarską przyśpiewką „koko-spoko”, to jeden z niezliczonych drobnych przykładów tej instynktownej niechęci).

Bardzo rzadko jest to formułowane otwarcie i wprost, ale wystarczy przecież regularnie obcować z wypowiedziami wspierających „totalną opozycję” autorytetów, o jej prostych stronnikach, „walczących” na forach internetowych i w mediach społecznościowych, już nie wspominając. Niechęć do wszystkiego, co kojarzy się z polskością, wychodzi na każdym kroku. I to w sposób coraz bardziej niepomahomowany. Granica tego, co dopuszczalne dla osoby „z nazwiskiem”, coraz bardziej przesuwają się ku standardowi wyznaczonemu przez internetowych hejterów. Po obaleniu przez grupkę „obywateli” pomnika prałata Jankowskiego to już nie anonimowy troll, ale dziennikarka „Gazety Wyborczej” rzuciła hasło – „teraz czas na te wszystkie pomniki Jana Pawła II”. Nikt z redakcji, która kiedyś starała się głosić wprawdzie „oświecony” i „otwarty”, ale jednak odwołujący się do Jana Pawła II katolicyzm, nie uznał nawet za stosowne jakoś tego skomentować, odciąć się, nie mówiąc o potępieniu.

Gdy kilka lat temu Janusz Palikot postawił sprawę otwarcie: „żeby zostać Europejczykami, musimy przestać być Polakami”, salon jeszcze go napominał i odcinał się – co prawda w podobnym duchu, w jakim obecnie potępił „przedwczesną” wypowiedź Pawła Rabczyka o prawie adopcji dla par homoseksualnych, nie za meritum, ale za grzech przeciwko „mądrości etapu”, niemniej jednak. Dzisiaj przeciwstawianie polskości, z traktowanym jako jej immanentna część tradycjonalizmem, „europejskości”, wedle miary

■ najbardziej progresywnych tamtejszych sił, jest już stałym elementem dyskursu salonów, którego zresztą nie formułują już ludzie dziedziczący coś z tradycji dawnej polskiej inteligencji, tacy jak Tischner, Michnik, Mazowiecki czy Geremek – ale Lis, Wojewódzki czy wręcz osobnicy pokroju Kuby Wątleo. O ile za czasów tych wymienionych na wstępie lewicowy projekt modernizacyjny miał zakorzenienie w polskiej tradycji, postulując nowego, oświeconego Polaka, którego chciał oświecać według wzorców oświecenia rodzimego – o tyle w miarę ponoszonych przez tę formację klęsk afirmacja polskości stopniowo zanikała, aż została praktycznie całkowicie zarzucona.

Dzisiaj dyskurs mediów i elit, których polityczną emanacją jest Koalicja Europejska, bazuje na identyfikacjach prostych jak cios cepem. Co polskie – złe, zacofane, faszystowskie, antysemickie, homofobiczne etc. Dobrze to, co w kontrze do „tutejszości” przynoszone jest z zewnątrz.

Proces ten szedł w parze z narastającą niewiarą, że „oświecenia” dokonać mogą tutejsze „elity” własnymi siłami. Polacy okazali się tak beznadziejni, tak ciemni i w tej ciemności zawzięci, że liczyć można tylko na narzucenie im tego, co dobre, przez wyteśkioną i przywoływaną na każdym kroku Europę.

Trudno nie przypomnieć sobie często cytowanych słów zachwyconego „nową wiarą” filozofa Krońskiego z listu do Miłosza: „My sowieckimi kolbami nauczymy Polaków myśleć racjonalnie”. Fakt, że tym razem rolę „sowieckich kolb” odegrać mają w marzeniach „oświeconych” elit europejskie dekrety, to tylko drobna, techniczna różnica.

@

Pojęcie „ojkofobia”, dosłownie „niechęć do własnego domu”, pojawiało się w różnych kontekstach od początku wieku XX, ale jako termin polityczny użył go i skodyfikował Roger Scruton stosunkowo niedawno. Scruton odnosił je przede wszystkim do rewolucyjnej gorliwości lewicy, zwłaszcza tej zwanej na Zachodzie nową lewicą – opisywał nim mentalność ludzi, którzy tak zachłystują się utopijną wizją „nowego wspaniałego świata”, obojętne, czy to zbudowanego na likwidacji własności, „patriarchatu”, czy „heteronormatywności”. Obserwował ojkofobię u ludzi, u których zwrócenie się z nienawiścią przeciwko własnej ojczyźnie, kulturze, mówiąc ogólnie, swoim korze-

niom, wynikało z ideologicznego fanatyzmu (George Orwell wcześniej opisywał to samo zjawisko mniej zręcznym terminem „nacjonalizmu odwróconego”).

Żywiółowa nienawiść do swojskości jest jednak namiętnością dużo silniejszą w krajach peryferyjnych i postkolonialnych – Polska jest zaś i jednym, i drugim. W kraju peryferyjnym, a bardziej jeszcze w kraju i peryferyjnym, i podbitym, jedną z najsilniejszych doświadczanych emocji jest poczucie krzywdy. Krzywdy, że urodziło się z dala od centrum cywilizacyjnego, i krzywdy, że należy się do niewolników, a nie do panów. Już pierwsza każe wybrać jedną z dwóch odpowiedzi – albo swojskość odrzucać z niechęcią, albo do przesady afirmować. Mamy ten konflikt zaświadczony i w historii (porównajmy np. Jana Henryka Dąbrowskiego z rówieśnym mu gen. Zajączkiem), i w literaturze – w zestawieniu rozzarowanego polskim niebem Hrabiego z „chorobą Sopliców”, którym „prócz Ojczyzny nic się nie podoba”.

Żywiółowa nienawiść do swojskości jest namiętnością dużo silniejszą w krajach peryferyjnych i postkolonialnych – Polska jest i jednym, i drugim

W kraju podbitym ta sama emocja ulega takiemu spotęgowaniu, że trwa jeszcze długo po zakończeniu podboju. Przypomnijmy sobie słynny „więzienny eksperyment” prof. Zimbardo. Sławny amerykański psycholog społeczny podzielił przypadkowych, nieznających się wcześniej uczestników eksperymentu na „więźniów” i „strażników”. Różnica ich statusu była w gruncie rzeczy niewielka, ograniczała się do tego, że „strażnicy” mieli prawo rozkazywać „więźniom”. Nie mieli zagwarantowanego lepszego od nich życia, lepszych mieszkań, ubrań czy jedzenia, wyłącznego dostępu do wyjazdów zagranicznych, nic podobnego – „pilnowali” umownych „więźniów” w sposób raczej symboliczny. Mimo to pomiędzy obydwoma grupami narosła błyskawicznie tak silna wzajemna nienawiść i pogarda, że w obawie przed utratą kontroli nad nią Zimbardo zmuszony był przerwać eksperyment już po siedmiu dniach.

W Polsce – i innych krajach podbitych – okupacja nie trwała siedem dni, tylko

50 lat, a nomenklaturowe elity za swe oddanie okupantowi wynagradzane były na rozmaite sposoby, budzące gniew gorzej sytuowanych. I jedni, i drudzy rozwinęli rozmaite mechanizmy radzenia sobie z tą sytuacją – w wypadku „elit” było to uzasadnianie poczucia swej wyższości przekonaniem, że pełnią szczególną funkcję jako swoisty pas transmisyjny pomiędzy cywilizacją metropolii a dzikim, krajowym interiolem (doskonale dopasował je ten nawyk myślowy do sytuacji „wchodzenia do Europy”), w wypadku zaś „ludu” głęboka pogarda dla elit, których pogardę odczuwał przy każdej okazji.

Cały proces był oczywiście bardzo złożony, rozpisany w czasie, tu operujemy wielkimi uproszczeniami. Jednak wygenerowane tym podziałem emocje uwarunkowały podział polityczny i cały spór, będący w istocie wojną wzajemnie się wykluczających tożsamości. Tożsamość tych, którzy na mocy układów wiązanych z Okrągłym Stołem zachowali w III RP uprzywilejowaną pozycję, a kilka lat temu zostali buntem „chamów” (by przypomnieć głośną konwersację aktora Zborowskiego z przewodniczącym KOD Łozińskim) jej pozbawieni, emocje swoje zracjonalizowała i skanalizowała właśnie w ojkofobiczną nienawiść do wszystkiego, co kojarzy jej się z „tamtą stroną” i co „robi nam obciach w Europie” – PiS, narodowców, „żołnierzy wyklętych”, Kościoła katolickiego i Jana Pawła II.

Warto na koniec zwrócić uwagę, że z racjonalnego punktu widzenia postępowanie nie tylko „autorytetów”, stanowiących medialne i opiniotwórcze zaplecze „totalnej opozycji”, lecz także jej polityków jest samobójstwem. Podział sceny politycznej na „orientację polską” i „orientację europejską”, bo do tego ostatecznie doprowadziła formuła „opozycji totalnej”, w sytuacji, gdy atrakcyjność brandów „Europa” i „Unia Europejska” systematycznie spada, gwarantuje opozycji przegraną. Jednak ani politycy, ani opozycyjni liderzy opinii nie myślą w ten sposób. O ich zachowaniu decydują emocjonalne odruchy: nienawiść do „tej drugiej Polski, ciemnej i zawistnej, z którą nie chcę mieć nic wspólnego”, jak ujął to oscarowy reżyser (fakt, że warunkiem uznania i sukcesu w kręgach artystycznych jest nieodmiennie ponizanie w dziele Polaków i polskości, też zaliczamy do jednego z wielu dowodów sprawczej roli emocji ojkofobiczej w „elitach”). Bez opisanego postpeerelowskiej ojkofobobii ich zachowań ani politycznych strategii zrozumieć po prostu się nie da.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER
STRATEGICZNY



PARTNERZY



Może ty też jesteś faszystą?



Agnieszka Niewińska

Cytaty z „Mein Kampf” wygłaszane pod częstochowskim obrazem. Tak twórcy teatralni chcą udowodnić, że hitlerowska idea narodowego socjalizmu jest dziś w Polsce programem politycznym

Protestów czy modlitw przed Teatrem Powszechnym w Warszawie nie było tym razem ani w dniu premiery sztuki „Mein Kampf”, ani w kolejnych dniach. Z nutką rozczarowania odnotowali to recenzenci. Zamiast okrzyków zwolenników i przeciwników adaptacji Hitlerowskiej „Mein Kampf”, która według słów reżysera ma m.in. pokazać, jak rodzi się faszyzm, w teatralnym holu słychać było raczej: „Tosty proszę!”. Bo w pierwszym dniu po premierze już kilkadziesiąt minut przed spektaklem widzami wypełnił się teatralny bufet przyozdobiony plakatem Strajku Kobiet, popularnym wśród przeciwników rządu posterem z napisem „Konstytucja” czy ogłoszeniem Kampanii Przeciw Homofobii zachęającym do przekazywania tej organizacji 1 proc. podatku. Można było wziąć sobie uliczną gazetę anarchistyczną „A-TAK”. Przekraczając próg teatralnej sali, widz nie mógł mieć wątpliwości, że jest w miejscu sprzyjającemu lewicowemu światopoglądowi.

BIAŁO-CZERWONO O NIENAWIŚCI

Premiera w Powszechnym to element obchodów Roku Antyfaszystowskiego,

który przedstawiany jest jako „ogólnopolska inicjatywa koalicji instytucji publicznych, organizacji pozarządowych, ruchów społecznych, kolektywów oraz artystów, artystek, aktywistów i aktywistek”. Stąd patronat nad „Mein Kampf” Stowarzyszenia „Nigdy Więcej”.

Tekst spektaklu w reżyserii Jakuba Skrzywanka (który w tym samym teatrze asystował bałkańskiemu skandalistcie Oliverowi Frljiciowi przy głośnej „Kłatwie”) i z dramaturgią Grzegorza Niziołka (wykładowcy, literaturoznawcy, teatrologa), to kwestie wyjęte z „Mein Kampf”, o czym lektor informuje widzów już na początku spektaklu. Odczytany zostaje także artykuł Kodeksu karnego odnoszący się do propagowania faszyzmu.

W początkowej scenie aktorzy ze spuszczonej majtkami wypięci na publiczność wyrecytowali słowo wstępne Adolfa Hitlera i przedmowę wydawnictwa do polskiego wydania „Mein Kampf” z 1992 r., demonstrując tym samym dosadnie, co myślą o rozważaniach Führera.

Pierwsza część spektaklu, w którym Hitler został rozpisany na głosy – męskie i kobiece – odnosi się do autobiograficz-

nych wątków z „Mein Kampf” – opowieści Hitlera o trudnych relacjach z ojcem, śmierci matki, marzeniach o tym, by zostać artystą. Zwierza się z poczucia beznadziei i entuzjazmu, z jakim przyjął wybuch I wojny światowej. Na scenę wjeżdża zastawiony stół, przy którym do rodzinnego obiadu zasiada sześcioro aktorów (Mamadou Góo Bâ, Klara Bielawka, Aleksandra Bożek, Arkadiusz Brykański, Natalia Łągiewicz, Oskar Stoczyński). Przy jedzeniu jedna z aktorek recytuje fragmenty, w których Hitler opowiada, jak narodziła się w nim nienawiść do Żydów. Twórcy nie pozostawiają wątpliwości, że chodzi im w tej scenie o nawiązanie do Polski. Na ścianie pojawia się olbrzymi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej (twarze Maryi i Jezusa pod koniec sceny dwójka aktorów zamalowuje wałkiem malarskim). Jeden z aktorów – mający przy rodzinnym stole reprezentować młode pokolenie – ma z kolei, niczym kibic, wymalowane na policzkach białe-czerwone barwy.

Kiedy ze sceny padają krytyczne słowa Hitlera pod adresem współczesnych mu inteligentów, twórców kultury, kiedy stwierdza, że tym, co prezentuje teatr czy kino, zirytowany byłby Schiller, oburzony

FOT. MAGDA NUCKEL

byłby Goethe, na widowni rozlega się chichot. Podobnie gdy aktorzy wygłaszają kwestię o tym, że bitwa toczy się o szkołę, kiedy pada hasło „politycznego bolszewizmu”. Publika chichocze, bo cytaty tak dobrano, by kojarzyły się z wypowiedziami współczesnych polityków, a może konkretniej – przedstawicieli partii rządzącej. Trudno bowiem patrzeć na spektakl w oderwaniu od medialnych wypowiedzi jego twórców. A ci w wywiadach nie kryli, że właśnie o takie paralele chodzi. „Chcę pokazać, że język używany przez polityków, przez każdego w Polsce, jest gorszy od języka Hitlera” – powiedział reżyser Jakub Skrzywanek na łamach „The New York Times”. W przededniu premiery ukazał się z nim wywiad w „Dzienniku Gazecie Prawnej”, w którym powiedział z kolei, że nie chciał robić przedstawienia, w którym aktorzy ze sceny powiedzą, iż w Polsce rodzi się faszyzm. „Przestańmy powtarzać to, co wszyscy wiemy” – mówił. Stwierdził nawet: „Hitlerowska idea narodowego socjalizmu jest przecież dziś w Polsce programem politycznym, który ma najwięcej zwolenników. Mieszanie postulatów prospołecznych z wartościami narodowymi jest naszą codziennością”.

KACZYŃSKI I SAMOŁOT

W opisie przedstawienia na stronie Teatru Powszechnego czytamy, że twórcy podejmują refleksję nad „Mein Kampf”, nie zamierzają jedynie oskarżać i wskazywać odpowiedzialnych za propagowanie faszyzmu. „Być może społeczny pejzaż sprzyjający odrodzeniu idei narodowego socjalizmu jest szerszy, a nasze osobiste uwikłanie w ten proces większe, niż myślimy” – zastanawiają się. Tyle że kilka wersów wyżej piszą: „W setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości przez ulice w całym kraju (często pod patronatem polityków) przemaszcerowały pochody propagujące ideologie faszystowskie”.

Reżyser zauważa jednak, że ci, którzy zarzucają innym posługiwanie się mową nienawiści, sami ją stosują. W wywiadzie dla „DGP” wspomina zachowanie podczas poznańskiego zgromadzenia antyfy z 2017 r. „Poziom językowej agresji był w grupie – z którą teoretycznie się utożsamiam – przerażający” – zaznaczył.

Swego rodzaju pluralizm widać w części przedstawienia, która prezentuje wizję Hitlera w temacie uprawiania propagandy, kiedy aktorzy cytują fragmenty „Mein Kampf” o ograniczonych możliwościach

odbiorczych mas, o tym, jaki aspekt prawdy można pokazać w propagandowym przekazie. Na scenie aktorzy tańczą z karykaturalnymi maskami przypominającymi postać zarówno Jarosława Kaczyńskiego czy Donalda Trumpa, jak i Donalda Tuska, Angeli Merkel czy papieża Franciszka. Na scenę wjeżdża rysunek samolotu, kościotrupa z meksykańskim sombrero na głowie, ponton z napisem: „Refugees welcome” czy unijnej flagi pod tęczą. „Propaganda, propaganda” – śpiewają aktorzy.

KOPULACJA GRUBASÓW

Trzeci akt zatytułowany: „Czarodziejska góra. Lebensborn” poprzedza przerwa. Obsługa wyprasza widzów z widowni. Aktorzy w kostiumach z gąbki, dzięki którym przyjmują postać nagich grubasów z wyeksponowanymi genitaliami i ogonami, krążą wśród widzów. Podchodzą, natrętnie się przyglądają, jedna z aktorek coś wykrzykuje. To przygrywka do tego, co za chwilę zostanie zaprezentowane na scenie.

Aktorzy zabawiają się genitaliami z gąbki, imitują stosunki seksualne. To ilustracja do tyrańca Hitlera o mnożeniu czystych rasowo obywateli Niemiec. Kiedy słyszymy, że to, „co nie jest czyste rasowo, na świecie jest śmieciem”, widzimy jedną z aktorek imitującą stosunek z pochodzącym z Senegalu aktorem Mamadou Góo Bâ. Wybrzmiewa też piosenka „Dla ciebie chcę być biała” z przedwojennego filmu „Czarna perła” z Eugeniuszem Bodo i pochodzącą z Tahiti Anne Chevalier znaną jako Reri.

Ze sceny słyszymy wyjęte z „Mein Kampf” słowa oburzenia na środki antykoncepcyjne dostępne w każdej aptece, twierdzenia, według których ograniczenie liczby urodzeń to rabowanie narodu z przyszłości. Twórcy wybijają cytaty o tym, że państwo musi skończyć z obojętnością w stosunku do dużych rodzin, uświęcić związek małżeński, głosić prawdę, że dziecko jest najcenniejszym skarbem narodu.

Skrzywanek w „DGP” podkreślił, że wiele osób z tezami Hitlera by się zgodziło:

„Wiem, że to, co powiem, będzie szokujące, ale to również element spektaklu: na wielu poziomach, bez znajomości kontekstu i autora, wielu zgodziłoby się do pewnego momentu z tezami, które stawia Hitler”. Niziołek z kolei w „Gazecie Wyborczej” posłużył się przykładem aborcji. „Zwolennicy ruchu anti-choice [tak lewica nazywa działaczy pro-life – przyp. red.] przedstawiali liberalizację aborcji jako zgodną z ustawodawstwem hitlerowskim w okupowanej Polsce, gdzie faktycznie służyła jako narzędzie ograniczania płodności »ras niższych«. Ale przecież w III Rzeszy aborcja była zakazana – zbrodnią było nie urodzić dziecka”.

A zatem, czy jeśli uważasz dziecko za skarb, to jesteś przeciwnikiem aborcji, albo jeśli opowiadasz się za wsparciem dla dużych rodzin, to już mówisz Hitlerem? Teatr przychodzi z pomocą w zdiagnozowaniu faszyzmu u siebie i w najbliższym otoczeniu. W programie przedstawienia zamieszcza „14 cech

faszyzmu według Umberto Eco” wybranych z eseju Eco „Ur-Fascism” z 1995 r. W punktach wymienione są choćby tradycjonalizm, odrzucenie modernizmu, irracjonalizm, uznawanie odmiennych poglądów za przejaw zdrady, rasizm, szukanie poparcia przede wszystkim u sfrustrowanych klas średnich, kult męskości czy bezwzględne

prześladowanie nienormatywnych orientacji seksualnych.

Do programu dołączono też ulotkę: „Symbole nienawiści. Jeśli widzisz je w przestrzeni publicznej – reaguj”. Wśród 23 przedstawionych znaków są m.in. swastyka, krzyż celtycki, symbol SS, mieczyk chrobrego, falanga, znaczek „zakaz pedałowania”. Zanim zgasły światła, a aktorzy zniknęli z teatralnej sceny twórcy wyświetlili jeszcze komunikat, z którym rozeszli się widzowie. O tym, że to kardynał Eugenio Pacelli (późniejszy papież Pius XII) namówił swojego poprzednika Piusa XI by nie wpisywał „Mein Kampf” na indeks ksiąg zakazanych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, europosem PiS, wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego rozmawia Maciej Pieczyński

Tylko PiS obroni Polskę

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Chcemy wyzwoić Unię ze skrajnie liberalno-lewicowej ideologii, która dziś właściwie stała się rodzajem jej filozofii publicznej, czyli filozofii zakorzenionej w jej instytucjach” – stwierdził pan w wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego”. Czym grozi ta ideologia?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Siły liberalno-lewicowe próbują dokonać przewrotu kulturowego, szermując szczytnymi co prawda, ale doprowadzonymi do skrajności ideami powszechnego równouprawnienia, tolerancji i obrony praw człowieka. Podobny proces można było zaobserwować w XIX w. Wówczas na gruncie słusznych postulatów poprawy bytu robotników wyrosła radykalna ideologia marksistowska, później marksistowsko-leninowska. Zaczęło się od walki z nędzą i wykluczeniem, a skończyło na przymusowej, pełnej przemocy i zbrodni przebudowie całego społeczeństwa...

Czy postulaty LGBT również są częścią tego skrajnego ruchu i prowadzą do rozkładu społeczeństwa?

To tylko jeden z wielu przejawów ideologii liberalno-lewicowej, bardzo jednak charakterystyczny dla tego ruchu.

Kiedys twierdził pan co innego. „Nie chcę Polski, w której homoseksualiści byliby prześladowani i nie mogli żyć w związkach prawnie uregulowanych” – pisał pan w 2010 r. Co się zmieniło w pańskich poglądach od tamtego czasu?

To cytat z mojego artykułu. Polemizowałem w nim z Adamem Michnikiem, który tłumacząc, dlaczego chce głosować na PO, imputował politykom Prawa i Sprawiedliwości zamiar stworzenia zamkniętego, nietolerancyjnego, opresyjnego społeczeństwa. Wyraźnie tam zaznaczyłem, że nie godzę się na rewolucję kulturową i naruszanie tradycyjnych norm, ale jednocześnie nie chcę Polski, w której homoseksualiści byliby prześladowani. Zresztą nie chcę Polski, w której jakkolwiek grupa byłaby prześladowana ze względu na swój sposób życia, który nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa i wolności innych.

Rozumiem. A co z drugą częścią cytowanej wypowiedzi? Wciąż jest pan zwolennikiem prawnego uregulowania związków homoseksualnych?

Tak, podtrzymuję ten pogląd.

Czyli jednak popiera pan postulaty LGBT?

Nie. Jestem przeciwko zawieraniu małżeństw przez osoby homoseksualne.

Wychodzi jednak na to, że jest pan zwolennikiem związków partnerskich.

Niekoniecznie. Nie będę ukrywał, że miałem i mam wielu przyjaciół o homoseksualnej orientacji, którzy jednak nie byli aktywistami ruchu LGBT, nie próbowali nikomu narzucić swojego sposobu bycia. Dwóch z nich zmarło na AIDS. Odwiedzałem ich przed śmiercią w szpitalu.

Mówiąc o „prawnej regulacji”, miałem na myśli takie rozwiązania, które pozwolą np. na dowiadywanie się o stanie zdrowia osoby najbliższej. Jest to nie-ludzkie, że dziś nie ma takiej możliwości. Nie chodzi tylko o przypadki homoseksualistów. Kiedy zmarła nasza schorowana sąsiadka, którą niemal do końca opiekowała się moja żona, nie mogliśmy się nawet dowiedzieć, gdzie została pochowana, bo takich informacji udziela się jedynie rodzinie. Jestem więc zwolennikiem pewnych ułatwień prawnych, ale absolutnie nie oznacza to akceptacji dla głębokich przemian kulturowych. Stoję na stanowisku obrony tradycyjnych wartości i form życia społecznego.

„Prawna regulacja związków” w konserwatywnym uchu brzmi jednak co najmniej kontrowersyjnie. Tego typu postulaty są dla polityków na prawo od PiS oczywistym pretekstem do zarzucania wam niewystarczającej prawnicowości. Kaja Godek, kandydatka Konfederacji do PE, powiedziała mi w wywiadzie: „Krasnodelski jest za legalizacją konkubinatów jednopłciowych”. Tak zinterpretowała pańskie słowa sprzed lat. I trudno jej się dziwić.

Nie, nie jestem zwolennikiem legalizacji konkubinatów jednopłciowych. Uważam tylko, że każdemu należy się cywilizowane traktowanie ze strony państwa. Nie mam też nic przeciwko homoseksualistom, jeśli nie narzucają reszcie społeczeństwa swoich postulatów i stylu życia. Co jest w tym złego? Dlaczego miałbym potępiać np. Karola Szymanowskiego czy Witolda Gombrowicza? Tylko dlatego, że żyli inaczej niż przeciętni Polacy? Jednak nie chcę, aby ich sposób życia, związany zresztą z wieloma cierpieniami, był obowiązujący w całym społeczeństwie. Natomiast pani Godek chce prawnie narzucić wszystkim swoje bardzo surowe zasady, o których łatwo się mówi, ale ze stosowaniem ich w praktyce, w codziennym życiu, jest już o wiele trudniej. Wątpię, czy jest równie bezkompromisowa i krytyczna wobec swoich koalicyjnych partnerów. Twórczość jednego z nich,

pełną wulgaryzmów, można streścić jako postulat pełnej swobody obyczajowej. I w porównaniu z twórczością wspomnianego Szymanowskiego, jeśli w ogóle można dokonywać takiego porównania, nastraja raczej pesymistycznie co do stanu cywilizacji. Inny jest inteligentnym ekscentrykiem, ale jego wypowiedzi na temat kobiet czy osób niepełnosprawnych nie powinny podobać się takim maksymalistom moralnym jak pani Kaja Godek.

Jednak w sprawie LGBT to Korwin-Milkke jest bardziej konserwatywny niż pan. Konfederacja może nadszarpnąć waszą prawą flankę. Szczególnie że w wyborach do PE eurosceptycy zazwyczaj notują dobre wyniki.

Po pierwsze, w polityce kieruję się ideami, w które wierzę, a nie zimnym pragmatyzmem. Dlatego też nie mam zamiaru zdradzać swoich przekonań tylko dlatego, że ktoś mnie za nie krytykuje. Po drugie, mam bardzo zasadnicze poglądy w kwestii obrony polskiej racji stanu, polskiej tożsamości i chrześcijańskich podstaw naszej cywilizacji. Nie sztuka – jak to czynią politycy Konfederacji – dużo i głośno mówić o interesie narodowym.

Nie mam nic przeciwko homoseksualistom, jeśli nie narzucają reszcie społeczeństwa swoich postulatów i stylu życia

Słowa to nie wszystko. Ja udowodniłem swoją działalnością, że można zabiegać o polskie sprawy w cywilizowanej formie, bez efektownej i zbędnej tromtadacji. PE to nie jest kabaret, a urządzone tam czasami happeningi nie tylko nie pomagają, lecz także wręcz szkodzą polskiej racji stanu, bo wystawiają Polskę na pośmiewisko. Kogoś, kto tak się zachowuje, łatwo jest atakować. Nieprzypadkowo nasi przeciwnicy polityczni z lewej strony próbują zepchnąć PiS do skrajnie prawego narożnika.

Przejdźmy do skrajnie lewego narożnika. Krzysztof Śmiszek, prywatnie partner Roberta Biedronia, publicznie kandydat Wiosny do europarlamentu, postuluje penalizację homofo-

bii. To chyba trochę za daleko posunięta „walka z nietolerancją”?

To jest właśnie przykład ekstremizmu, żerującego na realnych problemach wykluczenia społecznego i nietolerancji. Wspomniane postulaty tracą dążeniem do cenzury, ciągotami totalitarnymi i chęcią „stworzenia nowego człowieka”. Tylko PiS może obronić Polskę przed tego typu radykalno-rewolucyjnymi zapędami. Odbylem niedawno ciekawą rozmowę z pewnym wybitnym politykiem niemieckiej partii Zielonych. Przyznał, że on i jego koledzy mają pewien problem z polską lewicą światopoglądową, ponieważ głosi ona poglądy tak skrajne, jak oni głosili w latach 70. Z tą różnicą, że niemieccy aktywiści już z tego młodzieżowego buntu wyrosli i dojrzeeli, polscy zaś dopiero go przeżywają. Są zapóźnieni, co kompensują swoim neofickim zapałem, proponując rewolucję kulturową, gdy na Zachodzie lewica zaczyna wracać do postulatów społecznych i odcina się od polityki „tożsamościowej”. Prawdziwe wykluczenie ma dziś charakter przede wszystkim materialny i dopiero wtórnie ideowy, i dotyczy nie wielkomiejskich środowisk oddających się eksperymentom obyczajowym, lecz niezamożnych ludzi na prowincji, kierujących się tradycyjnymi wartościami. Dlatego też europejska lewica zaczęła chwalić programy socjalne PiS i gratuluje nam, że dzięki naszej polityce wielu obywateli stać na godne życie.

Skoro PiS tak skutecznie walczy z wykluczeniem społecznym, to znaczy, że właśnie PiS jest prawdziwą lewicą. Wydało się.

Nie. PiS jest partią prawdziwie konserwatywną. Walczymy przy tym z ortodoksą neoliberalizmu, z fałszywym przekonaniem, że konserwatyzm można sprowadzić do wspierania turbokapitalizmu, niskich podatków i reprezentowania środowisk biznesu. Wolny rynek, bez żadnych limitów i kontroli, nie tylko nie wspiera, ale wręcz niszczy tradycyjne wartości, których nośnikiem od zawsze był „prosty lud”.

Na lewicowość światopoglądową z partią Biedronia łączy się Koalicja Europejska, zdecydowanie broniąc Karty LGBT+, mimo że według niedawno opublikowanego sondażu 67 proc. Polaków uważa, że dzieci powinny o seksie uczyć się od rodziców, nie od nauczycieli. To ułatwia wam stawianie się w roli obrońców wartości konserwatywnych.

KE i Wiosna ułatwiają nam zadanie. Mój wspomniany już znajomy z niemieckiej partii Zielonych pochwalił socjalny program PiS i deklarował wsparcie dla „konserwatywnych reformatorów”, ale obawia się – jak sam to ujął – „konserwatywnych rewolucjonistów”. Przekonywałem go jednak, że nie jesteśmy rewolucjonistami, wręcz przeciwnie – chronimy ludzi zarówno przed zwolennikami radykalnej rewolucji kulturowej, jak i przed negatywnymi skutkami niekontrolowanego kapitalizmu.

W walce o wielkopolskich wyborców pańskimi rywalami z Koalicji Europejskiej są m.in. Ewa Kopacz i Leszek Miller. Byłby premier zaproponował pan debatę przedwyborczą w języku angielskim lub niemieckim. Kopacz porównała pana za to do Bismarcka, z kolei Miller nazwał pańską inicjatywę głupim pomysłem, ponieważ, skoro wyborcy są Polakami, to również kandydaci powinni debatować po polsku.

Oboje kandydują z listy koalicji, której nazwa jest wykluczająca. Sugeruje bowiem, że inne ugrupowania nie są europejskie... Powinni raczej się nazywać Koalicja Euroentuzjastyczna lub Koalicja Uległych i Konformistów.

Równie dobrze można powiedzieć, że nazwa Prawo i Sprawiedliwość jest wykluczająca, bo sugeruje, że konkurenci mają coś przeciwko prawu i sprawiedliwości. Tak czy inaczej – po co ta debata? Chce pan się popisać umiejętnościami językowymi i pokazać, że stereotyp zamkniętych na świat działaczy PiS jest fałszywy?

Kandydujemy do Parlamentu Europejskiego, a nie do polskiego Sejmu. Wydawało się oczywiste, że efektywna praca na forum PE wymaga umiejętności komunikowania się z politykami z innych krajów UE, gdzie znajomość języka polskiego raczej powszechna nie jest. Okazało się przy tym, iż pani premier Ewa Kopacz, działaczka partii tak bardzo przyjaźnie, wręcz bezkrytycznie nastawionej do Niemiec, ma antyniemieckie uprzedzenia, dotyczące wręcz samego języka. Niemiecki kojarzy jej się tylko z Bismarckiem. Z kolei partia Leszka Millera w PE była w składzie frakcji socjalistów, którzy są gorącymi zwolennikami federalizacji. W dodatku w obu frakcjach – w EPL i S&D – silne było poparcie dla idei, by lukę po brytyjskich europarlamentarzystach w efekcie brexitu zastąpić posłami wybranymi z listy ponadnarodowej. Federaliści od dawna postulują, by wybory do PE mia-

ły charakter ponadnarodowy – jeśliby odnieśli sukces, wówczas większość kampanii prowadzona byłaby w obcych językach. Cała ta polemika pokazuje tylko, że „europejskość” polityków KE to w istocie fałsz, maska, pod którą kryją się uprzedzenia, kompleksy, ksenofobia, prowincjonalizm.

Miller stwierdził nawet, że jak pan chce debatować po niemiecku, to niech pan sobie jedzie do Niemiec, gdzie i tak pan mieszka, i niech tam zabiega o przychyłność. Były szef SLD zaatakował pana z prawicowych pozycji.

Mieszkam w trzech miejscach. Oprócz Polski i Niemiec od pięciu lat także w pewnym mieście, które nazywa się Bruksela i położone jest w Belgii. Jeśli pan premier Miller zostanie wybrany do PE, to będzie musiał sprawdzić na mapie, gdzie to jest, bo również tam będzie musiał od czasu do czasu przebywać, a nawet mieszkać. Ponadto często występuję w niemieckiej telewizji, gdzie w języku niemieckim bronię polskich i europejskich intere-

„Europejskość” polityków KE to w istocie fałsz, maska, pod którą kryją się uprzedzenia, kompleksy, ksenofobia, prowincjonalizm

sów – niestety, ale po polsku nie da się przekonywać tamtejszej opinii publicznej do naszych racji. Premier Miller jest bardzo dumny z tego, że wprowadzał Polskę do UE. Nie zauważył jednak, że od tamtego czasu minęło już 15 lat, a Unia się fundamentalnie zmieniła. Dzisiaj więc – podobnie jak pani premier Ewa Kopacz – kandyduje do organu, o którego funkcjonowaniu ma tylko mgliste wyobrażenie.

Sprytny ten pański chwyt z debatą w języku obcym. Teraz wychodzi na to, że jest pan bardziej „europejski” niż kandydaci Koalicji Europejskiej.

Panie redaktorze, ależ to nie jest żaden chwyt. Proponowałem debatę po polsku, ale też – jeśliby konkurenci chcieli – po angielsku lub niemiecku. Bardzo chętnie zmierzę się jednak z kandydatami Koalicji Europejskiej na „europejskość”. Być może okaże się

wtedy, że to ja jestem bardziej europejski niż Ewa Kopacz czy Leszek Miller. Lepiej i dogłębniej znam tzw. Zachód oraz Unię niż oni. Właśnie stąd wynika mój konserwatyzm – widzę bowiem, że obrona własnego interesu narodowego jest w innych państwach normą.

Według sondaży frakcja EKR, do której należy PiS, po wyborach może stać się nawet drugą siłą w PE. Ważą się też losy Fideszu, który w EPL jest na cenzurowanym. Zamierzacie odegrać rolę mediatora i przyciągnąć Orbána do obozu konserwatywnego?

Jako wiceprzewodniczący PE dostrzegam wzrost znaczenia PiS wśród europejskich konserwatystów, i nie tylko. Myślę, że uda nam się przyciągnąć Orbána, a za nim pójdą kolejni, szczególnie że EPL traci tożsamość ideową.

Jarosław Kaczyński w ostatnim czasie spotykał się z liderami włoskiej i hiszpańskiej prawicy: Matteo Salviniem i Santiago Abascalem. Czy ich ugrupowania też wejdą do EKR?

Być może. Budowa koalicji będzie trudna, ale uważam, że musimy zrobić wszystko, aby frakcja Europejskich Konserwatystów i Reformatorów była jak największą siłą.

To może przy okazji oduczyście Salviniego prorosyjskich sympatii?

Jeśli nam się zarzuca flirt z rusofilami, to w jeszcze większym stopniu można takie oskarżenia formułować pod adresem Platformy, sprzymierzonej z CDU-CSU, czy SLD sprzymierzonej z SPD. Poglądy wicepremiera Włoch są niczym w porównaniu ze szkodliwą i z przekuwaną w realną politykę prorosyjskością wielu polityków niemieckich, m.in. popierających sojusz gazowy z Putinem w postaci Nord Stream 2. O spacerze na sopockim molu z Putinem nie wspomnę.

Na koniec dyskusji o Brukseli przejdźmy do „króla Europy”. Jaka przyszłość czeka Donalda Tuska? Powrót na białym koniu do polskiej polityki czy dalsza kariera w Brukseli?

Jego przyszłość osobista będzie na pewno komfortowa. Myślę, że dzięki swoim zagranicznym przyjaciółom zostanie prezesem jakiejś prestiżowej organizacji międzynarodowej. Dalej też będzie recenzować polską politykę, ale z coraz większego dystansu. Nie sądzę, by wrócił. Niewielu tu na niego czeka.



Piotr Semka

Zwolennicy decentralizacji uwielbiają niewyjaśniany szerzej mit, że samorządy w Polsce to samo dobro, a władza centrum to jakiś upiór z epoki PRL. Jednak każdy nowy podział na dzielnice może być okazją do wojen hybrydowych i kreowania konfliktów

Wyniki wyborów z ostatnich 30 lat wyraźnie wskazują, że nasze różnice polityczne mają widoczny wymiar geograficzny. A co, gdybyśmy odpowiedzialność za dzielące nas kwestie sporne przekazali władzom samorządowym? – tak zaczyna się tekst trojga autorów firmujących projekt Zdecentralizowana Rzeczpospolita – prof. Antoniego Dudka, prof. Macieja Kisilowskiego i dr hab. Anny Wojciuk na łamach „Rzeczpospolitej”. Za projektem stoi Inkubator Umowy Społecznej – grupy naukowców, historyków, liderów opinii i działaczy samorządowych.

Jeśli szukać odpowiedzi na ideowe usytuowanie projektu, to warto przyjrzeć się trójce autorów wytypowanych na jego twarze. Maciej Kisilowski to profesor Central European University w Budapeszcie, czyli uczelni utożsamianej z George'em Sorošem, która teraz pod wpływem działań Viktora Orbána musi przenieść się do Wiednia. Sam Kisilowski definiuje się jako progresista. Anna Wojciuk przedstawiana w tekście w „Rzeczpospolitej” jako „centrowa badaczka siły państwa” publikuje na łamach pisma „Liberté!”. W sierpniu 2018 r. Kisilowski i Wojciuk napisali wspólnie dla „Gazety Wyborczej” tekst wzywający opozycję, by „miała odwagę zerwania z narzuconym przez prawicę i utrzymywanym w atmosferze moralnego szantażu konsensusem wokół polityki historycznej”. Wreszcie Antoni Dudek zdefiniowany w artykule jako „konserwatywny badacz historii najnowszej”, to politolog trzymający się raczej centrum, w wyraźny sposób dystansujący się od dobrej zmiany.

Swoj manifest autorzy zaczynają od konkluzji, że Polska jest dziś krajem o wyraźnym wzroście gospodarczym, beneficjentem Unii Europejskiej, krajem o gwarantowanym bezpieczeństwie wynikającym z członkostwa w NATO, a jednocześnie krajem osłabianym „plemiennym konfliktem politycznym”.

Tematem tych sporów są, jak piszą autorzy: „kwestie obyczajowe, prawa mniejszości, stosunek do historii, szczególnie tej najnowszej, wychowanie dzieci i system edukacji, rola Kościoła w życiu publicznym, a także niektóre kwestie ekonomiczne (np. wiek emerytalny)”. Dudek, Kisilowski i Wojciuk deklarują, że są jak najdalej od lekceważenia ich znaczenia. „To nie są tematy zastępcze” – podkreślają solennie.

Tyle że wyciągają z tego wniosek: „Niezależnie od wyników wyborów

raczej konserwatywna. Podobne różnice występują też np. w kwestii religijności. Istnieją przy tym różne odcienie regionalnych podziałów, a w niektórych kwestiach różnice rozkładają się w inny sposób. Decentralizacja kwestii spornych pozwoliłaby nam jednak wyzwolić się z logiki »gry o wszystko«.

Dzisiaj, gdy słyszymy, że Podkarpacie chce całkowicie zakazać aborcji, a Gdańsk finansuje in vitro, brzmi to dla nas dziwnie, a nawet niepokojąco. Częściowo jest to efekt przyzwyczajenia do centralizmu, sięgającego korzeniami przede wszystkim PRL. Jednak jest jeszcze głębszy problem: nad tymi lokalnymi eksperymentami wciąż unosi się widmo wszechmocnej władzy w Warszawie. Gdy Rafał Trzaskowski ogłasza wprowadzenie standardów WHO w edukacji seksualnej w warszawskich szkołach, konserwatywni Polacy obawiają się, że pewnego dnia standardy te mogą – wbrew lokalnym wrażliwościom – być

Polska dzielnicowa – reaktywacja

w obecnym scentralizowanym systemie władzy duża część Polaków nie czuje się we własnym państwie gospodarzem. Gdy Polska progresywna nieznacznie wygrywa wybory parlamentarne, konserwatywni Polacy czują się wykluczonym i poniżanym »ludem smoleńskim« czy »moherowymi beretami«. Gdy rezultat jest odwrotny, liberalni obywatele czują się stygmatyzowani jako zapatrzone w Zachód »lemingi« i »gorszy sort«.

Trójka naukowców przedstawia jako remedium na taką sytuację swój sposób na osłabienie temperatury sporów w tych kwestiach.

„Wyniki wyborów z ostatnich 30 lat wyraźnie wskazują, że nasze różnice polityczne mają widoczny wymiar geograficzny. W polityce północno-zachodnia Polska jest bardziej progresywna, a południowo-wschodnia

wprowadzone do szkół w całej Polsce. Tej obawy nie byłoby, gdyby programy nauczania co do zasady regulowane były na poziomie województw. Wiele państw, w tym Niemcy, Szwajcaria, Wielka Brytania, nie ma centralnych, krajowych programów nauczania.

Ogromną przewagą takiej strategicznej decentralizacji dzielących Polaków kwestii spornych jest to, że nie proponujemy tu zgniłego kompromisu. W Zdecentralizowanej Rzeczypospolitej żadna ze stron nie musi rezygnować ze swoich wartości. Nasz pomysł nie oznacza, że Podkarpacie na zawsze pozostanie konserwatywne, a Pomorze liberalne. W każdym województwie lewica, liberałowie, ludowcy, konserwatyści i narodowcy będą mogli ostro konkurować o głosy wyborców. Różnica jest jedna: partia, która wygrywa kilkoma punktami

procentowymi jedne wybory (parlamentarne), nie będzie mogła narzucić swoich przekonań automatycznie całemu krajowi. Politycy i działacze społeczni będą musieli się napracować, by do swych rozwiązań przekonać wyborców w każdym województwie z osobna”.

Autorzy tekstu proponują pewne bezpieczniki, które ograniczałyby zbyt ni regionalizm. Jak piszą: „Czy proponowane zmiany oznaczają zmianę ustroju unitarnego na federalny? Nie. Zakładamy, że władza centralna wciąż nadzorowałaby legalność działań samorządu, a w skrajnych przypadkach mogłaby odwołać władze samorządowe. W ramach konstytucji z 1997 r. tę funkcję nadzorczą sprawuje premier, ale uważamy, że warto rozważyć, by w przyszłości uprawnienie to przenieść na prezydenta, którego pochodzący z wyborów powszechnych mandat szczególnie predestynowałby do bycia strażnikiem spójności państwa”.

Autorzy kampanii zdecentralizowanarp.pl już zainteresowali swym projektem ważne media. Wspierający projekt tekst Anny Wojciuk i Wojciecha Przybylskiego z fundacji Res Publica Nowa ukazał się w „Dzienniku Gazecie Prawnej”. Profesor Kisilowski był też gościem programu Tomasza Lisa na portalu Onet.

IDEA NIENOWA

Czytając program Zdecentralizowana Rzeczpospolita nie sposób zapomnieć, że pomysł ideowego podziału Polski według wskaźnika geograficznego pojawiał się wśród krytyków PiS blisko dekadę temu. Jako pierwszy podobną myśl rzucił w listopadzie 2010 r. na kongresie socjologów dr Radosław Markowski, proponując podział kraju na „Polandię i PiSlandię”. Jak opisywał wówczas jego wywody tygodnik „Polityka”: „Skoro już dokonał się i dramatycznie ujawnił tak ostry podział, każdy powinien wybrać sobie swój filar i w nim płacić podatki, leczyć się, posyłać dzieci do szkoły. W ten sposób każdy by miał Polskę, jaka mu się mniej więcej podoba, i każdy mógłby żyć wedle reguł, które z grubsza akceptuje. Kto nie zgadza się na in vitro, leczyłby się w szpitalu lub robiącymi in vitro. Kto nie chce w szkole religii, posyłałby dzieci do szkoły bez religii. Kto nie cierpi Lisa, oglądałby TVPiS. Kogo Pospieszalski doprowadza do szału, miałby TVPO. Wyborcy dwóch głównych partii

mieliby do wyboru uczelnie, gdzie w jednej rektorem byłby prof. Zybortowicz, a w drugiej prof. Magdalena Środa – ze wszystkimi tego konsekwencjami, które przestałyby być traktowane jak zawłaszczanie instytucji.

Przede wszystkim odpadłaby zasadnicza cecha dzisiejszego polskiego konfliktu: że jedna strona coś chce narzucić drugiej, że musi koniecznie zwyciężyć jedna ideologia przy zasadniczym i nieusuwalnym sprzeciwie drugiej strony. Powstałaby Polska Republika Federalna”.

ma. Autorzy dbają, by żadnej ze stron nie oceniać jako lepszej lub gorszej. Jednak od skojarzeń z nienawistnymi pamfletami Migalskiego czy Sadurskiego trudno się oderwać.

Należy też uczciwie przyznać, że trójka Dudek-Kisilowski-Wojciuk zauważają poważne problemy z wcieleniem swych idei w życie. Przyznają, że wymagałoby to zmiany konstytucji, co wymaga w Sejmie większości co najmniej dwóch trzecich głosów oraz bezwzględnej większości głosów w Senacie. Tym niemniej na koniec wzywają: „Przy wszystkich różnicach, im większa



W ciągu kolejnych lat do tego pomysłu, w mniej lub bardziej zabawowym stylu, powracali Marek Migalski, Wojciech Sadurski czy Zuzanna Ziomecka. Dominował jednak ton irytacji na rządzącej zmianie lub dość złośliwe dzielenie Polski na „liberalny Zachód” i zacofany, niedorośli do nowoczesnej europejskości Wschód.

Projekt Dudka, Kisilowskiego i Wojciuk charakteru żartu czy szyderstwa nie

zgoda wokół strategicznych priorytetów władzy centralnej, tym silniejsze jest dane państwo w obronie swych interesów, w tym na arenie międzynarodowej”.

WIELE WAD, NIEWIELE ZALET

Pomysł trojga naukowców brzmi efektownie. Niech każdy dostanie po swojej połówce Polski. Czy jednak rozwiązuje to istotę sporów z ostatnich trzech dekad?

Po pierwsze, nie usuwa głównego problemu, który uwiera wyborców PiS. Jest nim przekonanie, że druga strona faktycznie nie uznaje możliwości sprawowania władzy przez prawicę w skali całego kraju. Ten sprzeciw wobec demokratycznego konsensusu racjonalizowany jest poprzez podnoszenie zdarzających się w demokracji sporów, w tym sporów konstytucyjnych, do skali manichejskiej walki dobra ze złem. Jak to kiedyś wskazał Adam Michnik – do tego, czy władzę w Polsce będą sprawować moralni spadkobiercy Gabriela Narutowicza, czy też jego mordercy.

Regionalizacja nic tu nie zmienia. Tym bardziej że w tej rozgrywce obóz okrągłostołowy ma po swojej stronie trzy istotne siły – środowisko sędziowskie, euro-liberalne media i wreszcie instytucje unijne. Będą one aktywne i w sporach na szczeblu województw. Po drugie, złudne jest przekonanie, że spory w województwach da się

sprawa jest stosunkowo jasna. Masz władzę i większość w Sejmie, to decydujesz.

Po trzecie, liberalna lewica rzadko ulega samoograniczeniu. Mogą uznać swoje województwa za sferę normalności, a nieswoje jako miejsca zniewolenia kobiet, homoseksualistów czy mniejszości. I siostry z Wielkopolski będą jeździć wyzywać kobiety z podlaskiego. To samo z demonstracjami politycznymi. PiS obchodził się jak z jajkiem z blokadą



mi KOD. W drugą stronę to nie działa. W Gdańsku prezydent Adamowicz potrafił zakazywać demonstracji zwolennikom Andrzeja Gwiazdy, powołując się na bezpieczeństwo głównej imprezy pod stoczną zdominowaną przez „słusznych solidarnościowców”. A co z imigrantami? Kto ich zatrzyma na granicy województwa?

Po czwarte, nieprzypadkowo w polskiej pamięci historycznej rozbicie dzielnicowe uważane jest za groźny moment osłabienia państwa i uzyskania wpływu na polskie sprawy przez sąsiadów.

Każde nowe podzielenie na dzielnice może być okazją do wojen hybrydowych i kreowania konfliktów. W wypadku ziem zachodnich – idea decentralizacji może spowodować dążenie tych województw do ekonomicznego uzależnienia od Niemiec. Na Śląsku wzmocni ruch na rzecz autonomii. Na prawicy kojarzy się to z pomysłami z początku lat 90., kiedy to lansowano euroregiony, uznawane za przymiarki

do powolnej ewolucji na rzecz europejskiego superpaństwa.

Po piąte, autorzy pomysłu decentralizacji nie mają prawa oburzać się na okoliczność, że „zwycięzca bierze wszystko”. Tak było z wygraną Donalda Trumpa nad Hillary Clinton. Tam też udowodniano po wszystkim, że na republikanina głosowało mniej Amerykanów niż na demokratkę – szybko zapominając, że obie strony akceptowały system elektorski. Zasada większości parlamentarnej obowiązuje w Niemczech czy we Francji. Czy jest sprawiedliwa? Być może nie, ale lepszej nie wymyślono.

Po szóste, nie ma co udawać, że w polskich warunkach regulatorem takiej idei decentralizacji (dla uspokojenia zazwyczaj obdarzanej przymiotnikiem „mądra”) jest prawo korekty ze strony rządu czy prezydenta. Jeśli prawicowy rząd lub prawicowy gospodarz Belwederu jakiegokolwiek interwencji stanie wobec oporu, który znów jak w ostatnich czterech latach powoła się na zasady demokracji lub normy unijne. Nietrudno sobie też wyobrazić akcję innych, bratnich ideowo województw z „uciskanym regionem”.

I na koniec jeszcze jedno. Zwolennicy decentralizacji uwielbiają nie wyjaśniać szerzej mit, że samorządy w Polsce to samo dobro, a władza centrum to jakiś upiór z epoki PRL.

„Dlaczego centrum od lat deleguje coraz więcej zadań na lokalny samorząd? Bo wie, że ten potrafi znaleźć praktyczne rozwiązania” – piszą Anna Wojciuk i Wojciech Przybylski, reklamując ideę decentralizacji. I dalej: „Produktem eksportowym polskiej demokracji jest samorządność ciesząca się niezmiennie wysokim, ponad 60-procentowym zaufaniem. Ufamy temu, na co mamy wpływ – jesteśmy narodem praktycznym. Samorządność, decentralizacja i większa rola obywateli w podejmowaniu decyzji w sprawach ich dotyczących są autentyczną formą upodmiotowienia”.

Autorzy tej laurki nie zadają sobie pytania, skąd taki wysoki poziom akceptacji samorządów. Czy aby nie dlatego, że oddały one wiele kwestii rodzących konflikty władzy centralnej? A same kojarzą się z kwestiami życia codziennego, takimi jak kursowanie tramwajów czy szkoły?

Czy jak samorządy wezmą się za aborcję lub politykę historyczną – to konflikty nie zejda na dół?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

oddzielić od sporów w centrum. Gdyż to centrum wiele razy musi decydować w sprawach dotyczących idei lub sporów cywilizacyjnych – „wte” lub „wewte”. Polska jako państwo musi opowiadać się za rozmaitymi zapisami lub przeciw nim w konwencjach międzynarodowych. Jak ma głosować rząd, gdy połowa województw będzie za, a druga przeciw? Teraz

Jest z nami dr Krzysztof Śmiszek, osoba szczególnie mi bliska. On dba o to, by rozliczyć osoby winne naruszeń konstytucji – tymi słowami Robert Biedroń przedstawił swojego partnera na konwencji założycielskiej partii Wiosna na początku lutego. Niedawno okazało się, że będzie też jedynką do Parlamentu Europejskiego w okręgu, obejmującym województwa dolnośląskie i opolskie.

W ten sposób Śmiszek z prawnika, zaangażowanego w działalność na rzecz środowisk LGBT, staje się politykiem. Dokładnie tak jak osiem lat temu sam Biedroń.

HOMOFOBOM DO WIĘZIENIA

Śmiszek przechodzi właśnie przyspieszony kurs polityki, boleśnie przekonując się, że to, co opowiada na spotkaniach LGBT, nie będzie równie entuzjastycznie przyjmowane przez ogół odbiorców i potencjalnych wyborców. Jak choćby wypowiedź o karaniu więzieniem za homofobię. „Wprowadzimy takie przepisy, że każdy homofob, który żeruje na najsłabszych instynktach i zagraża bezpieczeństwu osób LGBT, zostanie ukarany, z więzieniem włącznie. Niezależny sąd i niezależna prokuratura będą mogły wszczynać postępowania karne przeciwko homofobom” – oznajmił w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”.

Jego wypowiedź wywołała lawinę komentarzy. Pojawiły się zarzuty o brak tolerancji i chęć kneblowania osób o innych poglądach. Już dziś bowiem często jest tak, że pod homofobię podciągane są wszelkie wypowiedzi krytykujące ideologię LGBT albo niewygodne dla tego środowiska. Szef MSWiA Joachim Brudziński nazwał wypowiedź Śmiszka „nienawistną retoryką”.

Zapytaliśmy Krzysztofa Śmiszka, czy nie żałuje swoich słów i czy nie uważa, że poszedł krok za daleko. Nie odpowiada wprost, tłumaczy, że tylko powtórzył to, do czego rząd PiS zobowiązał się podczas posiedzenia Rady Praw Człowieka ONZ w Genewie w 2017 r. Zobowiązanie to miało dotyczyć nowelizacji Kodeksu karnego w zakresie przestępstw z nienawiści i mowy nienawiści w postaci rozszerzenia katalogu o orientację seksualną oraz tożsamość płciową. Chodziło też o zmiany w prawie karnym, które zapewnią ochronę przed dyskryminacją osobom LGBTQI. Sęk w tym, że polski rząd nie wprowadził takich zmian w prawie i nic nie wskazuje

Chodzi o kompetencje?



Kamila Baranowska

Krzysztof Śmiszek do tej pory pozostawał w cieniu swojego życiowego partnera Roberta Biedronia. Teraz przy jego pomocy wchodzi do polityki i na dzień dobry postuluje karanie więzieniem za homofobię



FOT. JAREK PRASZKIEWICZ/FOTUM

na to, by planował to zrobić. Zwłaszcza że – o czym Śmiszek, który jest prawnikiem, doskonale wie – rekomendacje ONZ nie są dla rządów wiążące.

W jednym ze wspólnych wywiadów, których Biedroń i Śmiszek udzielili magazynowi „Viva!”, ten drugi wyznał, że polityką interesuje się chyba bardziej niż jego

partner polityk. – To prawda, Krzysztof ma dużo większą wiedzę polityczną ode mnie – potwierdził Biedroń. – Ale ja mam lepszą intuicję – zaznaczył.

Ten brak intuicji może w polityce sporo kosztować. „Jesteśmy partią proekologiczną. Ale jedną kwestię odrzucamy jako Wiosna Biedronia. To jest recykling

polityków! Ci sami ciągle wymieniają się stołkami. Raz do Sejmu, raz do PE, a raz do Senatu. Koniec z tym!" – napisał na Twitterze, wcześniej mówiąc to samo w innych mediach. Posypały się komentarze, że oto osoba, która walczy o szacunek i tolerancję, sama pogardliwie mówi o innych politykach, a także, że „recykling polityków” dotyczy w takim samym stopniu Wiosny i samego Biedronia, który był wcześniej i w SLD, i w Ruchu Palikota. „Krzyziu. Nie atakuj swojego szefa Roberta, Wandy Nowickiej, Pauliny Piechny i Krzysztofa Gawkowskiego. Oni też już kandydowali lub byli w kilku partiach. Używanie określenia w stosunku do nich »recykling« jest niegrzeczne” – tak odpowiedział Śmiszkowi szef SLD Włodzimierz Czarzasty.

Śmiszek doświadczenia politycznego nie ma, dotąd zajmował się głównie działalnością społeczną. Jest pomysłodawcą i współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Prawa Antydyskryminacyjnego, stowarzyszenia prawników, działających na rzecz mniejszości. W latach rządów SLD pracował m.in. w biurze pełnomocnika rządu ds. równego statusu kobiet i mężczyzn, gdy funkcje te sprawowały Izabela Jaruga-Nowacka i Magdalena Środa. Przez wiele lat szefował grupie prawnej Kampanii Przeciw Homofobii, w stowarzyszeniu, któremu przewodniczył Robert Biedroń (tam się poznali). Był też wykładowcą gender studies na Uniwersytecie Warszawskim.

Z Biedroniem są parą od 2002 r. W 2010 r. zrobiło się o nim głośno za sprawą... Elżbiety Radziszewskiej, pełnomocnik rządu ds. równego traktowania w rządzie PO-PSL. Śmiszek wraz z Radziszewską byli gośćmi śniadaniowego programu „Dzień dobry TVN”, gdzie minister Radziszewska broniła prawa katolickiej szkoły do zwolnienia nauczycielki lesbijki. Śmiszek był przeciwnego zdania. – Jeśli by pan Śmiszek, kiedy wiadomo, że jest członkiem społeczności osób homoseksualnych, jest aktywistą Kampanii Przeciw Homofobii i jest tajemnicą poliszynela, kto jest partnerem pana Śmiszka – zaczęła w pewnym momencie swoją wypowiedź Radziszewska. Z oburzenia zatrzęsły się liberalne media, wytykając Radziszewskiej, że wydała Śmiszka, który oficjalnie nie przyznał się do bycia gejem. Jej odwołania domagały się lewica, środowiska LGBT, feministki i „Gazeta Wyborcza”. Minister przeprosiła i tłumaczyła, że Śmiszka poznała przez Biedronia, który przedstawił go jej jako swojego partnera, myślała więc, że to powszechna wiedza.

Od tamtej pory zmieniło się bardzo wiele. Śmiszek i Biedroń stali się już parą gejów celebrytów, występujących na okładkach kolorowych magazynów, w programach telewizyjnych, a nawet teledyskach. W wywiadach Biedroń chętnie opowiada, że mówi do swojego partnera per „mój mąż”, i podkreśla, jak świetnie się dogadują i jak bardzo są szczęśliwi. Chociaż do pełni szczęścia brakuje im jeszcze, co podkreślają, ślubu. Jednak tylko w Polsce, nie za granicą. Uważają, że to tylko kwestia czasu. – Mamy wielu znajomych, którzy wzięli ślub w Danii, w Belgii, w Wielkiej Brytanii. I ja nie chcę umniejszać tego wydarzenia. Trzymam za nich kciuki. Natomiast zawsze im powtarzam – jako prawnik – że w Polsce to nic nie znaczy. To jest po prostu gest symboliczny – stwierdził Śmiszek w jednym z wspólnych wywiadów dla „Vivy”.

Zapytaliśmy go, co konkretnie sprawiło, że postanowił zamienić działalność społeczną na politykę. – Doszedłem do wniosku, że aby mieć jeszcze bardziej realny wpływ na rzeczywistość, trzeba wejść do polityki. Działając w organizacjach pozarządowych czy prowadząc działalność akademicką, można wiele. Jednak jeszcze więcej efektywnego wpływu można mieć, będąc w centrum tworzenia prawa. Chcę w PE zajmować się kwestiami ochrony praworządności w całej UE – nie tylko w Polsce, oraz ochroną praw konsumentów – wyjaśnia.

Jednak sądząc po publicznych wypowiedziach i po tym, co pisze w mediach społecznościowych, bardziej zajmują go sprawy LGBT w Polsce niż praworządność w Unii. O ile o sprawie związków partnerskich i małżeństwach jednopłciowych Biedroń oraz Śmiszek mówią otwarcie, o tyle już kwestii adopcji dzieci przez pary jednopłciowe nie mają na sztandarach. Widać, że Biedroń ma lepsze polityczne wyczucie niż Paweł Rابية, wiceprezydent Warszawy, który w niedawnym wywiadzie szczerze przyznał, że małżeństwa jednopłciowe i adopcja dzieci to naturalna konsekwencja wprowadzenia związków partnerskich.

Gdy „Super Express” dopytywał Biedronia, czy myśleli z partnerem o adopcji dziecka, ten zbył pytanie śmiechem. – Jestem chyba zbyt zajęty, żeby mieć dziecko, a jego wychowanie to ogromna odpowiedzialność. Ale mam męża, a to jak z dzieckiem – odpowiedział. Jednak po wrzawie, jaką wywołały słowa Rابية, Biedroń wywołany do tablicy stwier-

dził, że „w polityce trzeba mieć odwagę”. – Wpisaliśmy do naszego programu równość małżeńską i tej sprawy będziemy pilnować. Jeżeli ktoś nie ma odwagi, to niech da sobie w ogóle spokój z Europą, bo w Europie pewne wartości są standardem – oznajmił.

Krzysztof Śmiszek przekonuje, że Wiosna liczy na wyborców, którzy nie chcą głosować ani na PiS, ani na Koalicję Europejską. Szacuje, że jest ich 15–20 proc. Sondaże dają partii Wiosna dużo mniej – niektóre ok. 10 proc., inne na granicy progu wyborczego. – Kampania jest niezwykle wyczerpująca, ale daje ogromną satysfakcję. Ogrom sympatii, zwłaszcza ze strony młodych ludzi, ich zaangażowanie i wolontariat mnie zachwyciły. Mówi się, że młodzi nie interesują się polityką. Ale to tylko część prawdy – uważa.

NEPOTYZM?

Kiedy na konwencji partii Wiosna Robert Biedroń poinformował, że zarówno on, jak i jego partner będą jedynekami list wyborczych do europarlamentu, pojawiły się komentarze, że to jawny nepotyzm. „Wyobraźmy sobie sytuację dotyczącą partnerki czy konkubiny któregoś z liderów innych partii politycznych. Słyszycie ten hejt dotyczący nepotyzmu etc.? A tu tylko cisza... Poprawność polityczna? Hipokryzja?” – zapytał wprost Michał Dworczyk, szef kancelarii premiera.

Śmiszek odpowiada, że ważne są kompetencje. – Jestem doktorem nauk prawnych ze specjalizacją prawo europejskie, pracowałem jako prawnik przez pięć lat w kancelarii premiera (dla pięciu premierów, w tym Kaczyńskiego i Marcinkiewicza), mam doświadczenie pracy w Brukseli. A to, że czasami partnerzy wchodzi do polityki? Nie mam nic przeciwko. Jeśli są kompetentni, to nie powinno stanowić to przeszkody – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Śmiesz mnie, kiedy politycy PiS podnoszą larum, że partner wchodzi do polityki, kiedy w tym samym czasie nie uznają związków jednopłciowych za rodzinę. Muszą się zdecydować: albo jesteście rodziną, albo nie. Podobnie niepoważnie brzmią te zarzuty w ustach polityków PiS, gdzie aż roi się od związków rodzinnych w polityce – poczynając od premiera i prezydenta, którzy byli bliźniakami. Zdecyduje naród w niezależnych wyborach – kończy swoją wypowiedź.



Verhofstadt pod sąd?



Radosław Wojtas

Chciał walczyć o dobre imię swoje i innych uczestników Marszu Niepodległości, których Guy Verhofstadt nazwał faszystami. Na razie Bawer Aondo-Akaa wywalczył 2 tys. zł za... opieszałość polskiego sądu. Czy orzeczenie z ubiegłego tygodnia pchnie do przodu sprawę pozwu o pomówienie?

To od początku wyglądało jak starcie Dawida z Goliatem. W roli Goliata Guy Verhofstadt – wpływowy europoseł, były premier Belgii, który w 2017 r. nazwał uczestników Marszu Niepodległości w Polsce faszystami i neonazystami. W roli Dawida – jeden z dziesiątków tysięcy uczestników tego marszu, Bawer Aondo-Akaa, który tymi słowami poczuł się dotknięty. Wspierany przez prawników instytutu Ordo Iuris złożył w polskim sądzie prywatny akt oskarżenia przeciwko Belgowi.

O sporze głośno było pod koniec 2017 r. Od tego czasu nie działo się prawie nic. Aż do ubiegłego wtorku, kiedy to w sprawie wypowiedział się Sąd Okręgowy w Warszawie. Nie rozstrzygnął, czy Guy Verhofstadt kogokolwiek zniesławił, ale stwierdził przewlekłość w postępowaniu karnym „prowadzonym” w Sądzie Rejonowym w Warszawie. – Sąd Okręgowy w Warszawie nie miał wątpliwości, że doszło do przewlekłości w tym postępowaniu, i przyznał dr. Bawerowi Aondo-Akaa kwotę 2 tys. zł odszkodowania za tę przewlekłość – powiedział w rozmowie z portalem TVP.info mec. Bartosz Lewandowski z instytutu Ordo Iuris, reprezentujący Bawera Aondo-Akaa.

LICZY SIĘ GEST

Mocne słowa z ust Verhofstadta padły w Parlamencie Europejskim pod koniec 2017 r., podczas debaty o stanie praworządności w Polsce. – Na ulice Warszawy wyszło 60 tys. faszystów, neonazystów, białych suprematystów. [...] Marsz ten miał miejsce 300 km od obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. To nie powinno nigdy wydarzyć się w Europie – grzmiał Belg.

Zareagowali polscy europarlamentarzyści. Marek Jurek i Zdzisław Krasnodębski złożyli pismo do przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Antonio Tajaniego z wnioskiem o ukaranie belgijskiego polityka. Bez rezultatu. Tajani, powołując się na prawo do wyrażania opinii, odpisał wtedy, że nie dopatrzył się w słowach Verhofstadta niczego, za co mogłyby spotkać go jakiejkolwiek konsekwencje.

Wśród tych 60 tys. nazwanych faszystami i nazistami uczestników Marszu Niepodległości był dr teologii z Krakowa, Bawer Aondo-Akaa. Syn Nigeryjczyka, który przyjechał do Polski na studia, ale po przyjeździe Bawera na świat zostawił rodzinę. Chorym od dziecka chłopcem (cierpi na porażenie czterokończyn-

FOT. WIKTOR DABROWSKI/EAST NEWS

we – powikłanie po żółtaczce przebytej w niemowlęctwie) opiekowała się jego matka. Zmarła w 2011 r. Krótko po jej śmierci Bawer poznał swoją przyszłą żonę i to w dużej mierze dzięki jej wsparciu oraz pomocy mógł się kształcić i obronić doktorat z teologii.

Mówi, że patriotyzm zaszczipiano w nim od dziecka. Dlatego Bawer Aondo-Akaa postanowił bronić uczestników Marszu Niepodległości i doprowadzić do tego, by Guy Verhofstadt przeprosił ich za swoje słowa. – Przecież tego nie mówił facet spod budki z piwem, lecz były premier Belgii i europarlamentarzysta na forum unijnym. Musi brać odpowiedzialność za swoje słowa – mówił „Do Rzeczy” w 2017 r. – Nikt mi nie powie, że Marsz Niepodległości jest rasistowski. A my jesteśmy nazistami. To kłamstwo – dodawał.

Dlatego złożył w warszawskim sądzie prywatny akt oskarżenia przeciwko byłemu premierowi Belgii. – Po głębokiej analizie zagadnienia doszliśmy do przekonania, że zasadne jest wniesienie prywatnego aktu oskarżenia przed sądem polskim – z uwagi na to, że obywatel polski został pokrzywdzony tymi słowami. Postępowanie toczy się o znieważenie i zniesławienie za pomocą środków masowego komunikowania. Sąd zażądał od nas złożenia wniosku o uchylenie immunitetu pana Guya Verhofstadta, stąd obecnie wystąpiliśmy z nim – mówił krótko po złożeniu wniosku w rozmowie z portalem Niezależna.pl mec. Bartosz Lewandowski.

Motywuując akt oskarżenia, wskazywano, że „ich [słów belgijskiego polityka – przyp. red.] celem było obrażenie narodu polskiego, a w szczególności wszystkich uczestników Marszu Niepodległości”, a Bawer Aondo-Akaa poczuł się



Bawer Aondo-Akaa stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych uczestników Marszu Niepodległości. FOT. KRYSZTOF MAJ/FOTUM

zniesławiony i pomówiony. „Dr Bawer Aondo-Akaa oczekuje na przeprosiny skierowane do uczestników Marszu Niepodległości, ze wspólnym złożeniem wieńców” – pisał na Twitterze adwokat Jerzy Kwaśniewski, przewodniczący Ordo Iuris.

SĄD POGANIA SĄD

Składając prywatny akt oskarżenia przeciwko europarlamentarzyście, prawnicy Ordo Iuris martwili się o to, że na przeszkodzie do ewentualnego pociągnięcia polityka do odpowiedzialności za słowa może stanąć Parlament Europejski, nie uchylając Guyowi Verhofstadtowi immunitetu. Po ponad roku okazuje się, że problem na razie leży zupełnie gdzie indziej – w opieszałości polskiego sądownictwa.

Od czasu złożenia prywatnego aktu oskarżenia sąd rejonowy – zdaniem instytutu Ordo Iuris – nie podjął w tej sprawie żadnych merytorycznych działań. „Działalność sądu ograniczyła się jedynie do działań o charakterze formalnoprawnym, które nie mogły w żaden sposób przyczynić się do rozpoznania sprawy z uwagi na brzmienie przepisów regulaminu Parlamentu Europejskiego” – czytamy w komunikacie instytutu.

Dlatego prawnicy Ordo Iuris złożyli do Sądu Okręgowego w Warszawie skargę na przewlekłość postępowania sądu pierwszej instancji. W ubiegłym tygodniu stwierdzono przewlekłość w postępowaniu karnym prowadzonym przez Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia i przyznał Bawerowi Aondo-Akaa 2 tys. zł odszkodowania.

To w żadnym razie nie kończy sporu, prawnicy Ordo Iuris mają jednak nadzieję, że po tym orzeczeniu sędziowie rejonowi zaczną nad sprawą pracować z nieco większym zapałem. – Decyzja sądu okręgowego powinna być motywacją dla sądu rejonowego do podjęcia realnych działań zmierzających do jej rozpoznania – komentuje adwokat Filip Wołoszczak z Ordo Iuris.

Taką nadzieję ma również Bawer Aondo-Akaa. – To na razie mała wygrana bitwa, która może oznaczać, że coś się ruszy do przodu, ale wcale nie musi. Boję się, że sądy będą przeciągać sprawę tak długo, aż ulegnie ona przedawnieniu – mówi „Do Rzeczy” dr Aondo-Akaa. – A chciałbym, żeby pan Guy Verhofstadt przeprosił wszystkich polskich patriotów, których obraził i złożył ze mną kwiaty pod pomnikiem upamiętniającym żołnierzy Armii Krajowej. Tyle by mi wystarczyło, bo wtedy sprawiedliwości stałoby się zadość – dodaje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KRS: 000 000 4522

Lubelskie Hospicjum dla Dzieci im. MATEGO KSIĘCIA

1% Twojego podatku daje **WIELE!**

Materiał promocyjny został sfinansowany ze środków finansowych pochodzących z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.

Koniec z makiem, tłuszczem, pszen-
nym pieczywem i ze słodczymi
– tak według „Faktu” ma wyglądać
drakońska dieta prezydenta An-
drzeja Dudy. Tabloid twierdzi, że prezydent
już myśli o przyszłorocznej kampanii i chce
się w niej pokazać z nienaganną sylwetką.
Przez pierwsze trzy miesiące ma zjadać
jedynie 1000 kalorii dziennie. Na śniadanie
owsianka z chudym jogurtem, na obiad
chude zupki, sałaty, gotowany brokuł,
kurczak bez skóry. Alkohol w niewielkich
ilościach. Lampka wina od czasu do
czasu. Za to woda bez ograniczeń – nawet
trzy litry dziennie. Ponoć wszystko
pod kontrolą lekarzy. – 1000 kalorii dla
aktywnego mężczyzny to zdecydowanie za
mało – ocenia prezydenckie odchudzanie
dietetyk Ewa Ceborska. – Taka restrykcyjna
dieta może skończyć się problemami
z koncentracją i efektem jo-jo. Młodemu
i aktywnemu człowiekowi takiemu jak
pan prezydent doradzałabym dietę 1800
kalorii, ale zależy to od wielu czynników,
których nie znam – proponuje.

Kancelaria Prezydenta w sprawie tysią-
ca kalorii milczy jednak jak zakłeta. – Nie
chcę w ogóle komentować tego, czy do-
niesienia te są prawdziwe, czy nie – mówi
rzecznik głowy państwa Błażej Spychalski.
– Mamy taką zasadę, że nie wypowiadamy
się na temat spraw związanych z życiem
prywatnym pana prezydenta – ucina.

LEWATYWA PROSTO Z NASA

Tymczasem medialne plotki o diecie
głowy państwa nikogo raczej nie dziwią, bo
prezydenckie odchudzanie ma już w Polsce
swoją tradycję. Widocznie odchudził się
choćby Bronisław Komorowski. Jego
rzeczniczka tłumaczyła, że spowodowane
to było rekonwalescencją po kontuzji,
której doznał na nartach. Efekt wyszczu-
plenia miała dać intensywna rehabilitacja.
Kilogramy najwyraźniej jednak wróciły, bo
w ubiegłym roku w sieci krążył wierszyk,
który Komorowski napisał po wczasach
odchudzających z dietą dr Ewy Dąbrow-
skiej. „Głodzą smacznie i niedrogo / Alko-
holu pić nie dają / Co dzień marsz i gimna-
styka / Więc naprawdę odchudzają”.

Najwięcej rozgłosu miały jednak diety
Aleksandra Kwaśniewskiego. Do dziś w sie-
ci mnożą się przepisy na zupę kapuścianą.
To ona w 2000 r. miała zdziałać cuda, kiedy
Kwaśniewski starał się o reelekcję. Schudł
na tyle spektakularnie, że Polacy rzucili się
do sklepów po kapustę. Siedmiodniowa
kuracja opierała się na chudej kapuściance
zupę przewidzianej na każdy posiłek.



Rzeczniczka Bronisława Komorowskiego
mówiła, że polityk schudł w wyniku
rekonwalescencji po kontuzji. Z lewej zdjęcie
polityka z 2007 r., z prawej z 2019 r.

FOT. KATARZYNA PLEWCZYŃSKA/REPORTER, MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS



Jak oni chudną



Agnieszka Niewińska

**Płatki owsiane, brokuł i trzy litry wody dziennie. Tak o formę przed
przyszłorocznymi wyborami ma dbać Andrzej Duda. Czy wyborcza
dieta polityków przekłada się na głosy?**



Nie zawsze udaje się uniknąć efektu jo-jo.
Kilkukrotnie przekonał się o tym Aleksander
Kwaśniewski (z lewej w 2011 r., z prawej w roku
2017) FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FOTOMAG/GAZETA POLSKA/FOTOMAG

Kwaśniewski miał jeszcze kilka podejść do odchudzania, co bacznie śledziły tabloidy i plotkarskie portale. Kiedy tylko zrzucał parę kilogramów, wieszczili, że szykuje się do wyborów, planuje zostać premierem czy twarzą kolejnego lewicowego projektu. Jesienią 2011 r. po tym, jak schudł 20 kg, brukowce ujawniły, że w jednej z warszawskich klinik, z której chętnie korzystają celebryci, były prezydent poddał się zabiegowi opracowanemu przez naukowców z NASA. „Hydrokolonoterapia – tak nazywa się ta metoda medycznie. To irygacja, czyli oczyszczanie jelita grubego przy pomocy specjalistycznej aparatury. Metodę opracowali inżynierowie Amerykańskiej Agencji Badań Kosmicznych NASA” – pisał „Fakt”.

Szczegółami tych wyszczuplających zabiegów podzielił się z Polakami Ryszard Kalisz. Okazało się bowiem, że były prezydent namówił go na odchudzanie tą metodą. – Kiedyś w wojsku cesarsko-królewskim nazywało się to lewatywą. Teraz jest to już bardzo nowoczesne, bardzo sterylne, na komputerze można wszystko zobaczyć – opowiadał w „Dzień dobry TVN” Kalisz.

– Polityk powinien się odchudzać bez rozgłosu – komentuje Bartosz Czupryk, specjalista w dziedzinie wizerunku. – Wyobrażam sobie, że zapytany może potwierdzić fakt przejścia na dietę, stwierdzić, że robi to dla zdrowia. Nadużyciem nie będzie nawet podanie jakiegoś dietetycznego przepisu, ale ujawnianie zbyt wielu szczegółów dotyczących diety, dzielenie się sprawami intymnymi to granica, której radziłbym politykom nie przekraczać, przecież to niesmaczne – mówi.

MNIEJSZY ROZMIAR NA EUROWYBORY

Czupryk zaznacza jednak, że kuracjom odchudzającym polityków tuż przed wyborami się nie dziwi, bo szczupła sylwetka i ładny wygląd mają znaczenie w kampanii. – To nie mit. Wolimy to, co ładne, schludne i przyjemne dla oka. Widać to choćby po okładkach czasopism. Zdjęcia są często retuszowane, tak by osoby wyglądały na nich korzystniej, nawet młodziej. To media kreują wzorce, które tak chętnie przysfajamy. Teraz na topie jest bycie fit – wysportowanym i zdrowym. Nowocześni politycy, pod ciągłym okiem mediów też muszą się temu wzorcowi podporządkować – tłumaczy. – Osoby publiczne z wyraźną nadwagą nie wpisują się we współczesny trend, szczególnie jeśli noszą niedopasowaną garderobę. W społeczeństwie funkcjonuje wie-

le stereotypów, między innymi ten, który niesłusznie umniejsza kompetencji osobom puszystym lub z nadwagą według fałszywego wzorca, że skoro nie potrafią zrzucić zbędnych kilogramów, to jak poradzą sobie w polityce lub biznesie? A rzeczywistość potrafi być zgoła odmienna.

Bacznie obserwowane były sylwetki nie tylko kolejnych głów państw. Przed wyborami samorządowymi w 2010 r. dziennikarze tabloidów przyglądali się formie Hanny Gronkiewicz-Waltz. Zamieszczali porównawcze galerie zdjęć, konstatując, że prezydent Warszawy starania o reelekcję zaczęła od walki o lepszy wygląd. – Pilnuję się, żeby nie objadać się słodkami. Mam pracę siedzącą, więc nie mogę się opychać, żeby mi nic nie urosło – opowiadała Gronkiewicz-Waltz „Faktowi”. „Plotek” z kolei chwalił efekty diety, podkreślając, że prezydent Warszawy zgubiła „puciołate policzki”. „Co za nogi!” – ekscytował się zdjęciami Gronkiewicz-Waltz z jednej z imprez, na której pojawiła się w sukience do kolan.

O byłym rzeczniku PiS Adamie Hofmanie pisano przez lata, że na co dzień jest pulchny, ale odchudzają go wybory. I choć przed kolejnymi elekcjami gubił część zbędnych kilogramów, to trwale odchudził się dopiero po tym, jak po aferze madryckiej rozstał się z polityką. Zaczął uprawiać biegi, triathlon, biegać ultramaratony, a w wywiadach chwalił się, że skończył z jedzeniem na mieście. Sam gotuje, a z mięsożercy przemienił się niemal w weganina. – Wygląda pan jak Anja Rubik – rzuciła Monika Olejnik, kiedy odchudzonego Hofmana zaprosiła do studia.

Głośno było o staraniach o dobry wygląd polityka SLD Wojciecha Olejniczaka. Kiedy w 2009 r. ubiegał się o mandat do Parlamentu Europejskiego, pojawił się na okładce „Wprost” z odsłoniętym torssem. W materiale chwalił się tym, że ćwiczy na siłowni i wymienia garderobę. „Politycy »wylaszczają się« do Brukseli” – zatytułował tamten okładkowy materiał „Wprost” i tym samym wylansował słowo „wylaszczyc się”. – Zdjęcia są oczywiście zdjęciami, nie doszukuję się tutaj fotomontażu. Taki jestem w oryginale – mówił wyraźnie speszony Olejniczak, kiedy o nagi tors dopytywali dziennikarze na konferencji prasowej. Trud się opacił, bo Olejniczak zdobył mandat europosła. Dzisiaj jest już jednak poza polityką. Kieruje jednym z departamentów w Alior Banku.

Ewa Ceborska zwraca uwagę, że do zaplanowanych na 26 maja wyborów euro-

pejskich zostało zbyt mało czasu, by radykalnie się odchudzić. Kto o smukłej sylwetce na wybory nie pomyślał kilka miesięcy temu, ten może już liczyć tylko na utratę symbolicznych kilku kilogramów. – Może uda się jeszcze zmienić rozmiar marynarki na mniejszy. Tyle że po drodze są święta, zaczyna się sezon grillowy, a to nie sprzyja odchudzaniu – przestrzega dietetyk. – Żeby odchudzać się zdrowo, trzeba zadbać o to, żeby nie tracić na wadze za szybko, bo to grozi efektem jo-jo. Dobrze jest, gdy traci się mniej więcej kilogram na tydzień. Nie wystarczy sama dieta. Trzeba dołożyć do niej aktywność fizyczną – taką, jaką kto lubi. Zalecam 40 minut dziennie treningu aerobowego. Nie chodzi jednak o to, żeby się – kolokwialnie mówiąc – „zarząć”. Podczas treningu trzeba się lekko spocić, poruszyć do działania serce – zaleca.

KWAŚNIEWSKIE JO-JO

Czy szczupła sylwetka i wizerunek fit są w stanie przekonać wyborców, którzy do ostatniej chwili się wahają? – Tak, ale to też kwestia grupy docelowej. Sam szczupły wygląd nie daje gwarancji wygranej, ale ją zwiększa. Politycy, którzy potrafią o sobie zadbać, wzbudzają większe zaufanie. Liczą się prezencja i to, co kandydat ma do powiedzenia. Akwizytorzy podobnie muszą zrobić dobre wrażenie, kolejno nawiązać relacje i w interesujący sposób sprzedać siebie i produkt. Współcześnie polityk w świecie wszechobecnych mediów musi łowić dla siebie okazje, aby utrzymać się na topie. Dzisiaj wiele osób kieruje się samym wyglądem nawet w polityce. Jednak gdy gra toczy się o wysoką stawkę, sam wygląd nie wystarczy – podkreśla Bartosz Czupryk.

Tym, którzy śladem polityków chcieliby zrzucić kilka kilogramów – nie na wybory, ale na lato – Ewa Ceborska poleca, by szukali własnej drogi, a nie bezkrytycznie wprowadzali w życie diety, które stosowali politycy. – Pamiętam pacjentów, którzy zachwycili się dietą kapuścianą prezydenta Kwaśniewskiego, a potem przychodzili do gabinetu z jeszcze większą nadwagą. Mówiliśmy nawet o zjawisku Kwaśniewskiego jo-jo. Bo choć sama zupa kapuściana nie jest zła, to nie można jej jeść bez przerwy. Dieta musi być urozmaicona, zbilansowana i dostosowana do osoby. Inaczej powinna jeść osoba aktywna, a inaczej taka, która ma siedzący tryb życia – mówi dietetyk.

Czy teraz dietetycznym trendem będą płatki owsiane, brokuł i trzy litry wody? Okaze się, kiedy poznamy efekty kuracji prezydenta Dudy.

Henry Moore król dziur

[Z OKAZJI WYSTAWY W POLSCE]



Kenneth Clark: „Skojarzenia, jakie wywołują w nas prace Moore'a, tyczą najbardziej elementarnych form życia organicznego. Zdają się one należeć do świata, gdzie ewolucja rozwinęła formy życia z większą prostotą i z brutalniejszą siłą plastyczną, niby na rytach buszmenów” (1978).

Jacques Michel: „Dzieło Moore'a – jedyne w swoim rodzaju – jest owocem objawienia” (1973).



Waldemar Łysiak

Moore to popularne anglosaskie nazwisko. Anglia miała wielu Moore'ów, którymi się chwali: filozofów, dramaturgów, literatów. Do drugiej połowy XX stulecia najślawniejszym spośród tych Moore'ów był Thomas Moore, wybitny poeta Romantyzmu, przyjaciel Byrona. Ale właśnie wtedy — sto (z hakiem) lat po śmierci Romantyka — zdetronizował go modernistyczny rzeźbiarz Henry Spencer Moore (1898–1986), który uchodzi dzisiaj za najwybitniejszego rzeźbiarza XX wieku, mimo iż najdrożej sprzedaną rzeźbą współczesną jest wciąż „Idący czło-wiek” Szwajcara Alberto Giacomettiego, wielkiego rywala Anglika. Dla większości historyków sztuki, koneserów i komentatorów — w sztuce ostatnich kilku dekad jednak to Moore, a nie Giacometti, zajmuje na medalowym „pudle” rzeźbiarskim pozycję nr 1, złotomedalową.

Wszystkie kontynenty (prócz rejonów arktycznych) gościły już wielokrotnie ekspozycje twórczości Moore'a. Od połowy lat 70-ych XX wieku liczba wystaw dzieł Moore'a przekracza rocznie 40. W Polsce dotychczas trzy razy spotkała nas ta przyjemność. Notabene: sam Moore zawitał nad Wisłę roku 1958 jako członek jury

konkursu na Międzynarodowy Pomnik Ofiar Faszyzmu w Auschwitz-Birkenau. Rok później (1959) miał u nas pierwszą swoją wystawę indywidualną (warszawska Zachęta, plus kilka innych miast), po której został świetny, reklamujący ją plakat Henryka Tomaszewskiego. Drugą sprezentowała nam A.D. 1995 założona przez artystę roku 1977 Henry Moore Foundation (ekspozycje w krakowskim Bunkrze Sztuki i w warszawskim Pałacu Ujazdowskim mieszczącym Centrum Sztuki Współczesnej). Trzecia (obecna), też zawdzięczana Fundacji Moore'a, rozpoczęła swą wędrówkę po Polsce od Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku (kwiecień–wrzesień 2018), później była ekspozowana we wrocławskim Muzeum Narodowym (wrzesień 2018–styczeń 2019), a teraz (między lutym a końcem czerwca) można ją oglądać w krakowskim Muzeum Narodowym.

OD „CUDOWNEGO DZIECKA” DO CELEBRYTY

Urodził się w Castleford (hrabstwo York) jako siódme (z ośmiu) dziecko górnika Raymonda Spencera, czołowego działacza Związku Zawodowego Górników. Ojciec chciał, by Henry został bel-frem, ale smarkacz bardzo wcześnie przejawiał zdolności plastyczne, co dostrzegła nauczycielka plastyki, Alice Gostick, i zaczęła mu podsuwać albumy ze sztuką. Świetnie rysował, lecz nim ukończył 12 lat oznajmił, że będzie rzeźbiarzem, tak go bowiem zafascynowało zdjęcie rzeźby

Michała Anioła w encyklopedii dziecięcej. Gostick pomogła mu dostać się na studia do Leeds School of Art (1919), a dwa lata później uzyskał (wygrywając konkurs) stypendium renomowanego londyńskiego Royal College of Art, gdzie zresztą wkrótce sam został wykładowcą (1926–1932); potem nauczał jeszcze w Chelsea School of Art (1932–1939).

Talent Moore'a szybko dostrzegli nie tylko eksperci i koneserzy, lecz także inwestorzy, stąd już jako młodzieńki absolwent zaczął otrzymywać intratne zlecenia (jak dekoracja nowego budynku kolei podziemnej — stacji Westminster). Inna sprawa, że nie roilo się wówczas w Londynie od konkurentów — po latach wspominał: „Gdy przybyłem do Londynu, działał tam tylko jeden prawdziwy rzeźbiarz, Jacob Epstein (...) Dzisiaj na każde miejsce w klasie rzeźby Royal College czyha 70 chętnych, a gdy ja tam uczęszczałem, byłem w tej klasie jedyny”.

Równocześnie z ozdabianiem stacji metra (1928) otworzył pierwszą wystawę swych prac (londyńska Warren Gallery) — głównie rysunków. Kilka-naście lat później furorę zrobiły cykle jego „reporterskich” rysunków z metra londyńskiego, które stanowiło naturalny schron Londyńczyków bombardowanych przez Luftwaffe i rakietami Hitlera. Ale wróćmy do przełomowego roku 1928: wtedy zaczął też wykuwać pierwszą



ze swych legendarnych leżących postaci („Reclining Figures”), i wtedy poznał swą studentkę w Royal College of Art, mającą rosyjsko-polskie (po matce) i austriackie (po ojcu) geny, 21-lletnią Irinę Radetzky, z którą się ożenił. „Wcześniej tokowałem głośno, iż prawdziwy artysta winien być jak Michał Anioł czy Beethoven — nie wolno mu się żenić. Odkąd spotkałem Irinę, zacząłem gadać o ożenkach Rembrandta, o tym, że Bach miał tuzin dzieciaków...”.

Sława przyszła bez ociągania się — nim minęły lata 30. XX wieku Moore był już rzeźbiarską gwiazdą rozpoznawaną „all around the world”. Miał, rzecz jasna, także wrogów, adwersarzy modernizmu oskarżających go o „kult brzydoty”,





■ lecz większość krytyków zdejmowała przed nim kapelusz, zaś ukoronowaniem poświęconych mu rozpraw apologetycznych stały się dwa tomy pracy **„Henry Moore”** (1949–1957) „papieża historii sztuki”, Herberta Read’a, tudzież peany równie renomowanego „Lorda Clarka” (Kennetha Clarka). Spadał nań deszcz pierwszorzędných laurów (jak główna nagroda za rzeźbę podczas

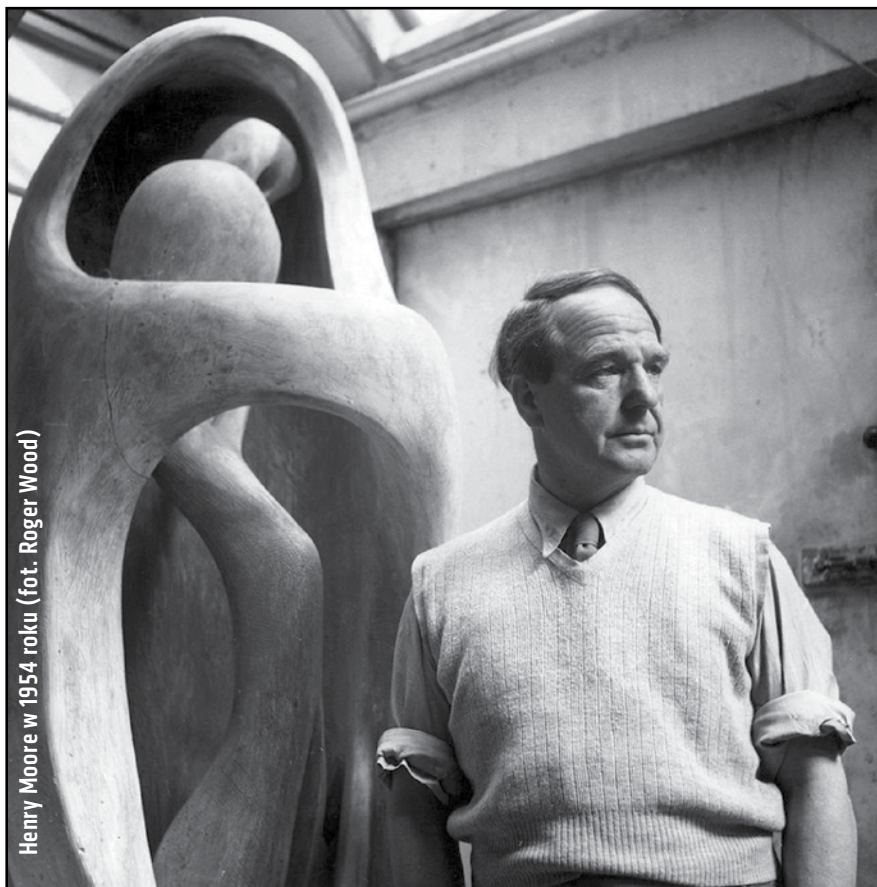
Biennale w Wenecji 1948) i pierwszorzędných propozycji twórczych (jak marmurowa kobieca figura przed nową siedzibą UNESCO w Paryżu — 1957–1958, czy monumentalna brązowa „**Nuclear Energy**” przed University of Chicago, czy także brązowa „**Reclining Figure**” przed nowojorskim Lincoln Center). Stał się instytucją oraz ikoną, należąc (obok primabaleriny Margot Fonteyn i aktora Laurence’a Oli-

viera) do prestiżowego brytyjskiego triumwiratu lat powojenných, będącego sztandarem, którym British Council wymachiwała na całym świecie dla demonstrowania siły/wielkości brytyjskiego państwa tracącego cięższą polityczną.

MONUMENTALIZM SYNTEZYCZNYCH KSZTAŁTÓW

Charakterystykę nowatorskiego stylu, jaki już u progu swej twórczości rzeźbiarskiej wypracował Moore, zacząć trzeba od stwierdzenia, że modernistycznie zdenaturalizował rzeźbę figuralną, dokonując w niej rewolucji na miarę kubizującego pikturalnie i graficznie Picassa. Jean-Louis Ferrier: „*Rzeźbę figuralną naturalizującą zoptymalizował «cud grecki» — Poliklet, Fidiasz, Partenon — i przez dwadzieścia pięć wieków było to naturalistyczne wzornictwo zasad, aż po Rodina. Chcąc się od tego radykalnie wyzwolić Moore dokonał niebýwałego przełomu, w porównaniu z którym wyczyny nadrealistów czy dadaistów to tylko sypanie piasku pod powiekę widza*” (1992). Próbowano, co prawda, „zapisać” jego dzieła do Surrealizmu (zwłaszcza iż wziął udział, także jako współorganizator, w wielkiej międzynarodowej londyńskiej Wystawie Surrealistów 1936) oraz do Abstrakcjonizmu, lecz wynikało to z powierzchownego odczytywania ich charakteru i było błędem/nieporozumieniem; Annick Colonna-Césari: „*Moore nie hołdował zastanej awangardzie, traktując z dystansem zarówno Surrealizm, jak i Kubizm czy Abstrakcjonizm*” (2002).

Głównym rzeźbiarskim tematem Moore’a stały się kute (w afrykańskim „wonderstone”, w marmurze, w drewnie) i odlewane (w brązie, gipsie, ołowiu), ekstremalnie zsintetyzowane figury ludzkie, posiadające monumentalny „wagomiar”. Miłość do monumentalizmu zaszczepliły Moore’owi wielkie freskowe figury Masaccia, które jako młodzieniec kontemlował penetrując Italię, a rozwinęły ten afekt nie tylko monumentalne rzeźbiarskie popisy minioných wieków, lecz i prehistoryczne megality, jak Stonehenge („*Będąc studentem jeździłem do Stonehenge z Londynu niczym narkoman, chyba ze sto razy, tak mnie fascynowało to skupisko neolitycznych głazów-rzeźb*”), oraz megatwory samej natury („*Nigdy nie zapomniałem wrażenia, jakie wywarł na mnie głaz Idle-Rock, tak wielki, że ręka ludzka nie mogłaby go przenieść*”). Zdarzało mu się robić małe rzeźby, zazwyczaj robił giganty, a unikał dawania swemu dziełu



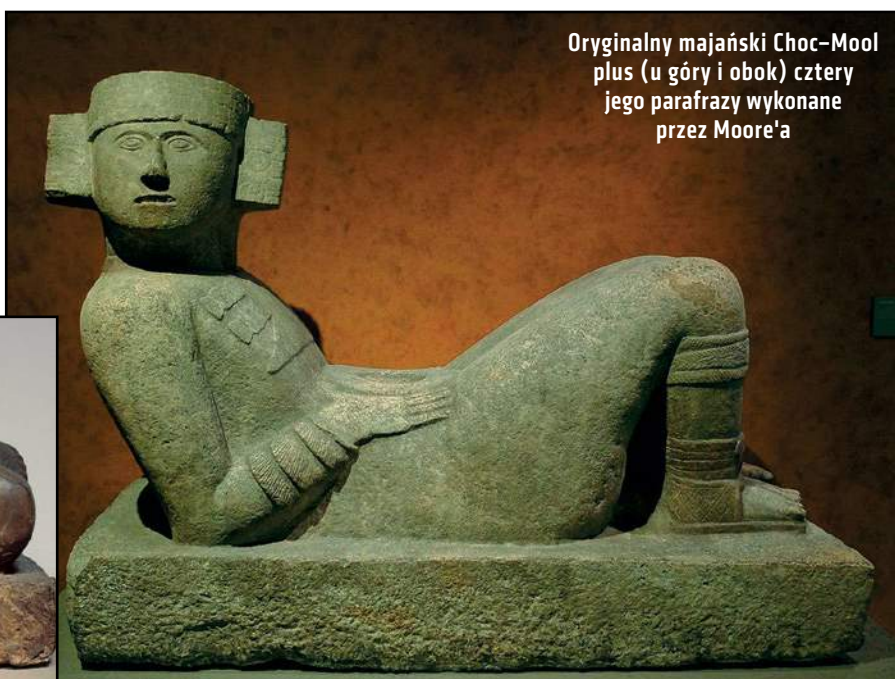
Henry Moore w 1954 roku (fot. Roger Wood)

średnich wymiarów („Lubię robić rzeźby bardzo duże bądź bardzo małe. Neguję rzeźby średnie, bo one tracą interesujący stosunek z parametrami człowieka”).

Ciało człowieka, totalnie uproszczone, było — jako już rzekłem — dominującym tematem Moore'a. Prezentował figurę ludzką leżącą lub siedzącą, rzadziej stojącą. Zwłaszcza w okresie wczesnym, gdy jeszcze nie odlewał rzeźb, tylko je kuł, przypominał udzielając wywiadów, iż słabością stojących figur antycznych były (wskutek kruchości kamienia) kostki nóg, narażone na pękanie, podczas gdy figura leżąca lub siedząca jest bardziej stabilna/trwała, wolna może być tedy od rozmaitych sztucznych podpór („*Moje leżące figury tchną ponadczasowym spokojem, są obliczone na wieczność*”). Są one też uproszczone do granic prostoty — tę arcsyntetyzację Moore zaczerpnął ze sztuki prekolumbijskiej (jego siedzące półleżące figury to jawne uwspółcześnienie modernistyczne motywu bóstwa Chac-Mool w sztuce Majów i Azteków, którą Moore napawał się zwiedzając British Museum oraz inne wielkie muzea świata) tudzież ze sztuki prymitywnych ludów afrykańskich, azjatyckich i nawet alaskańskich. Otwarcie się przyznawał do tych wpływów: „*Nie można zostać artystą bez poznania wcześniejszych dzieł sztuki. Prawdziwy artysta zawsze czerpie z tradycji tej specjalizacji, którą uprawia. Cézanne'a nie byłoby bez Tintoretta, El Greca i Rembrandta. Nie ma sztuki na wyspie bezludnej. Nie ma twórczości bez przeszłości*”.

TRIUMFALNA PIEŚŃ DZIUR

Antywerizm vel kontrnaturalizm figur Moore'a, wynikający z pogardy, jaką czuł wobec realizmu, był u niego swoistym hołdem dla bratniej duszy, współczesnego mu znakomitego rzeźbiarza rumuńskiego Constantina Brâncușiego, moder-



Oryginalny majański Chac-Mool plus (u góry i obok) cztery jego parafrazy wykonane przez Moore'a



nisty/syntetysty, który szydził ze szkoły tradycyjnej, parszając: „Po co odtwarzać rysy i członki modela? To prowadzi tylko do rzeźbienia trupów”. Młody Moore, traktujący Brancuśkiego niby duchowego mentora, napisał w „**Architectural Association**”: „Kamienna rzeźba winna wyglądać jak kamień. Cyzelowanie kończyn, mięśni, włosów, zmarszczek to zniżanie się do poziomu magika cyrkowego” (1930). Podczas swych wędrówek plenerowych namiętnie lustrował wszelakiego rodzaju kamienie i kamyki; szczególnie interesowały go te perforowane, mające dziury na przestrzał. Stąd wziął się pomysł perforowania własnych (rzeźbionych) potężnych obłych brył imitujących ciała ludzkie (dawał swym figurom ubrania tylko przez krótki czas w latach 1945–1946, pod wpływem wcześniejszego rysowania ubranych ludzkich sylwetek z wojennych schronów — ten krótkotrwały motyw



zwał się „Ubrana Postać Leżącą”). Dziurawienie weszło mu w krew i z biegiem czasu stał się monopolistycznym magikiem perforowania, arcy mistrzem dziur.

Jacques Michel: „Kamień zdaje się od rzeźbiarza domagać brył masywnych, zwartych, ciężących ku glebie, tymczasem wbrew temu Moore obdarza swoje giganty lekkością, powietrzną, przewiercając je dużymi otworami. Dostajemy coś masywnego, a zarazem wyzbytego ciężaru wskutek tych wydrzeń, jakby kamień był nadmuchiwany gazem lżejszym od powietrza i przez to żywy, stworzony do igraszek z przestworzami niebios i z malowniczością krajobrazu” (1973). Rzeczywiście — dzięki swej ażurowości giganty Moore'a (sylwety mężczyzn, kobiet i dzieci, exemplum jego ulubione motywy: „Wielka postać leżąca” oraz „Matka i dziecko”) wiążą się z otoczeniem, jedną z pejsażem, anektując/wchłaniając niebo, chmury, łąki, zarośla plus horyzont. Powietrze swobodnie penetruje te prześwity zwane „dziurami Moore'a” i wraz z obłymi/łśniącymi kształtami brył emanującą swoją



zmysłowość, by nie rzec: atmosferę erotyzmu.

O tym ażurowaniu brył, które nawet dla ignoranta jest znakiem rozpoznawczym „oeuvre” Moore'a, artysta wielokrotnie mówił podczas wywiadów, nagabywany przez dziennikarzy: „ — Dziurawić moje rzeźby zaczęłam, by się wyzwolić od wpływu Brancuśkiego, pójść dalej, własną drogą. I zaczęło mnie rajcować to igranie form z przestrzenią. Były to zrazu eksperymenty prowadzące do lepszego zrozumienia trójwymiarowości, czy raczej gry form w trzech wymiarach (...) Przebicie rzeźby otwiera ją na światło i unaocznia podniecający fakt, iż ma ona drugą stronę. Próżnia też jest formą, która obrysowuje inne formy, twarde. Jeśli się tego nie rozumie, to nie pojmuje się wymogu przestrzenności rzeźb”. Kanony swej dziurologii/dziuromanii zaprezentował A.D. 1937 w punktach eseju „**Uwagi o rzeźbie**” („**Notes on Sculpture**”): 1. „Pierwsza dziura zrobiona w kamieniu jest objawieniem, gdyż otwór sam przez się może zawierać więcej sensu niż masywna bryła”. 2. „Bryła przebita otworem nie traci swej

solidności i stabilności, byle tylko otwór miał sensownie wykoncypowany rozmiar, kształt i kierunek”. 3. „Idące na przestrzał otwory komunikują ze sobą obie strony rzeźbiarskiego dzieła, mocno tym podkreślając trójwymiarowość eksponatu”. 4. „Te dziury dowodzą, że można rzeźbić również powietrze”. 5. „Siła oddziaływania tych perforacji niczym się nie różni od fascynacji tajemnicami jaskiń oraz skalnych grot”. Krytycy przezwali rzeczoną publikację „peanem na cześć dziur”.

METAFIZYKA PLECÓW

Krytyka i historiografia sztuki — jeśli już przywołałmy tę sferę — doszukiwała się w twórczości Moore'a znaczeń „wyższych”: transcendentnych, paranormalnych, Szekspirowskich, bądź psychoanalitycznych par excellence. Mark Hudson: „Rzeźby Moore'a, mające nie tylko wewnętrzny ładunek olbrzymiej energii, lecz i niosące przesłanie pełne moralności, rodzą też pokusę analizowania ich pryzmatem modnej w latach międzywojennych psychoanalizy” (2010). Najbardziej znaną tego wykładnię/egzegezę prezentuje „Jungowskie studium twórczości Moore'a”



napisane przez Ericha Neumanna („**Archetypal World of Henry Moore**”, 1959), lecz sam artysta zanegował te „psychoanalityczne spekulacje” w sposób kategoriyczny. Tłumaczył wprost: „— *Moje rzeźby, podobnie jak wszelka rzeźba prymitywna, tak bardzo mi bliska źródłowo, nie naśladują ludzkich postaci, tylko wyrażają lęki, udręki, marzenia oraz ideały człowieka*”.

Analitycy nie zrezygnowali wszakże z poszukiwania „trzeciego dna” Moore'owskich dzieł, wskazując choćby naśladownictwo... pleców! Nie tylko uwielbianych przez artystę pleców kobiet, które malował Cézanne, lecz i pleców matki Moore'a. Bazę temu dał dialog między Moorem a Kennethem Clarkiem. Clark zauważył:

— Henry, uważam, iż najlepiej się prezentują plecy twoich rzeźb.

Moore się uśmiechnął i odparł:

— To prawda, że w plecach jestem mocny. Nie potrafiłbym sknoć pleców. To ma trochę wspólnego z moją rodzicielką. Kiedy kończyłem siedem, a może osiem lat, ona ukończyła pięćdziesiątkę. Cierpiała na reumatyzm kolan i pleców w krzyżu. Kolana sama sobie smarowała mazidłem leczniczym, ja zaś smarowałem jej plecy



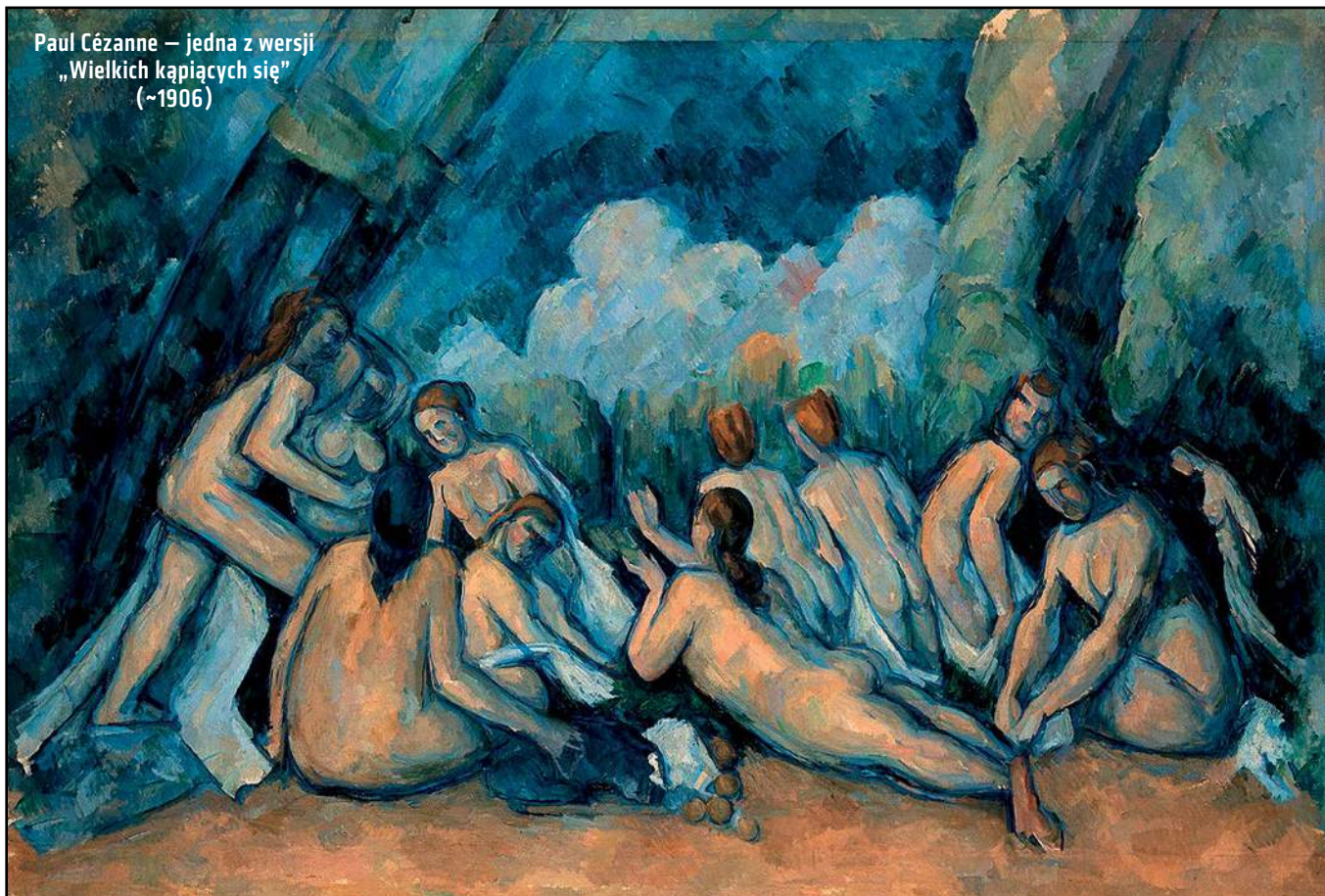
kilka razy tygodniowo. Trwało to rok, może dłużej. Oto czemu jestem mocny w plecach, Ken...

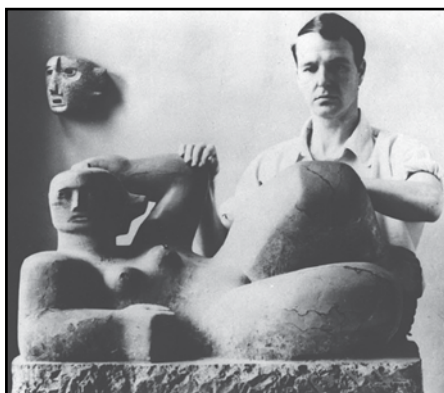
Znowu się uśmiechnął i dodał:

— Wiesz, nie wykluczam, że ta regularna ciężka praca rękami na plecach matki była jedną z przyczyn mojej młodzieńczej predylekcji do rzeźbiarstwa, wtedy chyba obrałem życiowy kierunek...

Dla bycia „mocnym w plecach” ważniejsze od smarowanych pleców matki były wszakże plecy nagusek malowanych przez Cézanne'a. Będąc studentem Moore zobaczył przypadkowo (jako gość przemysłowca i kolekcjonera Auguste'a Pellerina, 1921) sławne „**Wielkie kąpiące się**” Cézanne'a. Malunek ten uderzył go z siłą obucha — Moore stał się entuzja-

Paul Cézanne — jedna z wersji
„Wielkich kąpiących się”
(~1906)





Moore w młodości (fot. z roku 1929)
i w roku 1967 (fot. John Hedgecoe)



■ stą twórczości geniusza francuskiego i później, kiedy już dorobił się pieniędzy, polował na „Cézanne’y”, zwłaszcza te z serii „Kąpiących się”. Ucieszony zakupem „Trzech kąpiących się” perorował w 1978 roku: — *To radość mego życia, ten obraz jest cudowny! Dlaczego? Bo jest monumentalny! No i uwielbiam taki właśnie typ kobiet, Cézanne’owski, każdą tę golaskę przerobię na rzeźbę! Proszę spojrzeć — to nie są dziewczyny, lecz Matrony o bujnych kształtach. Proszę popatrzeć na tę z lewej, ukazaną od tyłu. Co za plecy, co za siła, to nieomal plecy goryla, kocham takie plecy!*”

Mówiono, iż rzeźbił plecy swych kobiecych figur wpatrzony w plecy potężnego modela, modelki bowiem miały z tyłu u góry anatomię zbyt wąską.

CHARAKTER I ODLEWY

Gdzie rzeźbił? Aż do końca II Wojny Światowej w Perry Green (hrabstwo Hertford), swej posiadłości, wokół której wykupił prawie wszystkie farmy, sta-

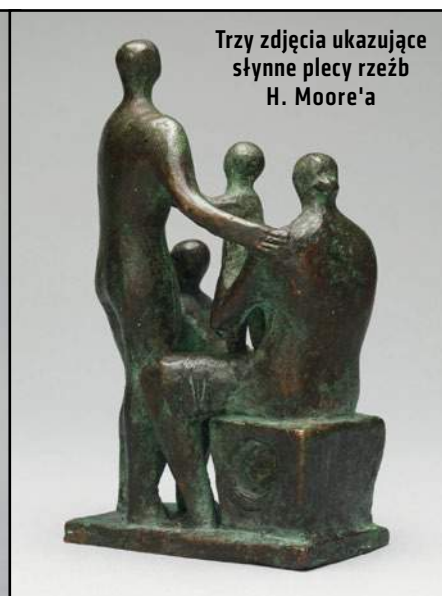
jąc się magnatem ziemskim, a później przez 40 lat w leżącej między Londynem a Cambridge wiosce Much Hadham, gdzie wnętrza pełne były nie tylko jego dzieł, lecz i prac innych wielkich twórców. Pomagali mu asystenci, spośród których najdłużej (18 lat) trwał przy mistrzu David Mitchinson, tak potem wspominający Moore’a: „Lubił towarzystwo, lecz niezbyt długotrwałe, potrzebował bowiem odcinać się od całego świata gwoździ tworzenia. Wyłączał wtedy telefon i opuszczał żaluzje na kilka tygodni. Gdy chciał wypocząć, uruchamiał telewizor i oglądał turniej w Wimbledonie (...) Ciągłe brakowało mu czasu, co doprowadzało go do frustracji, a nawet do wściekłości: pamiętam z jaką furią siekał mięso w kuchni pewnego dnia. Jego problemem było to, że miał więcej pomysłów niż mógłby zrealizować przez trzykrotne życie, stąd stawał się niecierpliwy, nerwowy wobec samego siebie i wobec otoczenia. Pragnął, by wszystko — próbki, odlewy, szlify — wykonywane było piorunująco szybko; tak się tym pośpiechem ekscytował, iż stawał się agresywny wręcz”.

Słowo „odlewy” zyskało po śmierci Moore’a (zwłaszcza już w XXI wieku) znaczenia dosyć trefne, wzbudzające sporo kontrowersji. Chodzi o multiplikację (vel: kopiowanie) oryginałów. Na wystawy rzeźb bardzo często jeżdżą dzisiaj nie oryginalne prace artystów, lecz precyzyjne reprodukcje tych dzieł, co przez licznych ludzi z branży bywa piętnowane nie jako „modus”, tylko jako proceder. Dla niektórych karygodny. Pół roku temu rzeźbiarz Krzysztof M. Bednarski sarknął na „fabryki rzeźb”, „firmy produkujące rzeźby”, wskazując masowe powielanie prac Damiana Hearsta czy Maurizio Castellana (za ich zgodą), a u nas twórców Magdaleny Abakanowicz czy Igora Mitoraja, i tłumacząc: „Sztuka coraz bardziej staje się biznesem, towarem rządzącym się takimi samymi prawami jak sprzedaż samochodów” (2018).

Na obecną wystawę Moore’owską w Polsce przywieziono 23 rzeźby (jedną z nich, ogromną, musiano transportować aż trzema ciężarówkami) i też brak wśród nich oryginałów. Bednarski: „Prace, które przyjechały do Polski z Fundacji Henry’ego Moore’a, są współczesnymi odlewami, a nie oryginalnymi wykonanymi za życia artysty, ale przynajmniej są dokładnie opisane, mają metrykę, czego już nie można powiedzieć o pojawiających się coraz częściej na aukcjach rzeźbach Bolesława Biegasa”.

Mam nadzieję, że tą dygresją „reproduktorską” nie zepsułem wielbicielom sztuk plastycznych oglądania ekspozycji Moore’owskiej. ©

[Wykorzystane zdjęcia rzeźb pochodzą z Archiwum Fundacji Henry’ego Moore’a]



Trzy zdjęcia ukazujące
słynne plecy rzeźb
H. Moore’a

"Przepiękny autentycznością
i rozbijająco szczerzy"

ScreenDaily

"Przepiękna, rozziewająca i przyprawiająca
o bicie serca opowieść"

Screen Anarchy

A DESERT HIGHWAY PICTURES PRODUCTION

FILM A.B. SHAWKY'ego

YOMEDDINE

PODRÓŻ ŻYCIA

راضي جمال

RADY GAMAL

أحمد عبد الحفيظ

AHMED ABDELHAFIZ



CANNES 2018
NOMINACJA
DO ZŁOTEJ PALMY



A DESERT HIGHWAY PICTURES PRODUCTION IN ASSOCIATION WITH FILM CLINIC INTERNATIONAL SALES WILD BUNCH A FILM BY A.B. SHAWKY "YOMEDDINE"
WITH RADY GAMAL AHMED ABDELHAFIZ CINEMATOGRAPHY FEDERICO CESCA PRODUCTION DESIGN LAURA MOSS ORIGINAL SCORE BY OMAR FADEL
EDITED BY ERIN GREENWELL EXECUTIVE PRODUCER ELISABETH SHAWKY-ARNEITZ AHMED SHAWKY ALI BAGHDADI GILL HOLLAND A.B. SHAWKY
MICHEL MERKT ASSOCIATE PRODUCER DANIEL ZISKIND CO-PRODUCER MOHAMED SAKR CO-PRODUCER MOHAMED HEFZY PRODUCED BY DINA EMAM
WRITTEN AND DIRECTED BY A.B. SHAWKY



TRIBECA
FILM INSTITUTE



wild bunch

W KINACH OD 5 KWIETNIA

eprasa.pl e3779d2b38

MPG
POLSKIE
MEDIA



Kreską po głowie

Sobotni poranny seans w multiplexie. Oglądam w niemal pełnej sali kinowej film „Jak wytresować smoka 3”. Bajka jak bajka: są smoki, wikingowie, wątki romantyczne, trochę dydaktyzmu, przesłanie ekologiczne, pomysły sympatyczni bohaterowie. A jako że para głównych postaci mocno już podrosła od czasu części pierwszej, to widać, że kroi się na koniec wesele. Taki finał faktycznie następuje, ale chwilę potem nieprzyjemny zgrzyt: bukiet rzucony w powietrze ląduje w dłoniach mocarnego wikinga, który wraz z innym uśmiechniętym osiłkiem mieli się ku sobie przez cały film. Teraz męska para czule zagląda sobie w oczy. Czekam



Piotr Gociek

Czasy, w których pełnometrażowa animacja była gwarancją bezpiecznej, rodzinnej rozrywki, dawno minęły. Dzisiaj wycieczka z dzieckiem do kina to wyprawa na pole minowe

choćby na szmer niezadowolenia ze strony rodziców, którzy przyszli do kina z dziećmi. Cisza. Jakże szybko poszło, myślę, jak szybko przestaliśmy zauważać, że zamiast rodzinnej rozrywki mamy „postępowe” meblowanie głowy.

Czasy, w których pełnometrażowa animacja w kinie była zwykle gwarancją bezpiecznej, rodzinnej rozrywki, minęły równie dawno jak te, kiedy właściwie jedynym liczącym się producentem takich hitów był Disney. Klasyczny Disney,



W finale „Jak wytresować smoka 3” zamiast rodzinnej rozrywki mamy „postępowe” meblowanie głowy
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w sobie bohatera” albo „Nawet od najmniej ważnej osoby może zależeć los świata”. Druga to już oskarżenie męskiego punktu widzenia i działania: faceci bezmyślnie wszystko niszczą, są samolubami, realizacja marzenia o byciu twardzielem to droga ku katastrofie, na szczęście dziewczęta łagodzą obyczaje i są za porozumieniem.

OK, można na to patrzeć i z tej perspektywy, choć szkoda, że gubi się wtedy te wszystkie przypadki, kiedy szczęśliwe rodziny (i wolne kraje) przetrwały właśnie dlatego, że mężczyźni brali na siebie niewdzięczne zadania, a kiedy trzeba było sięgać po radykalne środki, robili to, bo była to rzecz słuszna. Tylko dlaczego na obrzeżach tej historii pojawia się wampir-dyktator mody, który zachowuje się jak gejowski designer i z dumą obwieszcza, że nosi damskie dzinsy? Dlaczego kiedy główny bohater odwiedza planetę, na której żyją zaginieni superbohaterowie, mamy nieodparte wrażenie, że Superman i Green Lantern to szczęśliwe męskie stadło żyjące w słodkim domku na przedmieściach?

ODWRÓCENIE ZNACZEŃ

Tradycyjny świat wciąż jednak istnieje i nawet się broni, a o wpływy z biletów trzeba dbać, więc transformacja na razie postępuje ostrożnie i nieco bokiem. To jeszcze nie czas filmów dla dzieci, w których kreskówkowi tatusiowie ze związku partnerskiego adoptują sierotkę Marysię, by wychować ją na wzorową lesbijkę. Nie ma co jednak udawać, że tej transformacji nie ma. Kierunków reedukacji jest kilka. Dyskretnie wprowadzanie podtekstów homoseksualnych, osvajanie dzieciaków ze zjawiskami, na które w tradycyjnych filmach rodzinnych miejsca nie było, to tylko jeden z nich.

Drugi to reinterpretacja – powiedzmy wprost: odwracanie – przesłań i kodów, które znajdowaliśmy w klasyce. W pierwszym filmie o Ralphie Demolce (2012) przesunięcie akcentów mieściło się całkowicie w znanym motywie „łobuza o złotym sercu”. Główna postać, osiłek z gry komputerowej, którego jedynym atutem zdają się mocarne pięści, ma dosyć jednowymiarowej roli czarnego charakteru. Zamiast niszczyć, chciałby budować, zamiast przegrywać – zdobywać nagrody. A jako że to gość uczciwy i lojalny, okazuje się świetnym przyjacielem. Wystarczy dać mu szansę.

W drugim filmie („Ralph Demolka w Internecie”) scenarzyści koncernu Disneya bezlitośnie sztydzą z dorobku

swoich wczesnych poprzedników, czyli żeńskich postaci klasycznych animacji, od Kopciuszka poczynając. Napotkane w Internecie bohaterki dawnych filmów animowanych są więźniami niesłusznej ideologii, to znaczy oceniają swą wartość jedynie na podstawie tego, czy zainteresuje się nimi piękny samiec. Głupiutkie, jednowymiarowe mimozy odegrają pod koniec filmu rolę pozytywną, pomagając głównym bohaterom, ale znów: czy naprawdę potrzebne było w finale przebijanie osiłka Ralpha w kobiece ciuszki? Jednocześnie mamy wiele mówiący przykład wzorca kobiety nowoczesnej: mała Wandelopa, przyjaciółka Ralpha, zachwycona jest niejaką Shank, twardzielką z krwawej gry komputerowej o ulicznych wyścigach bez zasad, wyglądającą jakby uciekła z planu „Szybkich i wściekłych” skrzyżowanych z „Mad Maxem”. I oczywiście Wandelopa marzy o tym, by być taka jak Shank, a nie jak typowe księżniczki Disneya.

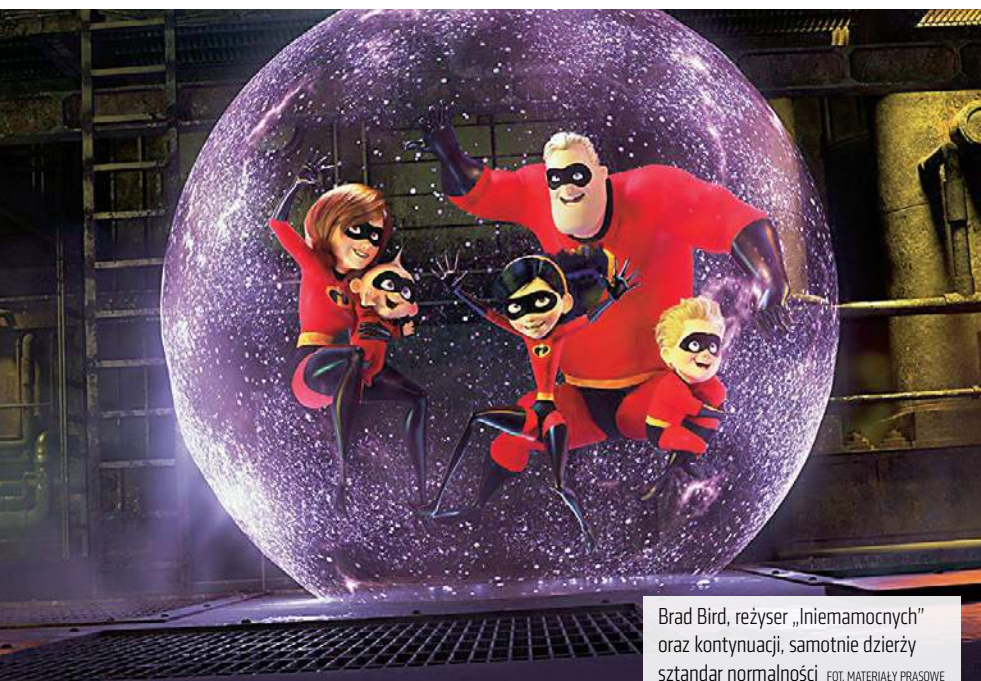
To fałszywy wybór: bezradna omdlewająca księżniczka albo baba herod rozbijająca samochody (i czaszki) na ulicach miasta bezprawia. Jednak nie o wybór tu chodzi, lecz o wzbudzenie poczucia winy, w dodatku wybiórcze. Dlaczego bowiem mamy kibicować tylko Wandelopie w jej awanturniczych marzeniach o samorealizacji? A jeśli jakaś księżniczka (lub pani kierowca, lub, do cholery jasnej, jakakolwiek pani) chce się samorealizować w inny sposób? Pakujemy ją do wora „słodka idiotka”, a wór do jeziora?

Tych sprzeczności jest więcej. Dowiadujemy się z tych nowych opowieści, że faceci powinni porzucić drogę faceta, to znaczy zmięknąć, ale jednocześnie w realu jednym z najczęściej wysuwanych pod ich adresem zarzutów jest ten, że są za mało męscy, nie potrafią dorosnąć, że to maminsynki i w ogóle ciamajdy. Ale jak to w logice rewolucji, nie chodzi o to, by coś się kupy trzymało, lecz aby walczyć, walczyć, walczyć.

Często twórcy wpadają w pułapki, które sami na siebie niechcący zastawili. Autorzy „Ralph Demolki w Internecie” tak bardzo skupili się w sequele na tym, by z krainy dzieciństwa przejść do krainy dorastania, że efekt jest niepokojący. W drugiej połowie filmu w centrum jest zawiedzioną miłość (przepraszam, przyjaźń) dorosłego, jakby nie patrzeć, choć bajkowego gościa oraz dziewczynki emocjonalnie sportretowanej jako wczesna nastolatka. Język angielski ma na to piękne określenie: „creepy”.

dodajmy, w którym role rozpisane były tradycyjnie – jak w bajkach, które stanowiły inspirację do ich nakręcenia. Dzisiaj to kolejna arena walki i perswazji światopoglądowej, zgodnie z zasadą „wszystko jest polityką”. Żal dzieci, żal utraconej niewinności filmów.

Przeglądam inne animowane familijne premiery ostatnich miesięcy. „LEGO Przygoda 2”, kontynuacja wielkiego hitu z roku 2014. Skrzęca się dowcipem kpina z klisz popkultury jest już trochę mniej odkrywca (siłą rzeczy brak efektu nowości), ale trzyma poziom. Główne przesłanie wygląda już jednak inaczej. Pierwszy film wpisywał się w tradycyjne hasła „Odkryj



Brad Bird, reżyser „Iniemamocnych” oraz kontynuacji, samotnie dźwiz szandar normalności FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Walka kolejna: o afirmację etnicznych mniejszości. „Spider-Man Uniwersum” („Spider-Man: Into the Spider-Verse”) to oszołamiająca wizualnie opowieść rysunkowa, słusznie nagrodzona w tym roku Oscarem dla najlepszej animacji. Jeśli chodzi o poszerzenie języka, jakim można przekładać komiksy na duży ekran, jest to bez wątpienia dzieło przełomowe. Jednak czytając liczne recenzje w amerykańskiej prasie, przecierałem oczy ze zdumienia. Równie wiele miejsca, co pochwalały za zręczność i oryginalność, poświęcano w nich temu, jak ważne jest to osiągnięcie dla promowania etnicznej różnorodności w filmach o superbohaterach. Tak jak „Czarna Pantera” chwalona była za rasowy rewizjonizm (czarny naród z wnętrza Afryki tworzy najbardziej zaawansowaną cywilizację na Ziemi), tak „Spider-Man Uniwersum” ma być przełomowy, bo główny bohater nie jest biały (a dokładnie, mamy do czynienia z dzieciakiem, którego ojciec jest Afroamerykaninem, a matka Latynoską).

Pochwały poprawnościowe były tu moim zdaniem nieco na wyrost, bo ten zabieg był mniej odważny, niż się wydaje. Akcja filmu rozgrywa się w alternatywnej rzeczywistości, w której prócz oryginalnego bohatera, czyli Petera Parkera, pajęczę moce uzyskuje także małeletni Miles Morales. Skoro rzeczywistość alternatywna, no to i alternatywni bohaterowie, zwłaszcza że w filmie pojawiają się także przybysze z kolejnych, odmiennych od naszej, wersji rzeczywistości: Spider-Man ze świata czarnego kryminału, Spider-Man ze świata anime, i tak dalej (część z nich to dziewczęta).

Następny front – film dla dzieci jako narzędzie walki z autorytetami. Tu z kolei przecierałem oczy, oglądając animowaną „Małą Stopę” („Smallfoot”, 2018), która równie dobrze mogłaby powstać w ramach warsztatów flower power na amerykańskim kampusie końca lat 60. Pomysł filmu to znów odwrócenie znanych motywów, ale początkowo nawet zabawne. Trafiamy do społeczności włochatych stworów yeti, które żyją sobie spokojnie na szczycie niebosiężnej góry. Krągą wśród nich legendy o straszliwych potworach pojawiających się nie wiadomo skąd: Małych Stopach (to oczywiście ludzie). Doskonały punkt wyjścia do dobrej familijnej zabawy, jednak scenarzyści idą w innym kierunku. Społeczeństwo yeti okazuje się tyranią, w której kontrola nad wiedzą służy do utrzymania poddanych w ciemności i posłuszeństwie. Wszystkie zasady, wedle których żyją bohaterowie, to kłamstwa. Wszystko, co słyszą od rodziców, od ważnych figur rządzących plemieniem nie jest prawdą. I znów: tak, bunt jest wpisany w życie młodych, bycie nastolatkiem to kwestionowanie wszystkiego, ale „Mała Stopa” to nie jest film dla maturzystów, tylko dla dzieciaków. Wyjdą z niego z jeszcze większym pomieszaniem w głowie niż kilka lat temu z innej kreskówki: „Krudowie”, zbudowanej na tezie, że rodzice nigdy nie mają racji.

ZAWSZE JEST WYBÓR

Może to duch czasów, ktoś zapyta, może po prostu tak się dziś opowiada

te historie i tyle, bo ideologia ostatecznie wygrała ze zdrowym rozsądkiem, utopia z doświadczeniem, a Hollywood cierpi na liberalno-lewicowy przechyl jak nigdy dotąd. Jednak nie. Zawsze jest wybór. Przecież i my mieliśmy okazję oglądać niedawno w polskich kinach film „Iniemamocni 2”, kontynuację hitu z roku 2004. Chociaż na pozór dałoby się ten sequel wpisać na listę dzieł feministycznej rewolucji, to przesłanie ma jak najbardziej tradycyjne. Jest to opowieść, w której pan Iniemamocny, zawodowy superheros, czuje się z początku mocno urażony faktem, że do projektu reaktującego działalność zamaskowanych mścicieli wybrana zostaje jego żona. Pozostając w domu i opiekując się trójką dzieciaków, nie tylko dostrzega, że to ciężka harówka, ale także sam odkrywa w sobie nieznane wcześniej talenty i uczucia. Z kolei wyrwywająca się z domu pani Iniemamocna po pierwszych chwilach zachłyśnięcia się zawodową niezależnością coraz mocniej tęskni za domem. Rodzina jest silna, gdy wszyscy nawzajem szanują się i pozwalają drugiej połowie na realizację marzeń, rodzina jest niezwykła, gdy działa razem, rodzina to rzecz najważniejsza i najzupełniej normalna, dlatego podstawowa. W dodatku rodzina wielodzietna – cóż za herezja dla postępowców.

Brad Bird, reżyser „Iniemamocnych” i kontynuacji, samotnie dźwiz szandar normalności. To chyba ostatni z twórców, którzy marzą o klasycznych familijnych fabułach. Kręci filmy, na jakich sam się wychował, a jest nie tylko ważnym reżyserem koncernu Disneya, lecz także zaprzysięgłym fanem animowanej klasyki. I zamiast czytać swoim współpracownikom lewackie manifesty, woli im pokazywać fragmenty animowanej „Księgi dżungli”, żeby nauczyli się nie tylko tego, jak ożywiać rysunki, lecz także tego, że film powinien mieć serce.

Widzowie z całego świata docenili wysiłek Brada Birda. Pierwsza i druga część „Iniemamocnych” zarobiła łącznie niemal 2 mld dol. Z tego druga część niemal 1,3 mld. Buntownicza „Mała Stopa” nieco ponad 200 mln, „Ralph Demolka w Internecie” nieco ponad 500 mln, „Jak wytresować smoka 3” niespełna 500 mln dol. Portfel okazuje się ostatnią linią obrony konserwatysty.

Nasze pieniądze wciąż mają znaczenie. Tym bardziej wypada wydawać je rozsądnie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Joanna Lichocka

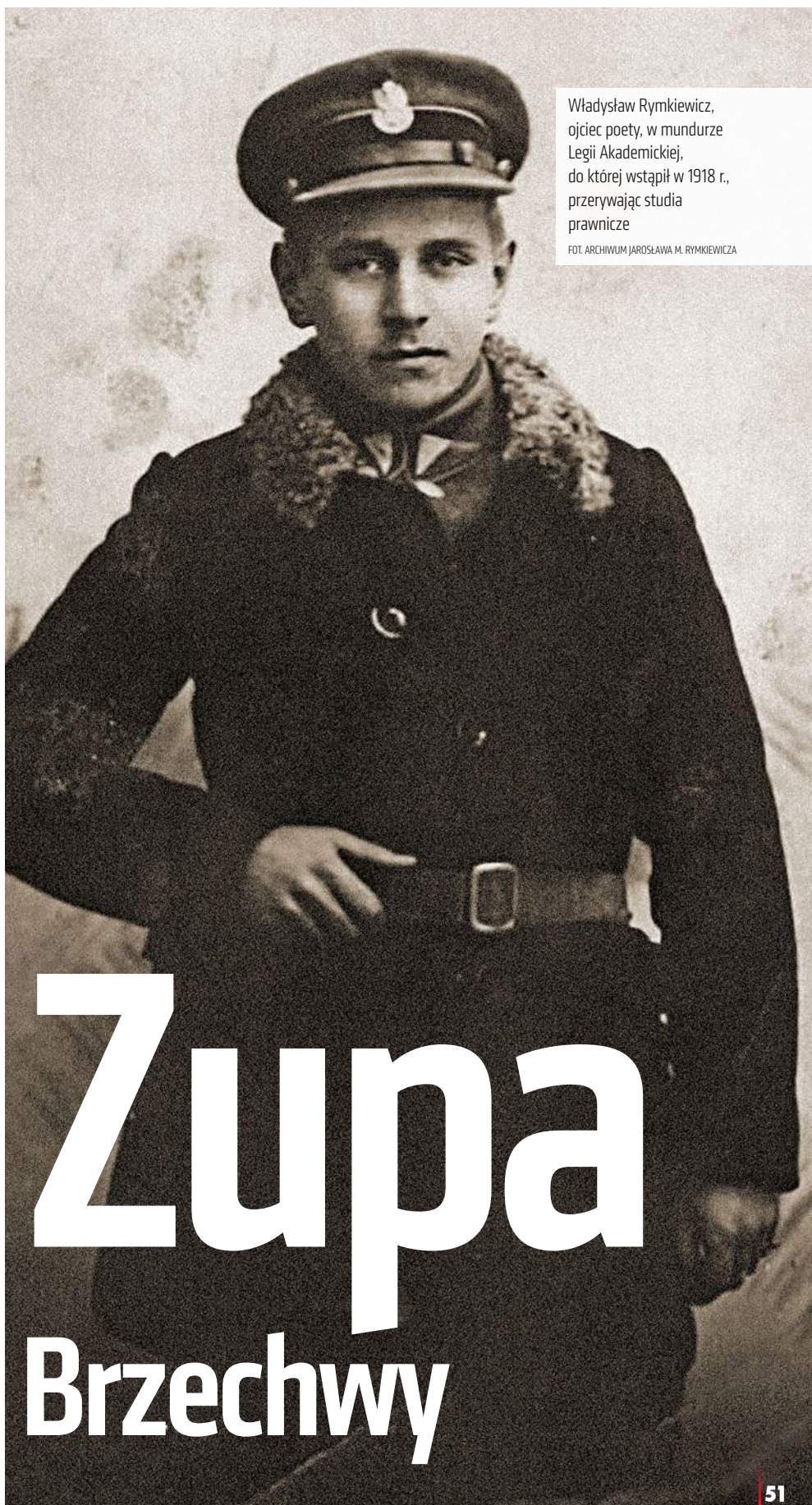
*Idzie Tomek w świat szeroki,
Zamaszyste stawia kroki,
Na grzebieniu gra walczyka,
A tak wabi ta muzyka,
Że tuż za nim środkiem drogi
Kroczy bocian długonogi...*

– „Pana Dropsa i jego trupę” Jan Brzechwa
czytał dwójgu dzieciom na strychu domu
w Gołkowie późną jesienią 1944 r.

Tłoczyliśmy się w małym pokoiku, cztery osoby na przestrzeni ok. 12 mkw. Janek przynosił rękopisy swoich wierszy i opowiadał: »Akademia pana Kleksa« i »Pan Drops i jego trupa«. Nasza dwunastoletnia córka i dziesięcioletni syn byli zafascynowani urzekającym dowcipem i poezją tych utworów” – napisał we wspomnieniu poświęconym Brzechwie Władysław Rymkiewicz. Niewielki dom stał (przebudowany wciąż stoi) prawie naprzeciw stacji kolejki wąskotorowej w Gołkowie. Brzechwa był tam częstym gościem, ukrywał się w pobliskim Zalesiu.

Z domu w Piasecznie do domu w Gołkowie są 4 km. Zmierzyliśmy to razem z Ewą i Jarosławem Rymkiewiczami, gdy samochodem wczesną jesienią 2018 r. przejechaliśmy drogą wzdłuż torów. Te 4 km wówczas, we wrześniu 1944 r., tą samą trasą, pchając wózek z rzeczami, poeta z siostrą i rodzicami przemierzył na piechotę. Kolejka nie działała, trwało jeszcze powstanie.

Stacja kolejki w Gołkowie, właściwie jej zrujnowany budynek (nie ma już prawie śladu peronu i trzeba się domyślić, dopytać, czy to właśnie tu była na pewno stacja kolejki), wciąż istnieje. Ładny zabytkowy drewniany domek stoi po przeciwnej stronie torów niż stacja w Gołkowie, obok niego przebiega dziś asfaltowa szosa. Jest mocno przebudowany, ale okno z małą drewnianą balustradą oraz drewniana elewacja ściany wciąż są takie same. W albumie jest kilka zdjęć pokazujących sceny z Gołkowa i stawiających przed nami poważny dyalemat badawczy. Bo to zdjęcie z Gołkowa, na którym Alina trzyma w ręku żółwia – ale nie tuli go, trzyma go lewą ręką za skorupę, drugą dotyka jego łapy – nie odpowiada zapamiętanym przez poetę faktom.



Władysław Rymkiewicz, ojciec poety, w mundurze Legii Akademickiej, do której wstąpił w 1918 r., przerywając studia prawnicze

FOT. ARCHIWUM JAROSŁAWA M. RYMKIEWICZA

Zupa Brzechwy

Fotografie starannie wklejone przez mamę poety do albumu i podpisane „Gołków 5 października 1944” nie mogą odnosić się do Gołkowa i tego czasu, bo ani żółwia, ani wuj Baranowskiego tam nie mogło być – mówi mi Jarosław Marek Rymkiewicz. – Mama musiała się pomylić – dodaje. Przeglądałam raz jeszcze zdjęcia – dom w Gołkowie z charakterystycznym oknem jest niezaprzeczalnie. Na tle domu siostra poety z równie niezaprzeczalnym żółciem w ręku także. Obok ktoś, kto wygląda jak wuj Baranowski, w za dużym, wymiętym garniturze w prążki. Na kolejnym zdjęciu mama poety, radosna, trzyma pod ramię mężczyznę, który wygląda jak jej brat Bohdan Baranowski. Może wtedy – 5 października – Bohdanowi Baranowskiemu, uczestnikowi powstania warszawskiego, udało się już jakimś cudem dostać do Gołkowa i kurczowe ściskanie przez Hannę Szulc ramienia mężczyzny ma nam mówić o jej radości z ocalenia krewnego? Gdyby oprzeć się na dokumentacji zdjęciowej, tak to właśnie wygląda. Konfrontacja z relacją niewątpliwego świadka tych wydarzeń interpretację tę stawia jednak pod znakiem zapytania. Musimy uznać, że... No właśnie, był żółw w Gołkowie czy nie? A jeśli był, to czyj on był? Udało się wujowi Baranowskiemu przedostać po upadku powstania przez obóz w Pruszkowie tak szybko do Gołkowa? I na czym się opierać, ustalając fakty – na dokumentach (zdjęciowych) czy na relacjach świadków?

SOWIECKI OSTRZAŁ

Pozwólmy mówić świadkom. Z okna na piętrze było dobrze widać budynek stacji i peron – to niewielka odległość, kilkadziesiąt, może sto metrów. Mały Jarek zapamiętał rozgrywką się na peronie scenę (dorosły Jarosław opisuje mi ją, gdy stoimy przed zrujnowanym budynkiem stacji, a zarazem przed tym domem na ulicy w Gołkowie). Do młodego mężczyzny palącego papierosa podchodzi na peronie niemiecki żołnierz. Legitymuje, czegoś żąda. Obserwujący z okna na poddaszu tę scenę chłopiec chowa się w głąb pokoju, jest pewien, że Niemiec zastrzeli tamtego człowieka. Co się stało dalej? W pamięci dziecka to się nie zachowało, zapisana jest tylko groza, ocena sytuacji kogoś, kto wie, co się w takich scenach dzieje. Jednak nie wiemy o tym nic więcej.

Znacznie bardziej wyraziste, pełne wspomnienie – z rozpoczęciem, rozwi-

nięciem i zakończeniem – wiąże się z wędrówką chłopca z ojcem wzdłuż torów kolejki z Gołkowa do Piaseczna i opisane jest w „Kinderszenen”. Ojciec poety wdzierzał stoisko na targu w Gołkowie, gdzie próbował handlować materiałami piśmiennymi. „Kiedy szedł do domu na obiad, zeszyty, stalówki i gumki-myszki sprzedawał jego dziewięcioletni syn” – pisze po latach tenże. Materiały kupowane były w hurtowni w Piasecznie. „Pewnego dnia – była jeszcze jesień 1944 roku – poszedłem z ojcem do Piaseczna. [...] Szliśmy wzdłuż toru kolejki, nawet środkiem toru. Dzień był piękny, słoneczny [...]”. Nadleciał sowiecki dwupłatowiec, z tych, które nazywano kukuruźnikami. Na skrzydłach miał czerwone gwiazdy. W pobliżu nie było nikogo poza nami, byliśmy tylko my, ja i ojciec, i ci dwaj Rosjanie. Musiało być ich dwóch, bo jeden pilotował, a drugi strzelał [...]. Seria z karabinu maszynowego poszła wzdłuż toru, po podkładach, tuż przy moich nogach [...]. Zaczęliśmy biec w kierunku [...] willi w ogródkach, ojciec ciągnął mnie za rękę, [...] biegliśmy środkiem toru. [...] Druga seria poszła na skos przez tor, tuż przede mną i przed ojcem, gdybyśmy biegli trochę szybciej, to wpadlibyśmy pomiędzy pociski [...]. Kukuruźnik zaatakował po raz trzeci, tym razem na ścieżce za torami, ale byliśmy już przy tych wilach [...] jakaś kobieta [...] otworzyła nam furtkę. Siedziałem na podłodze, oparty o drewnianą ścianę werandy i płakałem – oczywiście ze strachu”.

Tego dnia nie był jedynym dzieckiem w okolicach Piaseczna, które płakało po tym, jak próbowano je zabić z rosyjskiego samolotu. Opis tego zdarzenia w „Kinderszenen” spowodował Mieczysława Metlera do napisania listu do poety po ukazaniu się książki i opisanie w kwartalniku „Kresowe Stance” (nr 44) własnych przeżyć – prawdopodobnie z tego samego dnia: „Było niedługo po południu, słonecznie i ciepło. Tak jak wspominał pan Jarosław. Wracalem do domu po lekcjach, prowadzonych potajemnie przez miejscową przedwojenną nauczycielkę dla kilkanaściorga dzieci z Żabiańca i okolicy. Szliśmy w trójkę lub czwórkę miedzą wzdłuż świeżo zaorane-go pola, gdy zza lasu nadleciał w naszym kierunku sowiecki dwupłatowy samolot. Zniżył lot tak, że dostrzegliśmy czerwone gwiazdy na skrzydłach i kadłubie oraz sylwetki dwóch lotników. [...] Nagle usłyszeliśmy terkot karabinu maszyno-

wego i ujrzelismy ogniki ognia. Nie do wiary, ale strzelali do nas! Wrzasnałem: »Uciekajmy« i rozbiegliśmy się jak zajęce przez bruzdy. Z samolotu padły jeszcze kolejne strzały, coś uderzało bardzo blisko w ziemię, ale na szczęście pociski nikogo nie trafiły. Samolot zatoczył koło i odleciał [...]. Z ziemi podniosłem kilka, jeszcze ciepłych, lśniących, mosiężnych łusek z wystrzelonych pocisków”.

Pan Metler wspomina, że dzieci były w szoku, że ktoś chce je zabić, strzela do nich bez powodu: „Nie mogliśmy w to uwierzyć”. W „Kinderszenen” czytamy zaś tak: „Mnie wtedy w ogóle to nie zdziwiło [...] przyjąłem, że jest to rzecz naturalna i oczywista; że to się mieści w porządku rzeczy [...]”. Ten brak zdziwienia narratorowi „Kinderszenen” w tej historii wydał się najciekawszy.

Ojcu nie szło handlowanie materiałami piśmienniczymi, nie było na nie, jesienią 1944 r., dużego popytu. Rodzina utrzymywała się dzięki praktyce lekarskiej mamy. Na płocie posesji w Gołkowie powieszono tabliczkę z napisem „Lekarz”, ludzie za leczenie odwdzięczali się, jak mogli. „Kiedyś przyszedł bogaty gospodarz podziękować za ocalenie życia jego żonie. Przyszedł, usiadł... I położył na stole podłużny pakunek przypominający blok szarego mydła” – opowiadała w „Kinderszenen starszej siostry” Alina Sawicka. „Podziękował, wyszedł, mama rozwinęła papier... A tam wielki połącz poprzestanej słoniny, skarb! Smażyliśmy potem jajecznicę na skwarkach, jedliśmy omaszczane kartofle. To było wspaniałe”.

Gotowano na kozie stojącej w pokoju. To na niej warzono także zupę dla Jana Brzechwy, którą wylał przez nieuwagę mały Jarek. Zdarzenie musiało być traumatyczne, bo zapamiętał je zarówno przyszły poeta, ojciec poety, jak i sam Brzechwa. Autor „Pchły Szachrajki” odpowiadał często rodzinie Rymkiewiczów, był zapraszany na obiady, ratowany przed głodem. Jan Lesman, mając żydowskie pochodzenie i łatwy do rozpoznania wygląd, musiał się ukrywać. Po powstaniu i przejściu przez obóz w Pruszkowie udało mu się znaleźć jakieś lokum w Zalesiu. Jednak tam nie było mu dobrze. „Odsuwają się wszyscy ode mnie. Ludzie zmieniają się w szakale i skaczą sobie do gardła” – pisał do swej przyszłej żony. Jesienią 1944 r. przypadkiem spotkał w Gołkowie Władysława Rymkiewicza, od tej chwili często odwiedzał Gołków. Ojciec poety był kolegą ze studiów, z aplikacji adwokackiej, no i z wojska.

Brzechwa „W 1918 roku przerwał studia, by wraz z grupą studentów wstąpić na ochotnika do nowo utworzonego 36. Pułku Piechoty Legii Akademickiej, idącej na odsiecz Lwowa. Brał więc udział w kampanii lwowskiej” – napisała jego siostra Halina Korecka we wspomnieniowej książce „Akademia pana Brzechwy”. Szlak bojowy pułku obejmował także walki późniejsze – dopiero po zwycięstwie nad bolszewikami w 1920 r. studenci wrócili do zajęć na uniwersytecie. Obydwaj – Jan Lesman i Władysław Szulc – wrócili na prawo i trafili na ten sam rok.

Ze wspomnień Władysława Rymkiewicza o Brzechwie zawartych w książce „Akademia pana Brzechwy” wynika, że

działających przy Sądzie Okręgowym w Warszawie: „Lesman Jan, Żórawia 35, tel. 9-55-34”; „Szulc Władysław Michał, Nowogrodzka 33, tel. 8-58-08”. Urzędują niedaleko od siebie – przy sąsiednich przecznicach, odchodzących od Marszałkowskiej.

Podczas okupacji nie mają kontaktu, aż do chwili przypadkowego spotkania w Gołkowie. „Janek był mizerny, wychudzony, ale humor i optymizm nie opuszczały go” – wspominał w „Akademii...” Władysław Rymkiewicz. „[...] Pewnego dnia moja żona przygotowała zawieszistą zupę grzybową [...]. Gdy Janek zjawił się w naszej klitce, zasiedliśmy do stołu. Niestety mój syn, pełen temperamentu, zaczął biegać od ściany do ściany i potra-

z Jerzym Borejszą, działaczem KPP, PPR i twórcą polityki kulturalnej instalowanej przez Moskwę władzy. W tym czasie, w styczniu 1945 r., Borejsza opublikował na łamach nowego pisma „Odrodzenie” artykuł pt. „Rewolucja łagodna”. „Reakcja polityczna i społeczna przegrała bitwę o Polskę i ta przegrana jest zupełna i ostateczna. Wśród inteligencji następuje podział na małą grupę, która tkwi i chyba pozostanie w przesądach reakcyjnych – i olbrzymią większość, która zdaje sobie jasno sprawę z tego, że droga szerokich reform wybija Polskę okno na Europę” – pisał przedstawiciel nowej władzy. I dodawał: „Przed naszą inteligencją staje wielki problem odnalezienia wyrazu kulturalnego nowej Polski. Nieuniknienie wyrośnie nowa inteligencja, która zastąpi wytrzebione przez okupanta szeregi, jako też, jeśli zajdzie tego potrzeba, zastąpi tych reakcyjnych przedstawicieli inteligencji zawodowej, którzy nie zechcą stanąć, zakasawszy rękawy, do pracy nad dziełem budowy Polski demokratycznej”.

Z Lublina Jan Brzechwa pojechał do Łodzi, gdzie objął funkcję radcy prawnego tworzonej przez Borejszę Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. Autor „Pchły Szachrajki” donosił, że „do Łodzi zjechało wielu literatów”, że są dla pisarzy przydzielone mieszkania i że zabezpieczył dla Rymkiewiczów jedno. I że jest dla nich praca, żeby koniecznie przyjeżdżać.

W ten sposób Brzechwa przesądził o całym ich przyszłym życiu, zdecydował o dalszych wieloletnich – od tego momentu łódzkich – losach Jarosława Marka Rymkiewicza. Przypadkowe spotkanie dwóch dawnych kolegów w Gołkowie, obiady na stryżku, czytanie „Akademii Pana Kleksa”, wylana zupa – tak też wygląda punkt (w tym wypadku o dużym ciężarze właściwym) przecięcia linii przeznaczenia. A gdyby tak Brzechwy nie spotkali? Czy Władysław Rymkiewicz zabrałby rodzinę do Łodzi, trafił do Czytelnika, porzucił zawód prawnika i został łódzkim literatem? Jak potoczyłyby się losy jego syna? Jakie to byłyby wiersze?

Nie wyprzedzajmy faktów, bo tymczasem Brzechwa, niczym wojewoda w „Panu Dropsie...”: „I dziękował im serdecznie, / I tak prosił bardzo grzecznie: / Zamiast tułać się po świecie, / U mnie wszyscy zostaniecie...”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem powstającej książki o poecie z Milanówka.



Wuj Baranowski, siostra Alina i ojciec poety w Gołkowie FOT. ARCHIWUM JAROSŁAWA M. RYMKIEWICZA

to właśnie na studiach się zaprzyjaźnili. Władysław pisze o przyjacielu z atencją i czułością: „Janek przyciągał jak magnes spojrzenia wszystkich studentek”, „miał już za sobą debiut poetycki i cieszył się wzięciem jako autor estradowy”, „imponował mi rosnącą popularnością”. Po studiach razem pracowali jako aplikanci sądowi w wydziale cywilnym Sądu Okręgowego w Warszawie przy Miodowej – urzędowali w jednym pokoju. Potem ich drogi się rozeszły – Lesman zajął się prawem autorskim, Szulc bronił tych, którzy weszli w konflikt z prawem karnym. „Kalendarz informator sądowy na rok 1934” podaje spis adwokatów

cił rondel. Szkoda jak na owe czasy była niepowetowana! Po grzybowej zupie pozostało tylko wspomnienie. [...] Janek nie tracił humoru, ale po wojnie wyznał, że w dniu fatalnej katastrofy był bardziej głodny niż zwykle”.

MIESZKANIE W ŁODZI

W lutym 1945 r. jakiś nieznajomy mężczyzna przyniósł do Rymkiewiczów list od Brzechwy, z Łodzi. Poeta – jak tylko było to już możliwe: gdy Niemcy się wycofali, a weszli Rosjanie – opuścił Zalesie. Pojechał do Lublina, gdzie rozlokowała się wyznaczona przez Stalina nowa władza. Spotkał się tam



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Pewnego razu w Paryżu



★★★★★

REŻ. RALPH FIENNES
„BIAŁY KRUK”
 („THE WHITE CROW”)
WIELKA
BRYTANIA 2018

wyst. Oleg Iwenko,
 Ralph Fiennes,
 Louis Hofmann

Nietzsche gardził chrześcijaństwem jako religią słabeuszy, wielbił natomiast szalonego Dionizosa. „Wierzyłbym tylko w Boga, który by tańczyć potrafił” – deklarował ów filozof, zanim sam zniknął. Nie dane mu było ujrzeć na scenie Wacława Niżyńskiego, zwanego bogiem tańca. Swoją drogą, obaj panowie uważali się za Polaków, o czym heroldowie naszej polityki historycznej powinni trąbić na cztery strony świata, zamiast marnować czas i pieniądze na przekonywanie Europy, że uratowaliśmy ją przed komunizmem (w co i tak nikt nie wierzy).

Na początku XX w. Niżyński, gwiazdor i choreograf Baletów Rosyjskich, miał u stóp cały Paryż. Francuzi przełknęli upokorzenie (dwa stulecia wcześniej to oni

uczuli muzyków z Petersburga tańczyć i posługiwać się widelcem), a gdy tylko pojawiła się okazja, by przekabacić kolejnego geniusza sceny ze Wschodu, skwapliwie z niej skorzystali. W 1961 r. nad Sekwaną gościł zespół moskiewskiego Teatru im. Siergieja Kirowa. Cel wizyty był rzecz jasna propagandowy: Sowietci pragnęli udowodnić, że nie tylko ich czołgi i karabiny są najlepsze na świecie. Komuś w centrali zabrakło jednak wyobraźni: zapomniał, że artyści bywają niesforni.

Film trafnie oddaje uczucia, jakie targały obywatelami ZSRS, służbowo wyjeżdżającym na „zgniły Zachód”. Niełatwo trzymać fason, gdy doskwiera ci poczucie niższości. Gospodarze perfidnie je pogłębiali, zapoznając oszołomionych tancerzy z atrakcjami Paryża. Najmniej odporny na pokusy

okazał się Rudolf Nuriejew. Młody solista w ojczyźnie baletu poczuł się jak średniowieczny pielgrzym, który po wielu trudach dotarł do Ziemi Świętej.

„Biały kruk” w odróżnieniu od „Czarnego łabędzia” i „Czerwonej jaskółki” jest filmem stonowanym. Owszem, scena na lotnisku ma w sobie nieco dramatyzmu, lecz i tak wiemy, jaki będzie jej finał. Ralph Fiennes, aktor znakomity, reżyser coraz lepszy, oparł się pokusie wybielenia sławnego tancerza. Rudiego, chłopaka z awansu społecznego, zżera żądza sławy. Stuprocentowy egoista, ludzi traktuje instrumentalnie, rozumie jednak, że sam talent nie wystarczy, by stać się gwiazdą. Z nabożeństwem studiując obrazy Rembrandta, bywa w mieszkaniach moskiewskich inteligentów, w których przy alkoholu rozmawia się o istocie wszechrzeczy.

Na scenie Nuriejew tańczy jak kobieta, prywatnie interesują go raczej męskie ciała. Filmowcy nie zgłębiają tematu, a przecież LGBT jest centralnym problemem współczesności. Popełnili też kilka anachronizmów. W czasach gen. de Gaulle’a urzędnik, witający gości zza żelaznej kurtyny po angielsku, szybko pożegnałby się z posadą. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „SHAZAM!”

„Ale jesteś mroczny! – kpił na ekranie Deadpool, jeden z antyherosów Marvela. – Jakbyś się urwał z uniwersum DC”. Siódmy już film osadzony w realiach kinowego świata komiksów DC (to ci od „Ligi Sprawiedliwości” i „Aquamana”) odbiega od poprzednich tonem, bo jest komedią dla młodszych. Disnejowską w duchu, choć

to produkt konkurencji. Musiało tak być, skoro główną postacią jest tu dzieciak, który za pomocą jednego słowa może zamieniać się w superbohatera. ©© **Piotr Gociek**

• „Shazam!”, reż. David F. Sandberg, wyst. Zachary Levi, Djimon Hounsou, Michelle Borth, USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Jutro albo pojutrze”, reż. Bing Liu, USA 2018
- „Szybką dnia”, reż. László Nemes, Węgry 2018
- „Impostor”, reż. Lee Cronin, USA 2019
- „Powrót”, reż. Magdalena Łazarkiewicz, Polska 2018

Do łzy ostatniej

Hamburg, końcówka 1945 r., godzina zero. Miasto leży w gruzach, lecz brytyjczy okupanci muszą przecież gdzieś mieszkać. Pułkownik Lewis Morgan i jego znerwicowana żona Rachael zajmują willę niemieckiego architekta, wspaniałością myślnie pozostawiając mu pokój na poddaszu. Między małżonkami nie układa się najlepiej, zaś gospodarz ma twarz Alexandra Skarsgård, seksownego wampira Eryka z serialu „Czysta krew”. Resztę można sobie doświadczać.

Akcja komedii romantycznych rozgrywa się współcześnie, melodramat potrzebuje kostiumu i malowniczego tła. W ekranizacji powieści Rhidiana Brooka są nim zgłiszczą III Rzeszy. Portrety Adolfa już zniknęły ze ścian, ale Weh-

rwolf jeszcze szczyrzy zęby (mleczne, gdyż poza garstką chłystków z Hitlerjugend nikt się do partyzantki nie rwie). Zwycięzcy miotają się między żądzą zemsty a pokusą fraternizacji z pokonanymi. Ta ostatnia, jak podejrzewam, objawiała się trochę inaczej niż w filmie: to Niemki, pozbawione środków do życia oraz wsparcia poległych lub zamkniętych w obozach jenieckich ojców, mężów i synów masowo zadawały się z cudzoziemcami.



★★★★★
REŻ. JAMES KENT
„W DOMU INNEGO”
USA/WIELKA
BRITANIA 2019

wyst. Keira Knightley, Jason Clarke, Alexander Skarsgård

Najbardziej dziwi płaczliwość bohaterów oraz ich skłonność do zwierzeń. Dotąd żyłem w przekonaniu, że wyspiarze szczerze rozmawiają tylko o pogodzie, a roztkliwić ich może jedynie zadbane ogródek. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „SEKIRO: SHADOWS DIE TWICE”

Skradanie się, efektowne walki z bossami za pomocą broni białej, wyśrubowany poziom trudności, ciągłe umieranie i odradzanie się głównego bohatera oraz pomieszanie historii z fantastyką. Jeśli taki scenariusz rozgrywki brzmi dla was znajomo, to najprawdopodobniej jesteście fanami

serii „Dark Souls” oraz „Bloodborne”. A skoro tak, to z pewnością do gustu przypadnie wam również „Sekiro”, zaprojektowany przez ten sam zespół deweloperów z Hidetaką Miyazakim na czele. Tym razem zamiast do europejskiego średniowiecza przeniesiemy się do Japonii. Plusy: estetyczna



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

grafika, zróżnicowane tempo gry i zestaw umiejętności. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** TPP/Akcja
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** FromSoftware/Cenega
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

POTWORY Z WYSPY JERSEY

Imponujący debiut młodego brytyjskiego reżysera, świetnie skonstruowany i pięknie sfilmowany wśród pejzaży pięknej wyspy Jersey. Michael Pearce nakręcił thriller łączący tradycję filmów noir ze współczesnymi thrillerami obyczajowymi w stylu książek Gillian Flynn. Z początku wszystko zdaje się oczywiste: zahukana dziewczyna cierpi w toksycznej rodzinie. We znaki daje się jej przede wszystkim surowa matka (prerażająca Geraldine James). Wybawieniem zdaje się napotkany przypadkiem przystojny odludek, który skrywa własne traumy. Dziewczyna traci dla niego głowę, a im bardziej młodzi chcą być ze sobą, tym większy sprzeciw otoczenia wywołują. Jednak to tylko kawałek układanki. Jednocześnie na wyspie dochodzi do kolejnego niewyjaśnionego morderstwa, policja krąży wokół zakochanych, między którymi także rośnie napięcie. Do samego końca nie wiadomo, kto jest tu ofiarą, a kto bestią, a aktorska robota Jessie Buckley i Johnnynego Flynna jest godna podziwu.



wyst. Johnnynego Flynn, Jessie Buckley, Trystan Gravelle

★★★★★
REŻ. MICHAEL PEARCE
„POD CIEMNYMI GWIAZDAMI”
WIELKA
BRITANIA 2017,
M2 FILMS

A WIĘC WOJNA

Najnowszy film Spike'a Lee zachwyca sprawnością, z jaką opowiedziana jest spora jego część, oferuje dużo inteligentnego humoru i dwie ciekawe kreacje aktorskie. John David Washington gra pierwszego czarnoskórego detektywa w mieście (mamy wczesne lata 70.), a Adam Driver jego partnera, z którym rozpracowują miejscowy oddział Ku Klux Klanu. Jednocześnie film irytuje politycznymi spowalniającymi. Zamiast kina dostajemy politgramotę wagi ciężkiej. Sztuka ustępuje miejscami propagandzie, co sprawia, że nie można dzieła uznać za pełni udane. Kogo zmęczy wykład o konieczności wojny rasowej, ten niech poczeka na finał: wtedy dopiero zostanie kulakami naciąganej metafory prosto w nos. Jednak między tymi słabościami wciąż kryje się wyjątkowo utalentowany reżyser, którego pamiętamy z tak dobrych filmów jak „Rób, co należy” czy „Dziewczyna nr 6”. ©©



John David Washington, Adam Driver, Laura Harrier

★★★★★
REŻ. SPIKE LEE
„CZARNE BRACTWO. BLACKKLANSMAN”
USA 2018,
FILMOSTRADA

recenzuje Piotr Gociak

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Rozum i emocje

Dwanaście szkiców pomieszczonych w tomie zredagowanym przez Brigitte Gautier z Uniwersytetu w Lille i Macieja Urbanowskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego ukazuje postać i dorobek pisar-ski Ksawerego Pruszyńskiego (1907–1950) z chyba wszystkich możliwych stron, nie pomijając najbardziej drażliwych kwestii politycznych, które swego czasu wywoływały burzę – i w kraju, i na emigracji. Niewątpliwie zagadkowa śmierć autora „Karabeli z Meschedu” w wypadku samochodowym, być może spowodowanym przez PRL-owskie służby specjalne, zaciążyła na ocenie osoby Pruszyńskiego i jego twórczości, zarówno przece-nianej, jak i niedowartościowanej.

Bo też w swoim krótkim, acz wyjątkowo burzliwym życiu ten – z całą pewnością – wybitny pisarz i publicysta dokonywał wielu wolt ideowych, przez co wymyka się, jak zauważają redaktorzy zbioru, kategoryzacji. Przypomnieć tu trzeba, że z ogarniętej wojną domową Hiszpanii ten konserwatysta przysyłał reportaże odczytywane jako poparcie dla republikanów. Wygnany ze swego majątku na Kresach, zdawałoby się antykomunistyczny i antysowiecki z samej swojej natury, był na emigracji pierwszym, który nie tylko namawiał do pogodzenia z Rosją, lecz także przystania na oddanie Stalinowi Lwowa i Wilna. W 1947 r. na forum ONZ zaangażował się w podział Palestyny. „U Pruszyńskiego – czytamy – rozum zawsze panował nad emocjami, jak wtedy, gdy wybrał dolę prostego żołnierza w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie albo gdy postanowił wrócić do kraju po drugiej wojnie światowej”.

Pruszyński był żołnierzem Samodzielnej Brygady Podhalańskiej, w 1940 r. walczył pod Narwikiem, za co został odznaczony Krzyżem Walecznych. Na emigracji w Anglii



FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/IST NEWS

współpracował z „Wiadomościami Polskimi” Grydzewskiego i nikt pewnie wtedy nie przewidywał, że ten były ziemianin i wzięty przedwojenny autor „Słowa”, „Buntu Młodych”, „Wiadomości Literackich” i popularnego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” stanie się komunistycznym dyplomata, a jako autor „wsławi” się „Rapso-dem o generale Walterze” i wy-wiadem z Bolesławem Bierutem. A ta wielka zmiana początek swój miała we wrześniu 1941 r., gdy minister Stanisław Kot zabrał go ze sobą do ambasady w Moskwie jako attaché prasowego. Po powrocie zerwał współpracę z Grydzewskim, a pisywać zaczął u innego skamandryty – Antoniego Słonimskiego – w „Nowej Polsce”. Jednak jeszcze w sierpniu 1944 r. został – jako żołnierz gen. Maczka – ciężko ranny pod Falaise i po raz drugi odznaczony Krzyżem Walecznych. Rok później był już w Warszawie.

Ponoć to on – o czym w omawianym tomie przypomina Marta Wyka – nazwał swego czasu Miłosza pieczołowcem losu. Jednak i z niego był podobny „bałowien” sudby”. Wacław A. Zbyszewski utrzymywał, że najbardziej żądny był sukcesu chwili, zarzucając Pruszyńskiemu egocentryzm, próżność, a w konsekwencji amoralność. Na emigracji po publikacji w 1943 r. artykułu „Wobec Rosji” przez większość Polaków został potępiony. Po powrocie do kraju oceny te jeszcze

bardziej się wyostrzyły, np. dla Jana Lechonia – o czym teraz przypomina Rafał Habielski – był „pierwszym zdrajcą”. Cytowany jest tu też znamieny list Jerzego Giedroycia do Ryszarda Wragi, w którym redaktor „Kultury” po spotkaniu z Pruszyńskim w 1947 r. pisał: „Ksawery, tłusty, zapuchnięta twarz. Zadowolony z siebie, maniery rewizora. [...] W sumie obrzydliwe i smutne”.

Oczywiście propagandyści PRL robili wszystko, by budować Pruszyńskiemu – już po jego śmierci – pomnik. Dlatego uczyniono wyjątek dla jego opowiadań, które trafiły do lektur szkolnych i dowodzić miały rzekomego uwzględnienia w socjalistycznej edukacji wysiłku polskiego żołnierza na Zachodzie. Poloniści „przerabiali” więc jego teksty, przy czym pamiętano zawsze, by ukazywać go jako „czerwonego panicza”, który zradykalizował swoje poglądy w walczącej Hiszpanii. Dobrze więc, że prof. Urbanowski w swoim szkicu o zagadkowej dedykacji „W czerwonej Hiszpanii” Eugeniuszowi Małaczewskiemu, autorowi sławnego niegdyś i, niestety, rzadko dziś przywoływanego, zdecydowanie antybolszewickiego „Konia na wzgórzu”, wskazuje na zgola nieoczywiste aspekty pisarstwa Ksawerego Pruszyńskiego.

Jako autor „Margrabięgo Wielopolskiego” budzi on sprzeciw, a jego idea „współdziałania” Polski ze Stalinem z dzisiejszej perspektywy – o czym pisze prof. Nowak – wydawać się może błędem, a nawet hańbą, ale też trudno nie zgodzić się z Martą Wyką, że „nie warto sprostować go do roli kolaborującego urzędnika, co czasem się zdarza”. Być może – stawia pytanie autorka króciutkiego szkicu „Pisarstwo Ksawerego Pruszyńskiego” – „dyplomacja jest funkcją, a nie probierzem moralności”?

Naprawdę zagadkowy ten Pruszyński. Wciąż. ©©



★★★★★
RED. BRIGITTE
GAUTIER, MACIEJ
URBANOWSKI
„ZAGADKOWY
KSAWERY
PRUSZYŃSKI”
WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
JAGIELLOŃSKIEGO
2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

III RP od dołu

Nie mamy dobrych polskich kryminałów, rośnie za to gatunek doku-gangsta. Jego symbolem stał się wysyp książek sygnowanych przez Jarosława Sokołowskiego ps. Masa, najsłynniejszego (choć niekoniecznie najbardziej wiarygodnego) z polskich świadków koronnych. Kilka miesięcy temu recenzowałem książkę Piotra Mudyna, cyn-gła mafii z Warszawy. Dzisiaj o wyróżniającej się krótkiej serii autorstwa Greka.

„Napisał ją były gangster bez pomocy dziennikarza czy innego pośrednika” – chwali się wydawnictwo. Tę chropawość i autentyczność widać w trzech tomach („Byłem gangsterem”, „Napadałem na banki” i najnowszy „Siedziałem w więzieniu”). Dając wiarę słowom redaktorów, pozostają w głębi duszy nieco sceptyczny – gdyby ktoś chciał to wszystko wymyślić, to pewnie tak właśnie wyglądałby efekt końcowy. Ponadto składa się to wszystko z innymi świadectwami przestępców, które dotąd czytałem, oraz z tym, co słyszałem od policjantów i znajomych dziennikarzy śledczych. Na razie rozstrzygam więc wątpliwości na korzyść autora.

Nie mamy dobrych polskich kryminałów i wspomnienia takich jak Grek wyjaśniają dlaczego. Przeciętny polski autor to jajogłowy inteligent wymyślający papierowe, niesłychanie

pokomplikowane historie w stylu retro (tu drogę wskazał Krajewski). Jeden Patryk Vega w kinie (a wcześniej w serialu „Pitbull”) zrobił użytek z wiedzy przekazywanej przez takich jak Grek. Inna sprawa, że miał (i ma) kłopot z przekuwaniem historyjek pełnych krwi i obrzydlistwa w mocne, zwarte fabuły. Dużo tego w trylogii Greka, opowieści pozbawiającej złudzeń: patologia to patologia, szukacie honorowych bandziorów, to poczytajcie sobie „Ojca chrzestnego”, tak naprawdę to syf, kłamia i oszukują wszyscy, dno dna. „Siedziałem w więzieniu” przynosi ponury obraz tego, co się dzieje po obu stronach muru.

O zwyrodnieniu gangsterów i patologii więziennej jednak już wiemy. To, co szczególnie ciekawe, dzieje się na obrzeżach opowieści. I jest to akt oskarżenia dla III RP. Kariera Greka rozkwitała w latach 90. Każdy liczący się bandzior miał, według jego słów, „swojego” prokuratora i sędziego. Kasa krążyła: dziwne wyroki, uła-

skawienia, przerwy w odbywaniu kary. Świadkowie koronni łgali na potęgę, sukcesy w „walce z mafią” polegały na puszkowaniu jak leci winnych i niewinnych. Ciekaw jestem, co dziś dzieje się z owymi tuzami wymiaru sprawiedliwości. Czy aby nie chodzą w koszulkach z napisem „Konstytucja”? ©©



★★★★★
PSEUDONIM GREK
„SIEDZIAŁEM W WIĘZIENIU”
WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE
2019

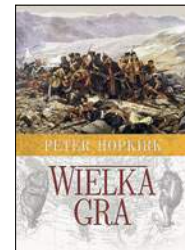
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dawno, dawno temu, zanim sławę zdobyli Jerzy Kukuczka czy „Czapkins” Mackiewicz. Opowieść o początkach polskiego himalaizmu i losach bohaterów wyprawy z 1939 r. na Nanda Devi East: Jakubie Bujaku i Januszu Klarnerze.



DARIUSZ JARON
„POLSCY HIMALAIŚCI”
MARGINESY

Wznowienie jednej z fundamentalnych prac na temat historii zmagania o Afganistan i szerzej – Azję Środkową. Głównymi graczami były wiktoriańska Anglia i carska Rosja, a skutki ich działań wpływają na losy regionu do dziś.



PETER HOPKIRK
„WIELKA GRA”
ZYSK I S-KA

Bitwy o Lwów roku 1918 historia równoległa, bo historyk IPN, autor „Płonących Kresów”, wykorzystując źródła polskie i ukraińskie, opowiada o tych zmaganiach, przedstawiając cele, nadzieje i punkt widzenia obydwu walczących stron.



DAMIAN K. MARKOWSKI
„DWA POWSTANIA”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE

Połączenie fantastyki i docho-
dzenia jak z powieści Agathy Christie. A gdyby dało się prowadzić śledztwo, wcielając się w poszczególne postaci dramatu, każdego dnia w inną? Inspiracja „Dniem świstaka” też widoczna, ale to dobre wzorce. ©©



STUART TURTON
„SIEDEM ŚMIERCI EVELYN HARDCASTLE”
ALBATROS

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Bruce W. Cameron „O psie, który wrócił do domu”** (Wydawnictwo Kobiectwo) – bestseller autora „Był sobie pies” wraca na listy hitów za sprawą ekranizacji.
- Michelle Obama „Becoming. Moja historia”** (Agora) – autobiografia byłej pierwszej damy, żony prezydenta USA Baracka Obamy.
- George R.R. Martin „Ogień i krew. Część 2”** (Zysk i S-ka) – opowieść o czasach poprzedzających „Grę o tron”. Dzieje podboju Westeros i dynastii Targaryenów.
- Katarzyna Puzyńska „Rodzance”** (Prószyński Media) – 10. tom serii o policjantach z Lipowa. Szybko poszło, pierwszy ukazał się w 2014 r.
- Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz”** (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.

(Najchętniej kupowane książki w sieci BookBook – 27.02–12.03.2019 r.)



Chris Botti (z lewej) będzie gwiazdą pierwszego dnia Wodecki Twist Festiwal FOT. MAT PRAS., PIOTR TUMIDAJSKI/FORUM

Botti dla Wodeckiego

Trzech amantów poszło do nieba: Robert Redford, Robert De Niro i Zbigniew Wodecki. Głos Boga: „Robertcie Redfordzie, pokój 36”. Redford otwiera drzwi do pokoju 36, patrzy, a tam siedzi strasznie brzydka kobieta. Głos Pana Boga: „Robertcie Redfordzie, za wszystkie grzechy popełnione na ziemskim padole wieczność spędzisz w po-

koju 36”. Wszedł załamany, drzwi się zamknęły, koniec. Identyczna sytuacja jest w przypadku Roberta De Niro. Wreszcie Bóg mówi: „Zbigniew Wodecki, pokój 37”. Wodecki otwiera drzwi, patrzy, a w pokoju siedzi Claudia Schiffer. Głos Pana Boga: „Claudio Schiffer, za wszystkie grzechy popełnione na ziemskim padole...”.

Powyższe to chyba koronny dowcip z zestawu Zbigniewa Wodeckiego, który opowiadał podczas swoich koncertów. Również dlatego był tak uwielbiany. Polacy kochają Wodeckiego nie tylko za muzykę, lecz także za poczucie humoru, pogodę ducha oraz dystans do samego siebie. Odszedł przedwcześnie, w 2017 r. Spadkobier-

cy artyści po jego śmierci powołali do życia Fundację im. Zbigniewa Wodeckiego. Główne cele: „twórcza i kreatywna opieka nad dorobkiem Zbigniewa Wodeckiego, a także działalność edukacyjna oraz wspieranie talentów”. W ubiegłym roku fundacja była współorganizatorem Wodecki Twist Festiwal, a że impreza wypaliła, to wspólnie z miastem Krakowem fundacja powtarza ją w tym roku. Organizatorzy podali już szczegóły tego trzydniowego wydarzenia. Dzień pierwszy – 7 czerwca – to koncert poświęcony trąbce, czyli obok skrzypiec ulubionemu instrumentowi Wodeckiego. To wtedy wystąpi Chris Botti. To wirtuoz trąbki, który na swoich koncertach potrafi rozbawić i wzruszyć. Amerykanin dość regularnie grywa w Polsce, doskonale rozumie polską publiczność, wie, na czym memoriale wystąpi, więc ten czerwcowy koncert nie będzie jednym z wielu. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Woda i sen

Bracia Waglewscy zgodnie z zapowiedzią wyruszyli w nostalgiczną podróż po latach 80. Kiedy są konsekwentni, wychodzi im bardzo zabawnie, kiedy Fisz dywaguje o miłości w trudnych czasach, robi się nijak.

Emade lubuje się w brzmieniach stworzonych przez rodzinę muzyczną spod znaku Talking Heads. Do tego bawi się z archaicznym disco i rockową alternatywą sprzed trzech dekad. Podkłady momentami wręcz porywają, jak choćby w przebojowym „Swetrze”, opierającym się na pulsacjach Tom Tom Club i wspominkach o beztroskich prywatkach. Niestety, Fisz często „socjologizuje” i może

dlatego w tekstach mamy nadmiar wody (jako temat występuje w czterech utworach) albo robi się (bez)sennie (również w czterech piosenkach). „Morskie lwy” to nowa wersja „Jest super” T.Love, tylko że te piosenki dzieli ponad 20 lat, więc jest jak w odgrzewanym żarcie.

Wierzę Fiszowi, kiedy jest outsiderem znajdującym szczęście wśród bliskich. „Marnujemy czas na trawie i jakoś dobrze nam z tym / Zatykam uszy, zakrywam oczy, tak by było nic”. Kiedy sypie banalami o świecie rządzonego przez hajs, wielkiego brata, polityczny cynizm czy inne boleści, to nie przekonuje. „Tu wszystko polityką jest / Nie ma dziś niepolityki”. ©©



★★★★★
FISZ EMADÉ
TWORZYWO
„RADAR”
GRAND IMPERIAL



★★★★★
LAMBCHOP
„THIS (IS WHAT I WANTED TO TELL YOU)”

CITY SLANG

Kurt Wagner poszukuje sensu w świecie epoki Trumpa. Zamiast country-soulu buntownik z Nashville stworzył senne krajobrazy na fortepian, syntezatory, bas i elektronicznie przetworzony głos. Muzyczna trauma też może być intrygująca.



★★★★★
DARIA ZAWIAŁOW
„HELSINKI”
SONY MUSIC

Po dwóch latach od debiutu „A kysz!” Daria alternatywnie wyznaje, że z nim już tak dalej się nie da. Manifestując niezależność, flirtuje z pol-popem lat 80. od Maanam do Bajmu, ale i z Nosowską. Niestety, na ten podwójny ból nie ma szczepionki. ©©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

ENSACYJNY WYWIAD
Z BOHATERE US ARMY,
KTÓRY ZDOBYŁ IWŌ-JIMĘ!

Tomasz Stańczyk – Z Kresów na Syberię
Alina Chodkowska – Przeżyłam piekło w Sowietach
Piotr Zychowicz – Żydowski bokser kolaborantem?
Mikołaj Iwanow – Stalin, szpieg ochrony
Marcin Bartnicki – Wielka prowokacja UB
Dermot Turing – Polscy pogromcy Enigmy
Sławomir Cenckiewicz – Pedofilia Michaela Jacksona
Oleg Łatyszczonok kontra Jan Żaryn – Debata nad „Buryem”

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



**Ze Sławomirem Dębskim, dyrektorem
Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych
rozmawia Marcin Makowski**



MARCIN MAKOWSKI: Powinniśmy zacząć się
szykować do wojny z Rosją?

SŁAWOMIR DĘBSKI: Żeby odpowiedzieć na
to pytanie, musimy najpierw zrozumieć,
jaki jest punkt wyjścia. Przynajmniej od
10 lat Rosja jednostronnie wykorzystuje
wojnę jako instrument polityki zagranicz-
nej, wymuszającej na sąsiadach i innych
partnerach porządku międzynarodowego
nową umowę polityczną.

Na czym ona polega?

W przypadku Gruzji i Ukrainy chodzi-
ło o wygaszenie aspiracji odnośnie do
przystąpienia do NATO i Unii Europejskiej
oraz wywarcie presji na Zachód, aby ten
nie przyciągał Kijowa i Tbilisi do swo-
jej „strefy wpływów”. Przynajmniej od
1993 r. Rosja chce tak przemodelować
status quo, aby pomiędzy nią a państwami
sojuszu w Europie Środkowej istniało coś
w rodzaju szarej strefy bezpieczeństwa.
Choćby z tego punktu widzenia musimy
być przygotowani, że Rosja może użyć
w przyszłości siły wobec państw wschod-
niej flanki. Ten scenariusz może się okazać
prawdopodobny, jeśli w tym samym czasie
siły amerykańskie będą zaangażowane
w konflikt w innym regionie świata. W mo-
mencie odwróconej uwagi mediów i pa-
ralizmu decyzyjnego sojuszu Rosja mogłaby
się zdecydować na powtórzenie wariantu
krymskiego.

**Amerykański think tank Center for Strategic
and Budgetary Assessments (CSBA) w swoim
opublikowanym niedawno raporcie uwzględnił
właśnie taki obrót spraw. NATO nie jest w stanie
skutecznie skontrować lokalnej agresji Rosji, więc
ta zajmuje część terytoriów państw członkowskich,
oczekując negocjacji sankcjonujących agresję jako
fakt dokonany. Analitycy ostrzegają, że w ten
sposób mogłoby dojść do osłabienia autorytetu
US Army w innych regionach, np. na Pacyfiku, co
uruchomiłoby trudny do przewidzenia efekt domina.**

Ten i wiele innych podobnych raportów
pokazuje, że Amerykanie coraz intensywniej
zaczynają myśleć o swojej strategii
wojskowej jako powiązanej całości, opartej
na komponencie globalnym. W czasie
zimnej wojny odstraszenie miało charakter
jednowymiarowy – w naszym regionie
zmierzało do zatrzymania eksportu komu-
nizmu na resztę Europy. Dzisiaj świat się
zmienił i z dwubiegunowego (NATO kontra
 Układ Warszawski) przerodził się w wie-
lobiegunowy. W Stanach coraz otwarciej
mówi się o konflikcie z Chinami, stąd
odstraszenie również musi mieć wymiar
globalny. Dlatego – tak jak pan wspominał

FOT. STANISŁAW KUSIAK/EAST NEWS

– jeśli US Army utraci zaufanie na odcinku europejskim, to Pekin może to uznać za słabość i zachęć do bardziej agresywnej polityki na Dalekim Wschodzie. Właśnie w tym kontekście należy czytać ruchy, takie jak wycofanie się Ameryki z układu o nierozprzestrzenianiu broni rakietowej średniego zasięgu (INF). Argumenty, które stały za tą decyzją, nie dotyczyły tylko Rosji. Owszem, Waszyngton stwierdził, że Moskwa sama nie przestrzega podpisanych w 1987 r. porozumień, rozwijając swoje uzbrojenie mimo zakazu, ale drugi argument obecny w debacie dotyczył Państwa Środka.

**Które, nie będąc związane układem, wyprze-
dzało konkurencję.**

rzeczą byłoby go zmarginalizować kosztem innych teatrów działań. W tej chwili tylko „odwrócenie wzroku” od Polski i państw bałtyckich dałoby Rosji przewagę, której ta nie posiada wobec całych sił sojuszu. Oczywiście Moskwa ma swoje mocne strony w innych aspektach, np. ma krótki łańcuch decyzyjny, jako państwo autorytarne może szybko zmobilizować siły zbrojne oraz działać z zaskoczenia, nie licząc się z kosztami politycznymi. Jednak przy wojnie z pełnym potencjałem paktu północnoatlantyckiego, im dłużej by ona trwała, tym Rosja byłaby słabsza.

**Skupmy się na chwilę na tym, jak ów czarny
scenariusz mógłby wyglądać w szczegółach. CSBA
zwraca uwagę, że w wymiarze regionalnym Rosja**

pełnego potencjału w kluczowym aspekcie – czasu. Ten, ze względów geograficznych oraz mobilizacyjnych, gra na korzyść Kremla. W związku z tym, aby skrócić okres przewagi przeciwnika, konieczne jest wzmocnienie amerykańskiej obecności w regionie. Zmagazynowanie większej ilości sprzętu już na terytorium państw wschodniej flanki.

**Tego celu nie da się osiągnąć bez pełnego
dowództwa dywizji w Polsce, wzmocnienia artylerii
rakietowej i obrony powietrznej, zwiększenia
potencjału jednostek wsparcia oraz formowania
w Europie pełnej brygady pancernej – twierdzą
Amerykanie. To dla Polski plan maksimum z per-
spektywy potrzeb obronnych?**

Z naszego punktu widzenia warto zwrócić uwagę, że to realne oczekiwania i realny plan. Moim zdaniem mamy bowiem do czynienia z procesem przyzwyczajania się elit amerykańskich i środowisk zajmujących się bezpieczeństwem do idei, że zwiększona obecność sił US Army leży również w interesie Stanów Zjednoczonych, a nie tylko ich europejskich sojuszników. Oceniając to, co dzieje się dzisiaj, pamiętajmy jednak, w jakiej sytuacji znajdowaliśmy się jeszcze w latach 2013–2014 r., kiedy państwa flanki wschodniej walczyły o jakąkolwiek obecność Amerykanów. Niemcy uważały przecież, że to nierozsądne drażnienie Putina oraz naruszanie porozumienia NATO-Rosja z 1997 r., które przecież Rosjanie sami wielokrotnie wcześniej złamali. Przełom intelektualny dokonał się podczas szczytu NATO w Warszawie w 2016 r., kiedy zadecydowano o stałej rotacyjnej obecności. Teraz jest szansa – a właściwie raport, o którym rozmawiamy, sugeruje, że to się już dzieje – na dokonanie kolejnego przełomu. Jeśli byli księgowi Pentagonu – a to oni zakładali CSBA – mówią o rentowności utworzenia stałego dowództwa dywizji, to dobry prognostyk.

**Tylko czy on się nie kłóci z coraz częściej
artykułowanym postulatem Paryża i Berlina, aby
zamiast polegać na Ameryce, budować „europejską
armię”? Polska ma w tym wymiarze inne cele od
największych państw Unii?**

Powiedzmy sobie jasno: zwiększenie europejskiego potencjału obronnego leży zarówno w interesie Stanów, jak i Europy. Przecież Pentagon zdaje sobie sprawę z tego, że na dłuższą metę – pomimo rozwoju swojej obecności na flance wschodniej – będzie musiał w coraz większym stopniu polegać na aktywności armii z tego regionu. To pokłosie filozofii Trumpa,

Więcej US Army w Polsce

Tak jest. Bez „hamulca” traktatowego Chiny rozwijały swoje uzbrojenie rakietowe, stanowiąc bezpośrednie zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych. Gdyby w przyszłości doszło do tego typu konfrontacji, w oczywisty sposób druga strona uzyskałaby na starcie przewagę.

**Myśli pan, że my tę lekcję z postrzegania Polski
w szerszym kontekście geopolitycznym odrobili-
śmy?**

Rzeczą oczywistą jest, że ani nie prowadzimy polityki globalnej w takim zakresie jak Stany, ani nie musimy ich przekonywać do zmiany optyki. Natomiast realne wyzwanie dla Polski stanowi nieustanne przekonywanie sojusznika, że globalny wymiar bezpieczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej jest istotny. Że niesłuszną

**z powodzeniem może zastosować tzw. strategię
antydośćpową, korzystając z przewagi w po-
wietrzu, wojskach rakietowych, artylerii lufowej
oraz komunikacji, aby jednym skoordynowanym
uderzeniem zająć kluczowy teren, odcinając posiłki
wroga. Taki los może spotkać przesmyk suwalski.**

Strategia odstraszenia NATO w Europie Wschodniej stoi na dwóch filarach: niezbyt licznej, ale wyraźnej rotacyjnej obecności sił zbrojnych oraz – w wypadku konfliktu – na przysłaniu w region istotnych wzmocnień militarnych. I tutaj zaczyna się problem, bo analitycy zauważają, że Rosja może utrudnić albo uniemożliwić skuteczne przerzucenie wsparcia, korzystając właśnie ze wspomnianych systemów rakietowych i przeciwlotniczych. Ten antydośćpowy parasol uniemożliwiłby wykorzystanie przez NATO swojego

czyli „płaćcie za swoją obronę”, a ten głos jest powtarzany w opiniotwórczych kręgach za oceanem. Niestety niemiecka postawa w zakresie usamodzielniania się obronnego jest niepokojąca, ponieważ o „europejskiej armii” mówi się w kontekście politycznym, a nie zbrojnym. Politycy niemieccy zachowują się przy tym nieodpowiedzialnie, jak dzieci w piaskownicy, które mimo że nadchodzi burza, kontynuują zabawę.

Dlaczego, pomimo postulatów dotyczących realnego zwiększenia liczebności armii amerykańskiej w Polsce, amerykańskie think tanki nie mówią wprost o koncepcji Fort Trump? Musimy się pogodzić z tym, że jednej wielkiej bazy nie będzie?

Moim zdaniem nikt nie definiował Fortu Trump jako fortu, który znamy z westernu.

Wiadomo przecież, o co chodzi. W Warszawie mamy się budować nową bazę Rammstein.

Tyle że my w tej chwili nie musimy o niczym marzyć, bo kolejne jednostki i wojska są do Polski krok po kroku przynoszone, budowana jest infrastruktura. Oczywiście nie da się tego osiągnąć bez nakładów z naszej strony, dlatego musimy się przygotować, że nikt nie przyleci i altruistycznie niczego Warszawie na złotej tacy nie zaoferuje. Wracam do początku rozmowy – zarówno Amerykanie, jak i Polacy muszą umieć negocjować oraz oceniać, co realnie przynosi wzrost bezpieczeństwa oraz jakie środki są na ten cel w stanie przeznaczyc.

Mówi pan teraz jak George Friedman, który uwielbia powtarzać, że gdyby we wrześniu 1939 r. zadano Polsce pytanie, jaka cena byłaby rozsądną za uniknięcie wojny, nie byłoby zbyt wysokiej. Tylko czy my dzisiaj dostajemy to, na co realnie chcemy łożyć pieniądze? Prezydent Duda mówił w Waszyngtonie o Fort Trump, sugerował coś więcej niż rozproszoną obecność i stałą rotację.

Mam wrażenie, że w tej sprawie zderzyły się dwa paradygmaty: myślenia politycznego oraz militarnego. Ten pierwszy miał na celu stworzyć dobry PR wokół koncepcji stałej obecności wojsk oraz podłechtć ego Donalda Trumpa, ten drugi w ostatecznym rozrachunku zwiększyć bezpieczeństwo Polski. Wydaje się, że oceniając tylko wojskowo, co podkreślają analitycy CSBA, skuteczniejsze jest rozproszenie stałej obecności Amerykanów, zamiast budowy jednej centralnej bazy, stanowiącej priorytetowy i stosunkowo

łatwy cel ataku Rosjan. Stany Zjednoczone budowały tego typu obiekty po II wojnie światowej i generalnie odchodzą od podobnych koncepcji, stawiając na elastyczność swojego potencjału obronnego. To podkreśla również doktryna przyjęta przez byłego sekretarza obrony gen. Jamesa Mattisa.

Który był ponoć osobiście negatywnie nastawiony wobec koncepcji Fortu Trump.

Trzeba pamiętać, że gen. Mattis wywodził się z piechoty morskiej marines, która nieustannie rotuje na świecie i jest w stałej gotowości. Jego zdaniem właśnie taka powinna być amerykańska obecność na flance wschodniej NATO, bo ona bardziej odpowiada współczesnemu polu walki. Nie pełni on jednak już dzisiaj swojej funkcji, a z perspektywy Warszawy kluczowe jest odnalezienie rozwiązania pośredniego, które być może bez Rammstein 2.0 wiązałyby Amerykanów logistyczne z Polską. Dzisiaj po obu stronach Atlantyku przeważa opcja logowania sprzętu ciężkiego oraz magazynów amunicji na flance wschodniej, właśnie po to, aby uniknąć sytuacji, w której wszystkie te elementy uzbrojenia, również z ich załogą, trzeba przemieszczać równocześnie. Rosjanie niczego nie oczekiwali by bardziej niż możliwości destabilizacji tak rozciągniętego łańcucha dostaw, dlatego stała obecność w Polsce realnie go skracca.

Mam wrażenie, że w tym kontekście na usta cisnie się oczywiste pytanie: Czy polski rząd nie odrobił tej lekcji, wprowadzając do debaty medialnej ideę bazy centralnej?

Myślę, że to za daleko idąca konkluzja. Po prostu stała amerykańska obecność należała jakoś nazwać, a Amerykanie chętnie posługują się symbolami i akronimami jako rodzajem skrótów intelektualnych. Ten okazał się na tyle nośny, że wprowadził do debaty temat, który dzisiaj możemy strukturyzować, urealniać i zastanawiać się nad operacjonalizacją z punktu widzenia wojskowego. Tyle że nikt z perspektywy państwa polskiego nie był na tyle naiwny, żeby nie rozumieć, iż będziemy się musieli dostosować do możliwości strategicznych Amerykanów, argumentując jednak za możliwie najszerszym zaangażowaniem w terenie i sprzęcie. To normalna w dyplomacji praktyka szukania środka, jedynym minusem Fortu Trump było jednak zbyt wyraźne oparcie go na osobie prezydenta, który przecież

pomimo dużej władzy, nie pociąga za wszystkie sznurki.

O budżecie Pentagonu ostatecznie decyduje przecież Kongres.

Otóż to! I jeśli administracja danego prezydenta nie ma w nim większości, a ta została utrzymana w Senacie, ale stracona w Izbie Reprezentantów, projekty mocno kojarzone politycznie, mogą być napotkać problemy, zwłaszcza że Trump zaangażował się w ostry spór w Kongresie w sprawie budowy muru na granicy z Meksykiem. Na razie jednak niepokojących sygnałów z USA nie ma.

Obecność amerykańska w Polsce może ucierpieć przez wewnętrzne gry polityczne w USA?

To jest oczywiście gra między administracją a Kongresem, ale warto zdawać sobie z tego sprawę, że wzmocnienie flanki wschodniej jest popularnym tematem na Kapitolu. I, co kluczowe, cieszy się ona poparciem zarówno u republikanów, jak i demokratów.

Jaka rzecz w tych negocjacjach jest w takim razie kluczowa z perspektywy polskiej racji stanu?

Powinniśmy działać skutecznie, ale umiarkowanie i zniknąć z partyjnego radaru. Nie możemy wejść w środek tego konfliktu wewnątrzamerykańskiego, ale jednocześnie musimy robić wszystko, aby wojsk przybywało, rozmawiając o bazach w kontekście technicznym, odwołując się do korzyści, które płyną dla całej Ameryki, a nie tylko konkretnego gabinetu i konkretnego polityka. Wydaje się, że dzięki takim raportom, które powtarzają koncepcje, m.in. CEPA czy Atlantic Council, jesteśmy na dobrej drodze. W Waszyngtonie decydenci nie zastanawiają się już bowiem nad tym, „czy”, ale „jak” i „o ile” zwiększyć zaangażowanie na wschodniej flance NATO. Jeśli dodatkowo polska armia będzie umiała się rozwijać, profesjonalizując lotnictwo, wojska rakietowe oraz komunikację, być może uda nam się uniknąć czarnego scenariusza. Amerykańskie strategie wojskowe zakładają okres ok. 10–15 lat pokoju. Czytajmy je uważnie i wyciągajmy wnioski, bo to czas, w którym żaden miesiąc nie może pójść na marne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Sławomir Dębski

– historyk, politolog, analityk.
Dyrektor Polskiego Instytutu
Spraw Międzynarodowych.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Zagubienie

Jest taka powieść Stanisława Lema „Kongres futurologiczny”, która często przychodzi mi na myśl, kiedy usiłuję – zazwyczaj z mizernym skutkiem – dowiedzieć się, jaka jest właściwie prawda na jakiś temat. Bo jeśli chodzi o prawdę, to właściwie ciągle się gdzieś zapodziewa. Strasznie trudno się do niej dokopać.

W „Kongresie futurologicznym” mój ulubiony bohater Ijon Tichy przyjeżdża do jakiegoś latynoskiego państwa na rzeczony kongres. Jak to bywa w Ameryce Południowej, dochodzi do przewrotu, podczas którego użyta zostaje broń halucynogenna. Tichy przyjmuje sporą dawkę halucynogenów, w związku z czym budzi się w rzeczywistości, która nie jest rzeczywistością. Ale w końcu narkotyk przestaje działać i Tichy wraca do prawdziwej rzeczywistości. Jednak ta znowu okazuje się halucynacją, z której – po prostu się wybudzając – wpada w następną halucynację. Wreszcie budzi się w idealnym świecie przyszłości, który koniec końców wcale nie okazuje się idealny – aplikowane jego mieszkańcom narkotyki powodują, że pławią się w wyimaginowanym luksusie, a tak naprawdę wegetują w tłoku i nędzy. Ale poznawszy tę straszną prawdę, Tichy budzi się po raz kolejny, a my wcale nie mamy pewności, czy tym razem jest to przebudzenie autentyczne.

Co to ma wspólnego z tu i teraz? Nie jesteśmy szpikowani halucynoge-

nami, a jeśli, to każdy robi to prywatnie, na własny rachunek i mniejszą skalę. Ale wątpliwości, co właściwie jest rzeczywiste i prawdziwe, mam podobne jak Ijon Tichy. Oto jest jakaś kwestia – powiedzmy, że są to zalecenia WHO dotyczące edukacji seksualnej dzieci. I gdzieś czytam, jakie są te zalecenia. Ale potem schodzę piętro niżej, gdzie ktoś przedstawia wiarygodnie wyglądające dane zupełnie inne od poprzednich, ale za tym ktosiem jest jeszcze ktoś, kto ma jeszcze prawdziwsze informacje, a potem są jeszcze prawdziwsze i jeszcze.

Ktoś powie: a weź, człowieku, wejdź na odpowiednią stronę internetową i przeczytaj sam. Ale może ta strona jest też fejkowa? Może też została spreparowana? Jakie mam gwarancje, że ten akurat wirtualny wytwór jest prawdziwy, że nie jest falsyfikatem? Doświadczenie uczy mnie, że każda wiadomość, dana, opinia eksperta może być całkowicie sztuczna, zmyślona i wprowadzona do obiegu wyłącznie po to, żeby mnie oszukać, a przynajmniej zdezorientować.

Myślę, że w dzisiejszych czasach poszukiwacz prawdy musi być bardzo zdeterminowany, a ja – no cóż – jestem leniwy i wygodnicki. Nie chce mi się do niej dokopywać, więc na wszelki wypadek wychodzę z założenia, że żadne źródło nie jest wiarygodne. Pod spodem zawsze może być coś prawdziwszego. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Szczęśliwy kraj

Od starożytności, a już przynajmniej od Arystotelesa, wiadomo, że ani system rządów, ani stanowione prawa nie decydują o ostatecznym kształcie państwa (tylko mentor Arystotelesa – Platon – uważał, że można stworzyć idealne państwo zarządzane przez intelektualistów. To złudzenie ożywało co jakiś czas w wersji Robespierre’a, Lenina czy Pol Pota i zawsze kończyło się klęską wielkiego projektu w starciu z ułomną naturą ludzką). Arystoteles wyodrębniał trzy typy państw – monarchię, arysto-

Europa). Te i podobne myśli nachodziły mnie w czasie wypoczynku na plażach Omanu, owej magicznej Arabii Felix, ojczyzny mirry, kadzidła i płynnego złota.

Ten równy wielkością Polsce kawałek piaskownicy wygrał swój los na loterii nie tylko ze względu na bogactwa naturalne, lecz także dlatego, że od 49 lat rządzi nim, autokratycznie, jeden człowiek – sułtan Kabus ibn Sa’id, absolwent Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst, wierny wyznawca islamu i sprawny jedynowładca, ale równocześnie człowiek mądry, otwarty na świat, wyzbyty ciągów fundamentalistycznych, umiarkowany reformator, wierzący w zasady harmonii.

Dopuszcza osiedlanie się emigrantów, ale w sposób kontrolowany. Rozwija przemysł turystyczny, ale z zachowaniem umiaru. Ma dobre stosunki ze swoimi sąsiadami (nawet z państwami bandyckimi), ale nie toleruje terrorystów u siebie. Jedy- nym problemem, który może wszystko zaburzyć, jest jego wiek. Sułtan ma swoje lata i nie ma następcy (sam jest premierem i kieruje kluczowymi ministrami). Co będzie, gdy go zabraknie? Monarchia elekcyjna, oligarchia, demokracja? Czy też jeden wielki chaos?

Podobno w pałacowym sejfie zamknięto kopertę, w której jest recepta sułtana na przyszłość kraju. Pożyjemy, zobaczymy. Niezależnie od systemu – jak mawiał towarzysz Stalin: „Kadry decydują o wszystkim!”. ©©

Sułtan ma swoje lata i nie ma następcy.

Co będzie, gdy go zabraknie?

krację i demokrację – uważał jednak, że jakoś ich zależy od moralności rządzących. Bez twardych i respektowanych zasad monarchia wyradza się w tyranie, system arystokratyczny w oligarchię, a demokracja w demagogiczną ochlokrację.

Wczasach nowożytnych nader często, gdy zabrakło hamulców zapewnianych przez wiarę, kulturę i obowiązujący etos, byliśmy świadkami okropieństw, o jakich się starożytnym nie śniło, a najzaciejsze nawet idee potrafiły się zmienić we własną karykaturę (vide Zjednoczona



Łukasz Warzecha

Czy artykuł 182 konstytucji wystarczy do tego, aby uznać, że instytucja sądów pokoju mieści się w ramach naszej ustawy zasadniczej?

Sędziów mianuje prezydent Rzeczypospolitej, o ile ustawa nie zawiera innego postanowienia, jednakże sędziowie pokoju z reguły wybierani są przez ludność – stwierdzał artykuł 76 konstytucji marcowej z 1921 r. Pomysł, aby wrócić do sędziów pokoju, po 2015 r. pojawiał się kilkakrotnie. Za każdym razem wywoływał żywiołowy sprzeciw w środowisku sędziowskim.

Sędziowie pokoju funkcjonowali w systemie prawnym II RP do 1938 r., kiedy to ta instytucja została zniesiona wraz z instytucją ławy przysięgłych. Była to swego rodzaju zemsta sanacji za uniewinnienie właśnie przez ławę przysięgłych w 1937 r. działacza narodowego Adama Doboszyńskiego w głównym procesie za tzw. wyprawę myślenicką. O przywróceniu sądów pokoju po ostatnich wyborach parlamentarnych pierwsi zaczęli mówić politycy ugrupowania Kukiz'15. Z początku ich koncepcje były zbywane jako księżycowe. „Naoglądaliście się za dużo amerykańskich filmów” – mówili posłowie innych ugrupowań. Włącznie z politykami PiS, których celem było przeprowadzenie reformy, ale takiej, która da większą kontrolę nad wymiarem sprawiedliwości. Wybieranie sędziów pokoju przez obywateli szłoby wbrew tej tendencji.

Istotnie, powszechne wybory sędziów są dziś kojarzone głównie z USA, gdzie w ten sposób obsadza się niemal 90 proc. stanowisk sędziowskich. Jednak sędziowie pokoju (inaczej: magistracy) są obecni również w brytyjskim systemie sądowym, gdzie orzekają w trójosobowych składach w mniejszych sprawach w sądach magistrałskich. W USA kandydaci na stanowiska sędziowskie muszą mieć oczywiście stosowne wykształcenie prawnicze (choć niekoniecznie ukierunkowane na bycie sędzią – amerykański system jest tu bardzo elastyczny). W Wielkiej Brytanii sędziowie magistracy to wolontariusze, którzy nie muszą mieć nic wspólnego z prawem. Jednak doradza im posiadający kierunkowe wykształcenie urzędnik sądowy,

Sprawiedliwość z ulicy?

a przed rozpoczęciem orzekania i podczas swojej kadencji przechodzą wiele szkoleń. Wymaga się od nich oczywiście inteligencji, uczciwości, doświadczenia życiowego. Nie jest to zatem w gruncie rzeczy zbieranie ludzi z ulicy, a proces selekcji spośród zgłaszających się kandydatów jest bardzo rygorystyczny.

CZNNIK SPOŁECZNY

Pomysł, aby przywrócić polskiemu wymiarowi sprawiedliwości instytucję sędziów pokoju, ma źródło w trafnej diagnozie jednej z największych chorób polskiego wymiaru sprawiedliwości: przekonaniu części sędziów o własnej doskonałości i nieomyślności. Sędziowie jako środowisko grzeszyli pychą. Dlatego nie cieszą się sympatią (abstrahując od czysto politycznych przyczyn poparcia na zasadzie „zły PiS chce uderzyć w sądy – bronimy sądów”). Sędziowskie przekonanie o własnej wyższości, posiadaniu wiedzy tajemnej i braku konieczności tłumaczenia się ludziom ze swoich decyzji sprawiło, że przez lata III RP wymiar sprawiedliwości oddalał się coraz bardziej od powszechnego poczucia sprawiedliwości.

Stąd pomysły na mocniejsze włączenie do systemu tzw. czynnika społecznego, który w jakiejś formie jest już zresztą w sądownictwie obecny. Na podstawie artykułu

182 polskiej konstytucji – „Udział obywateli w sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości określa ustawa” – działa instytucja ławników, aczkolwiek zasiadają oni pod kierunkiem zawodowego sędziego, który zarazem jest przewodniczącym składu. Jednak sędziowie pokoju byłiby krokiem znacznie dalej. Nie powstał wprawdzie jeszcze żaden całościowy projekt tego rozwiązania, ale wszyscy, którzy o nim wspominają, mówią o dwóch punktach. Po pierwsze – wybieraniu sędziów pokoju przez obywateli, zgodnie z tradycją II RP; po drugie – że orzekaliby oni w najprostszych sprawach samodzielnie.

Dyskusja odżyła ostatnio za sprawą informacji, że Ministerstwo Sprawiedliwości pracuje nad koncepcją sędziów pokoju. Co ciekawe, PiS przekonał się do niej dopiero teraz. Znacznie wcześniej posłowie Kukiz'15 z sukcesem namawiali do jej poparcia poszczególnych polityków Platformy Obywatelskiej czy Nowoczesnej. W drugiej połowie ubiegłego roku sprawą zaczął się interesować prezydent Andrzej Duda. Teraz wygląda to trochę tak, jakby rządząca partia próbowała przejąć projekt Kukiza.

Niewykluczone, że jest to spowodowane brakiem widocznych dla obywateli skutków reformy wymiaru sprawiedliwości. Forsowana przy gigantycznych



FOT. BARTOŚ KRUPA/FAST NEWS

pokoju. Tymczasem ramowe założenia, na których chce się oprzeć MS, zakładają możliwość odwołania się do sądu powszechnego. Co oczywiście natychmiast budzi wątpliwość, czy projekt nie okaże się fiaskiem, bo w 90 proc. spraw będą się pojawiać odwołania. To już jednak kwestia podejścia obywateli do instytucji sądów pokoju. Jeśli zdobędzie zaufanie i autorytet – taki scenariusz może się nie ziścić.

Wątpliwości może jednak budzić kwestia przygotowania kandydatów na sędziów pokoju. Według szacunkowych na razie informacji z resortu Zbigniewa Ziobry wykształcenie prawnicze przy sprawowaniu tej funkcji byłoby pożądane, ale niekonieczne. Sceptyczny wobec takiego rozwiązania jest poseł Kukiz'15, dr Tomasz Rzymkowski, prawnik. Rzymkowski wskazuje, że minimalnym wymogiem powinno być jednak przynajmniej wykształcenie prawnicze, a najlepiej – połączone z praktyką w jakimś zawodzie prawniczym. Wskazuje, że mamy duży zasób ludzi po aplikacjach prawniczych, którzy w swoich zawodach ledwo wiążą koniec z końcem i danie im możliwości pracy w charakterze sędziów pokoju byłoby bardzo dobrym rozwiązaniem.

Tu jednak drogi Kukiz'15 i PiS mogą się rozchodzić. PiS z prawników w ogóle uczynił sobie jedną z grup do bicia. Symboliczna była rezygnacja z rozważanego początkowo pomysłu, aby sędziów do KRS wybierali nie politycy, lecz nadal sędziowie, tyle że na całkowicie demokratycznych zasadach: jeden sędzia (obojętnie z jakiej rangi sądu) – jeden głos. Wciągnięcie teraz prawników (aplikantów radcowskich, adwokackich, sędziowskich czy komorniczych) do pracy jako sędziowie pokoju byłoby niespójne z narracją prezentującą wszystkie środowiska prawnicze jako z gruntu podejrzane.

Rzymkowski wskazuje też, że sędziowie pokoju musieliby mieć odpowiednie doświadczenie życiowe. Jego brak to zarzut często stawiany asesorum sądowym. Bywa, że w skomplikowanych życiowo sprawach orzekają osoby tak młode, że brak im odpowiedniej rozwagi i wiedzy, które nabywa się z latami. Dlatego Kukiz'15 chciałby, aby sędzią pokoju mogła zostać osoba przynajmniej 35-letnia.

Nie wiadomo też, czy uda się w ogóle przygotować projekt do końca kadencji Sejmu. Pozostało ledwo kilka miesięcy, w trakcie których politycy będą raczej zajęci innymi sprawami, tymczasem wprowadzenie sędziów pokoju oznaczać by musiało gigantyczne zmiany w całym systemie wymiaru sprawiedliwości. Trzeba

by zmieniać kodeksy: postępowania w sprawach o wykroczenia, postępowania karnego, zapewne także postępowania cywilnego. Trzeba by rozwiązać kwestię wyboru sędziów pokoju, a więc dostosować kodeks wyborczy oraz ustalić, w jakiego typu okręgach i w jakim typie głosowania mieliby być wybierani sędziowie pokoju. Zdecydować, czy wybór sędziów pokoju przez obywateli ma zatwierdzać Krajowa Rada Sądownictwa czy też wyłącznie prezydent. Trzeba by rozstrzygnąć kwestię zakresu immunitetu sędziów pokoju, bo przecież musieliby oni – podobnie jak sędziowie zawodowi – orzekać w warunkach niezawisłości. Tu pojawia się kolejny problem: skoro sędzia pokoju, inaczej niż sędzia zawodowy, miałby być funkcją kadencyjną, jak zagwarantować niezawisłość w związku z zaprzestaniem pełnienia funkcji? No i wreszcie sprawa zasadnicza: czy artykuł 182 konstytucji wystarczy do tego, aby uznać, że instytucja sądów pokoju mieści się w ramach naszej ustawy zasadniczej? Wszak polska konstytucja wymienia w artykule 175 rodzaje sądów: „Wymiar sprawiedliwości w Rzeczypospolitej Polskiej sprawują Sąd Najwyższy, sądy powszechne, sądy administracyjne oraz sądy wojskowe”. Nie ma tam mowy o sądach pokoju. Sędzia Hermeliński uważa, że w polskiej ustawie zasadniczej nie ma miejsca dla tej instytucji, ale nietrudno znaleźć odmiennie opinie konstytucjonalistów.

W sumie więc trzeba by napisać nie jedną nową ustawę, ale dokładnie przemyśleć i przeprowadzić zmianę wielu innych. To ogrom pracy. Jeśli do jesieni się nie uda, czy pomysł zostanie podjęty w kolejnej kadencji? Sędziowie pokoju to bardzo ciekawa koncepcja – o ile pomysł nie pójdzie w kierunku koślawej sprawiedliwości ludowej, działającej bardziej jak zinstytucjonalizowany lincz. Może to być szansa dla prezydenta, któremu wydaje się bliska idea skontrolowania sędziowskiej kastowości poczuciem sprawiedliwości bliższym ludziom. Stąd wziął się przecież pomysł skargi nadzwyczajnej – zresztą w istocie bardziej ryzykowny niż pomysł powołania sądów pokoju. Prezydent ma prawo inicjatywy ustawodawczej, a jego kadencja kończy się dopiero w przyszłym roku. Andrzejowi Dudzie w ciągu ostatnich czterech lat nie udało się tak wiele przedsięwziąć, że pilotowanie projektu, którego pomysł jako pierwszy rzucił Kukiz'15 – z którym prezydent miał zwykle dobre relacje – mógłby być przydatnym konkretem na rok wyborów prezydenckich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

politycznych awanturach reforma w sądownictwie nie zmieniła niemal niczego z punktu widzenia zwykłych klientów sądów powszechnych. Wyborcy mogą więc zacząć słusznie pytać, po co była wyniszczająca awantura, w tym z Unią Europejską, skoro poza moralną satysfakcją, że „dowaliliśmy nadzwyczajnej kaście”, oni nic z tego nie mają. Wprowadzenie sędziów pokoju byłoby natomiast bardzo odczuwalne. Po pierwsze – miałyby szansę odciążać sądy na poziomie najprostszych spraw, po drugie – dałoby ludziom poczucie, że przynajmniej takie sprawy rozstrzygane są na zasadach słuszności.

BEZ DYSKUSJI

Tu jednak zaczynają się problemy. „Sądy pokoju to nie będą niezawisłe sądy, będzie to zejście poniżej poziomu PRL” – powiedział niedawno w Radiu Zet odchodzący standardu PRL-owskiego, bo wtedy można było odwołać się do sądu, kiedy kolegium orzekło karę aresztu”. Hermeliński zareagował alergicznie, jak większość sędziów, którzy z punktu, nawet bez próby podjęcia dyskusji, odrzucają koncepcję sędziów



Grzegorz Kucharczyk

Dlaczego Niemcy do dziś chcą innym wyznaczać standardy działania?



Wojskowa parada w Berlinie w 1933 r.

FOT. IMAGNO/GETTY IMAGES

Niemcy nas nauczają

Wiele tomów napisano już o „szczególnej niemieckiej drodze rozwoju” (Sonderweg), która ma charakteryzować dzieje tego narodu. Dynamiczny rozkwit studiów nad niemiecką „Sonderweg” nastąpił po 1945 r. Zbrodnie popełnione przez III Rzeszę Niemiecką kazały raz jeszcze przyjrzeć się historii Niemców i zastanowić się nad tym, co „poszło nie tak”. Zajmowali się tym przedstawiciele wielu historiografii. W przypadku historyków niemieckich była to część tzw. przezwyciężania przeszłości (Vergangenheitsbewältigung), swego rodzaju bicia się w piersi za błędy swojej i poprzednich generacji.

Co jednak poszło nie tak? Jeśli odwoływano się do pojęcia niemieckiej wyjątkowości in minus, to najczęściej wskazywano w tym kontekście niepowodzenie Wiosny Ludów w krajach niemieckich, a przede wszystkim klęskę „oddolnego” zjednoczenia Niemiec na podstawie liberalnych i demokratycznych nurtów politycznych oraz „wrogie przejęcie” akcji zjednoczeniowej przez Prusy Hohenzollernów wraz z całym ich militarystycznym i autorytaryzmem.

Podkreślano dalej, że utworzona przez Bismarcka w 1871 r. Rzesza Niemiecka prowadziła aż do końca swojego istnienia politykę „negatywnej integracji”, programowo stawiającej poza obręb niemieckiej wspólnoty narodowej i politycznej coraz to nowych „wrogów Rzeszy” (katolików, socjaldemokratów, wreszcie Żydów). Przywoływano kruchość Republiki Weimarskiej (1919–1933), której powstanie zbiegło się z żywo odczuwaną przez wszystkie niemieckie nurty polityczne „hańbą Wersalu”. Pocucie niezasłużonej krzywdy było w Niemczech wzmacniane przez legendę o niemieckiej armii „nigdy niepokonanej w polu”, której zadano zdradziecki „cios w plecy” (wewnętrzni „wrogowie Rzeszy”, którzy po 1918 r. przejęli władzę w Niemczech). Na tych resentymentach wyrósł narodowy socjalizm i porwał tłumy.

Można powiedzieć, że trwająca kilkadziesiąt lat dyskusja o niemieckiej „Sonderweg” sprowadzała się do konstatacji, że zasadniczą przyczyną zaistnienia złowrogiego zjawiska, jakimi były narodowy socjalizm i jego złowrogi powab, była nieumiejętność (niemożność) Niemców skopiowania zachodnioeuropejskich

wzorców monarchii konstytucyjnej oraz demokratycznej republiki parlamentarnej. Problem był więc – jeśli wierzyć tym głosom – natury ustrojowej.

Jednak Republika Weimarska była przecież ultrademokratyczną republiką parlamentarną, NSDAP przejęła władzę w wyniku demokratycznych wyborów, a ideologia narodowosocjalistyczna epatowała nawiązywaniem do nowoczesności i naukowości (rasizm, nie tylko w Niemczech, był traktowany jako „nauka”). Hasło prowadzenia polityki „zdrowego egoizmu narodowego” nie padło po raz pierwszy z ust Bismarcka, ale zostało wyartykułowane przez niemieckich liberałów w czasie Wiosny Ludów z trybuny parlamentu frankfurckiego; tego samego, który miał jednoczyć Niemcy „oddolnie”. Wreszcie to liberałowie ochoczo wspierali Bismarckowską politykę wykluczania katolików (Kulturkampf) i socjaldemokratów po 1871 r.

Nie chodziło więc o niedostatek w Niemczech liberalizmu i parlamentarnej demokracji. Problemem byli liberałowie i demokraci, szerzej zaś – cała niemiecka elita polityczna i kulturowa, a konkretnie stan jej ducha. Właściwym tropem

analizy niemieckiej „Sonderweg” jako jeden z pierwszych podążył jeszcze przed wybuchem II wojny światowej Hermann Rauschning, autor „Rewolucji nihilizmu” – analizy nie tylko ideologii NSDAP, lecz także przyczyn jej zwycięstwa w Niemczech.

Zagładanie w otchłani pod tytułem „dusza niemiecka” jest zawsze niebezpieczne. Można łatwo dostać zawrotu głowy, zboczyć na jałowe pod względem intelektualnym manowce lub zwyczajnie temat „przegadać” (vide „Doktor Faustus” Thomasa Manna). Za sprawą profesorów Bogumiła i Olgierda Grottów otrzymaliśmy niedawno edycję polskich tekstów analizujących krótko po II wojnie światowej głębiej tej otchłani, unikając przy tym wspomnianych niebezpieczeństw. „Przedhitlerowskie korzenie nazizmu, czyli dusza niemiecka w świetle filozofii i religioznawstwa” (Wydawnictwo von Borowiecky, 2018) są wznowieniem rozprawy prof. Bogdana Suchodolskiego „Dusza niemiecka w świetle filozofii” (1945/1947) oraz dwóch tekstów prof. Leona Halbana – „Mistyczne podstawy narodowego socjalizmu” (1946/1948) oraz „Religia starogermańska i jej aktualne znaczenie w Niemczech” (1949).

Oryginalny czas publikacji tych tekstów był szczególnie. Pamięć o latach 1939–1945 była jeszcze bardzo świeża. Komunistyczna cenzura, w imię umacniania przyjaźni z NRD, nie zakazywała jeszcze publikacji negatywnych wobec Niemców tekstów. Tym bardziej nie działała jeszcze cenzura politycznej poprawności, która niemiecką okupację i niemieckie zbrodnie zastąpiła okupacją oraz zbrodniami hitlerowskimi. Zarówno Suchodolski, jak i Halban analizują stan ducha Niemców, nie nazistów.

LUTER I KANT

We wznowionej przez profesorów Grottów rozprawie o „Duszy niemieckiej w świetle filozofii” Suchodolski wskazywał na kluczową i zdecydowanie negatywną rolę, jaką w tym kontekście odegrała niemiecka filozofia idealistyczna, która wpoiła Niemcom swego rodzaju „imperializm w stosunku do rzeczywistości”. Jak wyjaśnia bowiem Suchodolski, „typowym przeświadczeniem myśli niemieckiej od czasów Kanta jest przeświadczenie, iż to, co istnieje, jest chaosem, który powinien dopiero być formowany przez ludzkość i który jest rzeczywiście formowany w nauce i filozofii. W ten sposób poznanie ludzkie staje się doskonalsze niż rzeczywistość”.

Takiego „imperialistycznego” spojrzenia na rzeczywistość nauczył Niemców Kant

i wszyscy jego uczniowie, aż do Hegla. Myśl niemiecka zerwała dzięki nim z typowym dla klasycznej filozofii (antycznej i chrześcijańskiej) realistycznym podejściem, które definiowało poznanie jako zgodność myśli z rzeczywistością. Na to jednak nałożyło się w przypadku myśli niemieckiej jeszcze inne fatalne zjawisko – „rozróżnienie między przeżyciami religijnymi a przeżyciami metafizycznymi”. Tego zaś Niemców nauczyli Luter i zapoczątkowana przezeń reformacja. Od XVI w. Niemcy przyzwyczajali się do możliwości pojawienia się „filozofii o treściach metafizycznych budowanej przeciw religii”.

Jako przykład istnienia takiej tendencji w umysłowości niemieckich elit podaje autor rozprawy przykład Marksza i niemieckich socjalistów oraz Fryderyka Nietzschego. Z pozoru dwa odmienne kierunki filozoficzne, ale w istocie rzeczy wyrastające z tego samego gruntu, czyli typowego dla niemieckiej umysłowości „połączenia krytyki religii z tworzeniem nowej metafizyki”. Niemcy bowiem „nigdy nie poprzestawali na negatywnej krytyce [...], ale starali się zawsze na miejsce Boga obalonego stawiać bogów nowych”. A imię ich legion – od heglowskiej statolatrii, proletariackiej rewolucji Marksza, nadczłowieka Nietzschego czy rasy w ujęciu Hitlera i Rosenberga.

Skoro jednak – jak uczy niemiecka filozofia idealistyczna od czasów Kanta – poznanie jest tworem naszego umysłu (a nie zgodności naszych myśli z rzeczywistością), a świat wokół nas jest chaosem czekającym na uformowanie, „oznacza to przyznanie wyższości i pierwszeństwa działaniu w stosunku do mądrości”. Nie tylko więc „rzeczywistość jest funkcją naszego działania”, lecz także to, że „wszelkie wskazania i oceny moralne nie mogą poprzedzać czynów, lecz z nich wyrastają”. Innymi słowy, „czyny mają prawo przebudowywać rzeczywistość w sposób zupełnie dowolny”. Ten niemiecki triumf czynu przejawiać się może w kulcie rewolucji komunistycznej (Marks) czy szukaniu „przestrzeni życiowej” na Wschodzie (Hitler).

UCZYNIMY WAS MORALNYMI

Nawet słynna kantowska zasada imperatywu moralnego, czyli przekonanie o tym, że należy postępować tak, aby moje postępowanie było normą dla innych, otwierała drogę „na manowce kolektywizmu”, bo implikowała, że „słuszne i godziwe stawało się to, co powszechnie uznawane”.

Stąd już prosta droga do przeświadczenia, że „obowiązkiem moim jest uszczęśliwiać innych wedle moich własnych pojęć o szczęściu maluczkich”, przykładowo niosąc im „lepszą kulturę” (mit kulturregerstwa upowszechniany przez Prusaków na ziemiach polskich, a potem podjęty w nowej wersji przez III Rzeszę). Także tutaj Suchodolski, zauważając wpływ myśli Kanta i całego dziedzictwa „aktywistycznej filozofii idealistycznej”, wskazywał na Lutra jako prekursora tej niemieckiej „właściwości psychicznej” – „nie chciał on mianowicie kształtować swych przeżyć wewnętrznych wedle jakiejś obiektywnej miary, ale zaufał im – i takie, jakie były, uczynił prawem i wymaganiem dla innych ludzi”.

Zamieszczone w „Przedhitlerowskich korzeniach nazizmu” teksty Halbana dokumentują fascynację neopogaństwem i apoteozę przedchrześcijańskiej Germanii w Niemczech na długo przed pojawieniem się narodowego socjalizmu. Jak pokazuje polski uczyony, tego typu antychrześcijańskie prądy zyskiwały na popularności w Niemczech już na początku XX w. Z tym szły w parze rosnąca fascynacja duchowością Dalekiego Wschodu (w 1914 r. w Niemczech było ok. 200 tys. buddystów) i popularność „alternatywnych” form życia rodzinnego (np. ruch przeciw monogamii, który zaistniał w kaiserowskich Niemczech jeszcze przed I wojną światową). Na długo przed tym, jak zaczęto pisać o okultystycznych korzeniach nazizmu, Halban dochodził do wniosku, że „przywódcy i kierownicy narodowego socjalizmu wyszli niemal wszyscy z tych mistyczno-germańskich ugrupowań. Zachowali też ich irracjonalizm i fanatyzm tak jaskrawy u wielkiej części zarówno starych, jak i młodych hitlerowców”.

Dzisiaj temat niemieckiej „Sonderweg” nie jest już nośnym zagadnieniem rozprawiającym debaty historyków i dziennikarzy. Nad Renem panuje bowiem przekonanie nie tylko o pełnej integracji Bundesrepublik z Europą, lecz także o tym, że to Niemcy są dzisiaj Europą i one wyznaczają Europejskiemu standardy właściwego postępowania. Ot, na przykład ucząc humanitarnego postępowania wobec imigrantów. Czy czasem jednak za tą twardo narzucaną innym państwom „Willkommenspolitik” nie kryje się stare i niedobre dziedzictwo „imperializmu wobec rzeczywistości” à la Luter i Kant, które owocuje przymusowym wprawianiem „maluczkich” do szczęśliwości?



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Policjanci na Wołyniu

Jak wiadomo, II RP na ziemiach wschodnich popełniała ciężkie błędy. Są to sprawy znane i bolesne. Wielokrotnie dyskutowane. Nie ma sensu ich tu wszystkich wymieniać. Wystarczy powiedzieć, że jednym z tych błędów były działania policji.

IPN wydał właśnie książkę ukraińskiego badacza Oleha Razyhrayeva dotyczącą działań polskiej policji na Wołyniu. Jest to dla polskiego czytelnika lektura niewesoła. Okazuje się bowiem, że nasi „stróże prawa” często byli źródłem bezprawia.

„Policja postępuje z aresztowanymi po zwierzęcemu, bije na ulicach” – donosiło jedno z pism. „Najpierw bili głową o kamienne ściany – wspominał z kolei były więzień – podejmowali za włosy, rzucali na podłogę. Między ręki i nogi wsuwali pałkę, bili po gołych stopach gumowymi pałkami”.

Przemoc miała funkcjonariuszom rekompensować brak umiejętności śledczych. Bicie zatrzymanych miało z reguły na celu wyciśnięcie od nich zeznań. Funkcjonariusze w ogóle byli brutalni, ale najgorzej traktowali Ukraińców.

Stało się to powodem olbrzymiej liczby interpelacji poselskich i sejmowych debat. „Ta nadprodukcja policji – mówił poseł Bronisław Taraszkiewicz – jest

tą zarazą, która z Kresów, gdzie policja jest przyzwyczajona traktować Ukraińców czy Białorusów jak naród podbity, jak obywateli drugiej kategorii, przechodzi do Królestwa”.

Razyhrayev pisze również o jasnych stronach działalności polskiej policji. Ofiarnym zwalczaniu przestępczości i bolszewizmu. Przytacza również wiele anegdot.

Na przykład taki artykuł opublikowany w „Nowinach Wołyńskich”:

„Istny krzyż pański ma posterunkowy Wierzbowski ze swoją połowicą, panią Heleną, która nie tylko męża – skądinąd pocziwego człowieka – ale i wszystkich swych sąsiadów, naraża na tysiące przykrości. Ulubionym zajęciem pani Heleny jest ubieranie się w policyjny mundur męża, uprawianie awantur arabskich ze swymi sąsiadkami i wybijanie szyb.

Przy czym głośno opowiada, że jako żona policjanta niczego się nie boi. Pani Heleno, niechże się pani wreszcie uspokoi!”.

Jan Grabowski niedawno napisał, że IPN trzeba skasować, bo produkuje tylko nacjonalistyczne, kłamliwe książki. To nieprawda! Panie profesorze, proszę przeczytać pracę Razyhrayeva – zobaczy pan, że jest w wielkim błędzie. ©©



★★★★★
OLEH RAZYHRAEV
„POLICJA
PAŃSTWOWA
W WOJEWÓDZTWIE
WOŁYŃSKIM
W OKRESIE
MIĘDZY-
WOJENNYM”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kapral i burgrabia

Marian Kociniak uchodzi za jednego z najbardziej niewykorzystanych polskich aktorów, podobnie bowiem jak Bogumiła Kobielę obsadzano go niemal wyłącznie w filmach komediowych. A był przecież wszechstronnie uzdolniony i do tego dysponował jeszcze wspaniałym głosem, który od razu zwracał uwagę. W pew-

Franka Dolasa, warszawskiego cwaniaczka, który dzięki sprytowi uchodzi ze wszelkich wojennych niebezpieczeństw. Jego bohater przemierzył trzy kontynenty, był wcielony do kilku armii (po obu stronach konfliktu), a na koniec i tak trafił do Polski. Widzowie wspominają do dzisiaj wiele kultowych scen z tej produkcji, ale symbolem filmu stały się pokazy gry w trzy karty. W jednej ze scen Dolas używał do gry swoich fotografii woj-skowych: na pierwszej z nich był w mundurze polskim (przedwrześniowym), na drugiej we francuskim, a na trzeciej w niemieckim. Na szczęście była to gra w trzy karty, więc nie musiał być w mundurze sowieckim na kolejnym zdjęciu...

Fajny film wczoraj widziałem.

– A momenty były?

nym sensie był jednak sam sobie winien, gdyż w młodym wieku miał bardzo rozrywkowy charakter, a jego stałymi kompanami do kieliszka byli: Roman Wilhelmi, Leonard Pietraszak i Jerzy Kamas. Z perspektywy lat podziwiał kondycję swoją i kolegów, cała czwórka zdecydowanie przekraczała bowiem wszelkie granice przyzwoitości. Podobno „balowali noc w noc”, inna sprawa, że wówczas za 100 zł można było się nieźle napić i na zakąskę jeszcze starczyło.

Chociaż, jak sam przyznawał, przepił „ze 3–4 mercedesy”, to z czasem się ustatkował. Zagrał około setki ról teatralnych, 80 razy pojawił się w Teatrze Telewizji, grał w 40 filmach. Prawdziwą sławę przyniosła mu jednak główna rola w „Jak rozpętałem II wojnę światową” (premiera 2 kwietnia 1970 r.). Wcielił się tam w postać kaprala

Popularność potwierdził kilka lat później rolą znerwicowanego burgrabiego w serialu „Janosik”. Ogarnięty manią schwywania nieuchwytnego harnasia opracowywał kolejne absurdalne plany, które kończyły się rozpaczą hrabiego (Mieczysława Czechowicza). A wielbiciele radia pisały ją go z niezapomnianego programu „60 minut na godzinę”, gdzie wraz z Andrzejem Zaorskim (jako Maniek i Jędrej) recenzowali filmy. Program zaczynał się od zagajenia Zaorskiego: „Fajny film wczoraj widziałem”, po czym następowało pytanie Kociniaka: „A momenty były?”. Teksty do programu pisał Zaorski, ale – jak sam przyznawał – używał powiedzeń pana Mariana, przedstawiając go takim, jakim był w rzeczywistości. ©©

Casa Azul Films

Ecran Noir Productions



SPECJALNA
ZŁOTA PALMA
CANNES 2018

JEAN-LUC GODARD

IMAGINACJE

GODARD

BATTAGIA

ARGANO

BRENEZ

“Kinowa burza mózgów”

Los Angeles Times

“Żyje i oddycha kinem”

Chicago Tribune

wprost

DO
RZECZY

FILM

eprasa.pl e3779d2b38

ma
chi
na

INSTITUT
FRANÇAIS



Z Antonym Beevorem, brytyjskim znawcą historii II wojny światowej
rozmawia Piotr Włoczyk

Sosabowski miał rację

PIOTR WŁOCZYK: Ile winy za klęskę operacji „Market Garden” ponoszą Polacy?

ANTONY BEEVOR: Nie sposób obwiniać Polaków, choć niestety niektórzy brytyjscy dowódcy w mało pochlebnych słowach wypowiadali się o gen. Stanisławie Sosabowskim, dowódcy polskiej brygady spadochronowej. Tymczasem ten polski generał robił wszystko, by odwieść Brytyjczyków od realizacji ich zamierzeń, chcąc zapobiec nadciągającej katastrofie. Czas pokazał, że prawie wszystkie jego zastrzeżenia były zasadne.

Ten plan był bowiem od samego początku bardzo zły i nigdy nie powinien zostać wdrożony w życie. Jeżeli po drodze pojawił się pewien wątpliwy cień szansy, to tylko dlatego, że Niemcom nie udało się wysadzić mostu w Nijmegen. I tylko ten jeden błąd Niemców dawał minimalne nadzieje, że XXX Korpus dotrze na czas do Arnhem.

Marszałek Bernard Law Montgomery napisał tuż po bitwie w tajnym szyfrogramie, że Polacy walczyli tchórzliwie...

To, co Montgomery zrobił potem z pamięcią o Sosabowskim i o polskich żołnierzach, jest po prostu oburzające. Wykazał się zwykłą podłością. Znamy to z życia: jeżeli popełniłeś ogromny błąd, a człowiek zajmujący niższe stanowisko mówił ci od początku, że to się źle skończy, to starasz się go zdyskredytować.

Polscy spadochroniarze zrobili to, co do nich należało. Powiedziałbym wręcz, że Polacy zachowali się w tamtych warunkach w sposób wręcz wzorowy.

Po dotarciu na miejsce polscy spadochroniarze mieli przed sobą zupełnie inne zadanie, niż wynikało to z początkowych planów. Nagle zrobiła się z tego misja ratunkowa?

Jak opisuję to w swojej książce, Sosabowski zrozumiał, że jego rolą stało się wyciągnięcie brytyjskich kasztanów z ognia. Misją Polaków było uratowanie Brytyjczyków z katastrofy, którą oni sami na siebie ściągnęli. W momencie, gdy Polacy pojawili się na ziemi, cała operacja była już jednym wielkim chaosem, nad którym nikt nie panował. Dość powie-

dzieć, że tuż przed zrzutem Sosabowski dostał informację, że prom na Renie wciąż działa. Tymczasem na miejscu się okazało, że Niemcy jednak zniszczyli przeprawę. Polacy wylądowali na południowym brzegu rzeki, a Brytyjczycy byli odcięci po drugiej stronie Renu...

Sosabowski właśnie takich sytuacji chciał uniknąć. Przed wylotem groził wręcz, że nie poprowadzi swojej brygady do bitwy, jeżeli nie zostanie od Brytyjczyków pełnej informacji na temat sytuacji na ziemi. Sęk w tym, że Brytyjczycy sami nie za bardzo wiedzieli, co się wtedy działo w Holandii, ponieważ łączność radiowa kompletnie zawiodła.

Oczywiście Montgomery nie mógł zwać całej winy na Polaków, skoro – nie ze swojej winy – pojawili się oni na miejscu bardzo późno. Po wszystkim bardzo jednak chciał usunąć gen. Sosabowskiego i szukał do tego jakiegokolwiek pretekstu, szargając honor tego dowódcy. Napisał nawet list do marszałka Alana Brooke’a, szefa Imperialnego Sztabu Generalnego, w którym jasno stwierdził,

NIESŁUSZNE OSKARŻANIE POLAKÓW ZA FIASKO „MARKET GARDEN”

że nie chce mieć Polaków pod swoją komendą...

Generał Sosabowski został w końcu odsunięty od dowodzenia brygadą.

Jednak oczywiście doskonale wiemy, że polski rząd został do tego przymuszony przez Brytyjczyków.

Dlaczego plan operacji „Market Garden” tak bardzo rozniżał się z rzeczywistością?

To był plan bardzo oportunistyczny i zarazem optymistyczny. Dla Montgomery’ego najważniejsze było to, żeby wyprzedzić Amerykanów. Zakładano, że to będzie ostatnia wielka bitwa wojny, co było szaleństwem. Alianci źle oceniali niemiecką armię, bo wydawało im się, że w ten sposób bardzo łatwo wejdą do północnych Niemiec. To było typowe chciejstwo.

Trzeba jednak przyznać, że były pewne podstawy do optymizmu. Przed rozpoczęciem „Market Garden” alianci pędzili na wschód w nieprawdopodobnym tempie.

Faktycznie, tempo natarcia było niezwykle imponujące. Wojska sprzymierzonych przemierzyły dystans od Sekwany do Brukseli zaledwie w kilka dni. Był to najszybszy marsz tamtej wojny.

Niezwykle optymistyczne założenia planistów tłumaczy również to, że alianci źle odczytali zamach na Hitlera z 20 lipca 1944 r. Wydawało im się, że armia, która chce wysadzić w powietrze własnego głównodowodzącego, jest w stanie kompletnego chaosu. Byli przekonani, że sierpień 1944 r. był jak sierpień 1918 r. i że armia niemiecka właśnie się rozpada na ich oczach. Ufali, że wystarczy jedno pchnięcie i Niemcy upadną na kolana.

Wehrmacht szybko jednak stanął na nogi.

Zdolność niemieckich sił zbrojnych do regeneracji była zadziwiająca. Sosabowski doskonale to rozumiał, w przeciwieństwie do Brytyjczyków.

Prawda jest taka, że Montgomery przyjmował do wiadomości tylko takie dane, które potwierdzały jego wyobrażenie o stanie armii niemieckiej. Ignorował zaś wszelkie ostrzeżenia mówiące o tym, że Niemcy zbierają w Holandii duże siły, co było zwiastunem wielkich kłopotów.

Można odnieść wrażenie, że alianckie dowództwo starało się użyć sił powietrznodesantowych za wszelką cenę, szukając wręcz na siłę okazji, by wysłać spadochroniarzy do boju. Z czego to wynikało?

Nie tylko w Wielkiej Brytanii, lecz także w Ameryce widać było wielkie oczekiwanie, że 1. Aliancka Armia Powietrznodesantowa zostanie użyta na polu bitwy. Zainwestowano w jej utworzenie ogromne środki, a tymczasem alianci wielkimi krokami zbliżali się do Niemiec i wyglądało na to, że to ostatnia szansa, by użyć spadochroniarzy.

Swoje zrobiła też amerykańska prasa, np. magazyn „Time”, która snuła fantastyczne wizje, że wojska powietrznodesantowe to przyszłość działań zbrojnych, że można będzie takie oddziały zrzucać gdziekolwiek na świecie i szybko zapobiec wybuchowi kolejnych wojen. Zupełnie ignorowano przy tym kwestie techniczne, np. takie drobiazgi jak zasięg samolotów.

Czyli wszystko odbyło się według prostej zasady, że jeżeli ma się młotek, to w końcu chce się z niego skorzystać?

Dokładnie tak. Widać, że parcie do przeprowadzenia operacji w rodzaju „Market Garden” nie było tylko winą ambicji Montgomery’ego i gen. Fredericka Browninga. Warto przypomnieć, że gen. Dwight Eisenhower usłyszał od swoich przełożonych w Waszyngtonie wyraźne życzenie, by potrzebną jest duża operacja powietrznodesantowa.

Podoba się panu „O jeden most za daleko”? W Polsce ten film cieszy się generalnie bardzo dobrą opinią, głównie dlatego, że całkiem dobrze pokazano w nim nastawienie gen. Sosabowskiego do całego planu.

Nie dziwię się, że Polacy uwielbiają ten film, skoro polskiego dowódcę zagrał Gene Hackman (śmiech). Ja osobiście nie przepadam za tym filmem, choć oczywiście jest dużo więcej gorszych filmów wojennych. Proszę jednak pamiętać, że rozmawia pan z historykiem wojskowości (śmiech).

Ten film nie pokazuje np. potwornego cierpienia holenderskiej ludności. Po wszystkim spadły na Holendrów straszne represje ze strony Niemców za pomoc udzieloną aliancom. Nie widać też w tym filmie prawdziwego powodu, dla którego cała ta operacja nie miała najmniejszych szans na powodzenie, a także nie pokazano w nim, jak Browning i gen. Brian Horrocks traktowali Sosabowskiego, jak starali się go zastraszyć, a wręcz poniżyć.

Generał Sosabowski musiał po wojnie pracować fizycznie w magazynie i w fabryce, ponieważ nie miał innych źródeł utrzymania. Nie widzi pan w tym wielkiej niesprawiedliwości?

Chodzi panu o to, że brytyjski rząd nie wypłacał mu emerytury? Pamiętajmy jednak, że Wielka Brytania była bankrutem. Amerykanie zabrali całe nasze rezerwy złota – specjalnie po nie przysłali na Wyspy krążownik. Wszystkie brytyjskie firmy operujące w USA zostały przejęte przez Amerykanów. Utrzymywanie po wojnie polskich generałów nie było po prostu możliwe. Podłość widzę natomiast gdzie indziej – myślę o zachowaniu nowego rządu Clementa Attlee’ego, który nie pozwolił Polakom na wzięcie udziału w wielkiej paradzie zwycięstwa. Attlee nie chciał zbytnio denerwować Stalina... To niewybaczalne.

Tylko że polskich generałów, którzy przysłużyli się w tamtej wojnie aliancom, nie było w Wielkiej Brytanii aż tak wielu...

Jeżeli płaci się generałom, to dlaczego nie wypłacać emerytur innym oficerom, którzy również pozostali po wojnie w Wielkiej Brytanii? Najważniejsze, że wszyscy oni dostali azyl chroniący ich przed Sowietami i mieli dzięki temu możliwości, by jakoś sobie poradzić.

Jak dziś pamięta się w Wielkiej Brytanii o człowieku, który chciał zniszczyć gen. Sosabowskiego? Czy możemy tu mówić o jakiegokolwiek sprawiedliwości dziejowej?

Myślę, że dziś Montgomery nie ma już na Wyspach takiej renomy, jaką miał w czasie wojny i tuż po niej. Mam wrażenie, że obecnie Brytyjczycy, a przynajmniej ci, którzy interesują się historią, przykładają już do niego właściwą miarę. On sam oczywiście uważał się za dowódcę równego Wellingtonowi, ale to ekstremalny przykład egocentryzmu. Ten człowiek żył w świecie fantazji, w którym błędy popełniali wszyscy poza nim samym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



ANTONY BEEVOR
„ARNHEM”
ZNAK 2018



Antony Beevor jest brytyjskim historykiem wojskowości, autorem wielu książek na temat II wojny światowej.



Jacek Przybylski

Katastrofy boeingów 737 MAX 8 ukazują ryzyko związane z zastosowaniem sztucznej inteligencji, której błędy mogą prowadzić do tragedii. Dwie rozbite maszyny nie zatrzymają jednak dalszej automatyzacji przemysłu lotniczego



FOT. MIKE JANE / BLOMBERG/GETTY IMAGES

Horror w kokpicie

Poniedziałkowy poranek. 29 października 2018 r., godz. 6.20. Z Dżakarty startuje właśnie boeing 737 MAX 8. Za sterami nowoczesnego samolotu siedzą doświadczony kapitan Bhavye Suneja – pilot, który miał wylatane 6 tys. godzin – oraz drugi pilot Harvino z wylatanymi 5 tys. godzin. Już dwie minuty po starcie samolotu linii Lion Air pilot zgłasza problemy z kontrolą lotu. Nieco później załoga prosi wieżę kontroli w stolicy Indonezji o zgodę na awaryjny powrót na lotnisko w Dżakarcie. Piloci dopytują też kontrolerów lotu o wysokość i pręd-

kość. Jednocześnie załoga nerwowo wertuje instrukcję obsługi, rozpaczliwie szukając przyczyny dziwnego zachowania nowoczesnej maszyny, która nagle wprowadziła samolot w gwałtowne nurkowanie. Piloci nie zdążyli uratować samolotu. O 6.33 nowiutka maszyna runęła do Morza Jawajskiego. Zginęło 181 pasażerów oraz ośmioro członków załogi.

Ze wstępnego raportu indonezyjskiej Państwowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu (KNKT) w sprawie katastrofy 737 MAX 8 wynika, że wskaźnik prędkości w pechowym samolocie

działał nieprawidłowo podczas czterech ostatnich lotów, w tym podczas lotu, który zakończył się katastrofą. Eksperci podejrzewają także, że wadliwie mógł zadziałać czujnik kąta natarcia (AOA), który mierzy położenie nosa samolotu wobec strumienia powietrza, oraz system zapobiegający przeciągnięciom, czyli gwałtownego spadku siły nośnej i szybkiego przyrostu oporu aerodynamicznego. Prawdopodobnie komputer pokładowy otrzymywał błędne dane, przez co system uznawał, że dziób maszyny jest zbyt wysoko względem strumienia powietrza i samolotowi gro-

zi utrata siły nośnej. Uruchamiał więc ostrzeżenie w kokpicie o przeciągnięciu i automatycznie szybko obniżał dziób samolotu, co miało pozwolić maszynie nabrać prędkości.

Według ekspertów kapitan wielokrotnie próbował podnosić dziób samolotu, ale automatyczny system poprawy charakterystyki manewrowej (MCAS) – mający pomagać pilotom w razie, gdyby dziób nagle zaczął unosić się zbyt szybko i pojawiłoby się ryzyko przeciągnięcia – za każdym razem go opuszczał. Tuż przed katastrofą samolot wielokrotnie wzbijał się do góry, po czym gwałtownie opadał, aż ostatecznie rozbił się o taflę morza.

Podobne problemy w tej samej maszynie zaobserwowano zaledwie dzień wcześniej. Według brytyjskiego dziennika „The Daily Telegraph” pasażerowie, którzy w niedzielę 28 października lecieli z Bali do Dżakarty, opowiadali reporterom, że w pierwszych minutach lotu samolot kilkukrotnie nagle opadał. – Czułem, jakby samolot tracił moc i nie był w stanie się wznieść. Czuliśmy się jak na rollercoasterze. Niektórzy pasażerowie zaczęli panikować, inni wymiotować – opowiadał telewizji TVOne Alon Soetanto. – Po 10 minutach w powietrzu samolot zaczął spadać, jakby stracił moc. Ludzie panikowali. To było jak spadanie w bardzo, bardzo głęboką dziurę – opowiadał inny pasażer Robbi Gaharu, cytowany przez CNN. Te relacje potwierdzają zebrane przez serwis FlightRadar24 dane o szczegółach lotu, które pokazują problemy z utrzymaniem prędkości, wysokości i kierunku lotu w pierwszych minutach po starcie. Życie załozce i pasażerom uratował wówczas pilot pasażer, który znalazł się w kokpicie jako gość. To on – jak podała Bloomberg – wyłączył złe działający system zapobiegający przeciągnięciom, co pozwoliło ręcznie ustabilizować maszynę.

Sprawa Boeinga 737 MAX trafiła jednak na czołówki gazet na całym świecie dopiero, gdy 10 marca o 8.44 we wschodniej Afryce rozbiła się maszyna należąca do linii Ethiopian Airlines. Na pokładzie było 157 pasażerów z 35 państw, w tym dwie osoby z Polski. Nie wiadomo, jakie były przyczyny wypadku. Wiadomo jednak, że za sterami siedział doświadczony pilot. Yared Getachew, który miał wylatane ponad 8 tys. godzin, niedługo po starcie poinformował o problemach z samolotem i spanikowanym

głosem poprosił o zgodę na zawrócenie samolotu. Kontrolerzy lotu obserwowali zaś, że samolot przed katastrofą na przemian gwałtownie zwiększał i zmniejszał wysokość. Dane z firmy Aireon, korzystającej z sieci 66 satelitów, pokazują bardzo podobne zachowanie się maszyn należących do Ethiopian Airlines oraz Lion Air: oba loty przed katastrofą były pełne gwałtownych manewrów.

I chociaż końcowy raport wyjaśniający przyczyny tragedii będzie gotowy

Piloci przesiadający się do najnowszego modelu samolotu zamiast szkoleń na symulatorach lotu przechodzili krótkie szkolenia na tabletach

dopiero latem, to eksperci badający katastrofę boeinga 737 MAX w Etiopii już teraz mówią, że podobnie jak w przypadku indonezyjskiego samolotu do katastrofy etiopskiej maszyny prawdopodobnie przyczynił się wadliwie działający system ochrony przez przeciągnięciem.

TAJEMNICZY MCAS

Dwie katastrofy boeinga 737 MAX w ciągu pół roku wywołały lawinę pytań dotyczących bezpieczeństwa nowego modelu, a także poważne konsekwencje dla producenta tych maszyn. Wiele państw – od Australii przez Tajlandię do Unii Europejskiej – zamknęło przestrzeń powietrzną dla tego modelu. Loty najnowszymi boeingami zawiesiły także Stany Zjednoczone, Meksyk, Kanada, Brazylia czy Chile. Decyzja o uziemieniu tych maszyn dotknęła wiele linii lotniczych na całym świecie, w tym polski LOT czy Enter Air.

Szybko wyszło na jaw, że jeszcze przed tragedią w Etiopii kłopoty ze statecznością najnowszego samolotu Boeinga zgłaszali wcześniej m.in. dwaj amerykańscy piloci. Z ich raportów wynika, że po starcie dziób ich samolotu niespodziewanie gwałtownie opadł. Na szczęście nie doszło do katastrofy.

Paradoksalnie system MCAS (Maneuvering Characteristics Augmentation System) wprowadzono właśnie po to, aby uniknąć najgorszego. Przyczyną jego opracowania były duże zmiany konstrukcyjne wprowadzone w boeingach 737

serii MAX, które wpłynęły na ich zachowanie w powietrzu. Jeden z byłych menedżerów Boeinga, w anonimowej wypowiedzi dla „The Seattle Times”, tłumaczył, że zastosowanie nowych silników – zapewniających większy zasięg i mniejsze zużycie paliwa – zmieniło właściwości aerodynamiczne samolotu i nowy system musiał zostać wprowadzony, aby samolot mógł otrzymać odpowiednie certyfikaty bezpieczeństwa.

Według eksperta lotniczego Andreasa Spaetha – cytowanego przez portal DW – system jest potrzebny, bo boeingi serii MAX mają skłonność do samodzielnego zadzierania dziobu, co może doprowadzić do groźnego przeciągnięcia. W teorii system powinien działać w sposób dla pilota niedostrzegalny. W praktyce działający automatycznie system zbyt łatwo się włącza, a procedura jego wyłączenia – według niemieckiego eksperta – jest bardzo skomplikowana i zabiera zbyt dużo czasu załozce, która zamiast walczyć ze sztuczną inteligencją, powinna skupić się na wykonywaniu manewrów.

Dodatkowym utrudnieniem dla pilotów jest to, że Boeing nie umieścił opisu działania tego systemu w instrukcji użytkowania maszyn serii MAX. Tymczasem według „New York Timesa” w symulacjach lotu stworzonych tak, aby odtworzyć problemy, które napotkała załoga linii Lion Air, piloci na objęcie automatycznego systemu i zapobieżenie katastrofie mieli mniej niż 40 s.

SZKOLENIA NA IPADZIE

Boeingi 737 latają od pół wieku i są najbardziej popularnym modelem samolotu pasażerskiego na świecie. Wielu pilotów doskonale wie więc, jak za ich sterem radzić sobie niemal w każdej krytycznej sytuacji. Problem polega na tym, że seria MAX z większymi silnikami zachowuje się w powietrzu inaczej niż poprzednie modele. Tymczasem – jak przyznał rzecznik amerykańskiego stowarzyszenia pilotów Allied Pilots Association (APA) Dennis Tajer w szokującej rozmowie z „The Seattle Times” – szkolenie pilotów, którzy przesiadali się na maszyny Boeing 737 MAX, składało się z nieco ponadgodzinnej sesji na iPadzie, bez stosowania szkoleń na symulatorach lotów. Zakładano bowiem, że zmiany w nowej wersji 737 są jedynie kosmetyczne i piloci z łatwością poradzą sobie z najnowszą maszyną. W innych amerykańskich liniach według związków szkolenia trwały maksymalnie trzy



Piloci samolotu 737 MAX rozbitego w Etiopii tuż przed katastrofą mieli podobne problemy co maszyna Lion Air FOT. BAZ RATNER/REUTERS/FORUM

godziny i obejmowały obszary, w których nowe samoloty różniły się od ich starszych wersji.

Amerykańscy piloci latający dla American Airlines oraz Southwest Airlines zgodnie twierdzą jednak, że podczas szkoleń nikt nie powiedział słowa o istnieniu systemu MCAS. „Nie podoba nam się to, że w samolocie zamontowano nowy system i nikt o tym nie poinformował ani nie zawarł tej informacji w instrukcji obsługi” – podkreślał Jon Weaks, prezes Southwest Airlines Pilots Association.

Jak to możliwe, że szkolenia były takie krótkie? Według reporterów dziennika „The New York Times” Boeing przekonał amerykański Federalny Urząd Lotnictwa (FAA), że 737 MAX jest jedynie lekko zmodyfikowaną wersją użytkowanego od lat modelu 737-800, a co za tym idzie – nie wymaga dodatkowych szkoleń na symulatorach. Zgoda na ograniczenie szkoleń miała oznaczać dla producenta ogromne oszczędności. Pracownikom koncernu łatwiej było przekonać do tego urzędników, ponieważ pod naciskiem przemysłu lotniczego FAA zmieniło procedury certyfikacji tak, aby przedstawiciele producentów odgrywali większą rolę w całym procesie dopuszczenia do użytku nowych modeli.

BEZPIECZEŃSTWO ZA DOPŁATĄ?

To nie koniec skandalicznych informacji, które wyszły na jaw po katastrofach. „New York Times” poinformował, że zarówno w maszynie należącej do Lion Air, jak i do etiopskich linii lotniczych brakowało niektórych elementów bezpieczeństwa 737 MAX. Boeing sprzedawał je bowiem jako nieobowiązkowe

wersje premium, za co żądał dodatkowych pieniędzy. Po ostatniej katastrofie samolotu 737 MAX w Etiopii amerykański producent zdecydował, że jedno z tych zabezpieczeń zostanie włączone do standardowego wyposażenia. Chodzi o specjalną lampkę ostrzegawczą, która ma sygnalizować pilotom nieprawidłowe działanie systemu stabilizacji. Boeing rozesłał także do wszystkich linii lotniczych na świecie, które użytkują najnowszy model 737, informację o tym, jak w razie potrzeby piloci mogą wyłączyć system MCAS.

Szefowie i akcjonariusze koncernu Boeing Co kryzys podobny do obecnego przeżyli już pół wieku temu. W 1965 r. w ciągu niecałego kwartału rozbiły się trzy maszyny 727-100. Model ten był wówczas reklamowany – podobnie jak 737 MAX obecnie – jako jeden z najbardziej nowoczesnych samolotów na świecie. System klap na skrzydłach B727-100, który zapewniał dodatkową siłę nośną przy małych prędkościach, był niezwykle duży i skomplikowany. Jak się okazało, do katastrof dochodziło, ponieważ niektórzy piloci nie zrozumieli do końca sposobu działania nowoczesnej maszyny i dopuszczali do tego, aby samolot podchodził do lądowania ze zbyt dużą prędkością. Władze lotnictwa cywilnego mimo apeli polityków o uziemienie modelu 727 zdecydowały, że nie ma takiego powodu, i pozwoliły na kontynuowanie lotów, pod warunkiem lepszego przeszkolenia pilotów. Podróźni nie dali się jednak tak łatwo przekonać. – Przez mniej więcej pół roku wiele B727 latało w połowie pustych – powiedział agencji Reuters prof. Bill Waldock z amerykańskiego uniwersytetu

lotniczego Embry-Riddle. Gdy kryzys minął, głośny i paliwożerny 727 stał się jednym z bestsellerów Boeinga i był powszechnie używany przez następne trzy dekady.

A jak będzie tym razem? Katastrofy B737 MAX nie zatrzymają dalszej automatyzacji przemysłu lotniczego. We współczesnych samolotach, z modelu na model, zwiększa się stopień automatyzacji. Piloci z osób sterujących podniebnymi gigantami coraz częściej stają się zaś jedynie pracownikami, których głównym zadaniem jest pilnowanie prawidłowego działania komputerów i którzy w razie, gdyby coś poszło nie zgodnie z zapisanymi w oprogramowaniu scenariuszami, wiedzą, który przycisk nacisnąć lub jak przesunąć wolant czy drążek sterowy.

Amerykański koncern może mieć jednak podobne problemy z szybkim odzyskaniem dobrego imienia jak jeden z wielkich niemieckich producentów samochodów po wybuchu afery Dieseldgate, związanej z oszustwem w oprogramowaniu kontrolującym emisję spalin.

Część linii lotniczych zapewne anuluje zamówienia – do końca stycznia 2019 r. Boeing przyjął zamówienia na 5 tys. maszyn w wersji MAX, z czego dostarczył już ok. 370 z nich – ale większość cierpliwie poczeka, aż gigant naprawi błędy w nowej maszynie (domagając się jednak odszkodowań za straty poniesione w wyniku uziemienia kupionych maszyn).

Władze lotnictwa cywilnego dadzą Boeingowi zgodę na ponowny start MAX-ów, gdy tylko koncern przekona je, że wszystkie błędy zostały już naprawione. Boeing już to robi. W zeszłym tygodniu w fabryce w Renton, gdzie składane są samoloty tej firmy, piloci na symulatorach lotu próbowali różnych scenariuszy lotu, a całość ich zmagania była transmitowana do sali konferencyjnej, w której zgromadzeni byli urzędnicy oraz ok. 200 pilotów z linii lotniczych, które zakupiły najnowszą maszynę.

Jeśli więc z samolotem nie będzie żadnych nowych problemów, to po kilkunastu miesiącach i milionach dolarów wydanych na niezbędne szkolenia na symulatorach, poprawę oprogramowania oraz intensywne działania public relations, sprawa zostanie zapomniana, a B737 MAX będą latały po brzegi załadowane pasażerami.



JAK WEGANIE KARMIĄ ZWIERZĘTA

Badacze z Kanady i Nowej Zelandii sprawdzili, czy ludzie próbują ze swoich psów i kotów zrobić wbrew ich naturze zwierzęta roślinożerne. Okazało się, że wśród osób deklarujących się jako weganie niemal co trzeci karmi psa lub kota karmą składającą się wyłącznie z produktów roślinnych. Na szczęście w całej grupie badanych ludzi wegan było tylko 6 proc. Psy i koty, które trafiły w ich ręce, mają więc życiowego pecha.

FOT. ADOBE STOCK

SEKSPROJEKT BRYTYJSKICH MAM

W Wielkiej Brytanii głośny stał się dokument zatytułowany „Mamuśki kręcą porno”. Opowiada o kulisach powstawania filmu porno, który nakręciły panie w średnim wieku – w ten sposób chciały „pomóc” dzieciom, które wiedzą o seksie czerpią głównie ze stron porno w Internecie. Film zawiera sceny seksu, ale jego twórczynie przekonują, że jest inny i koncentruje się także na „duchowości”, którą niesie ze sobą współzycie. Nie wiadomo, co na temat filmu sądzą dzieci „aktorek”.

STREISAND TŁUMACZY JACKSONA

Barbra Streisand podczas rozmowy o ofiarach Michaela Jacksona rzuciła w rozmowie z brytyjskimi dziennikarzami: „Możecie powiedzieć »molestowani«, ale te dzieci, jak słyszeliście, były zachwycone, że mogą tam być. Obaj pobrali się i obaj mają dzieci, więc to doświadczenie ich nie zabiło”. Gdy spotkała ją za to lawina krytyki, aktorka napisała: „Nie ma usprawiedliwienia dla sytuacji, w której ktoś narusza niewinność dzieci”.

POBAZGRAŁY PREZYDENTA

Jak podało CNN, w Burundi zatrzymano trzy niepełnoletnie uczennice. Mogą trafić na pięć lat do więzienia. Ich „przestępstwem” było to, że porysowały zdjęcie prezydenta Pierre’a Nkurunzizy. Obrońcy dziewcząt wskazują, że podręczniki przekazywane są przez kolejne roczniki uczniów, więc wcale nie jest pewne, kto bazgrał po fotografii prezydenta.

UDAWAŁ, BY NIE SŁUCHAĆ ŻONY

84-letni Barry Dawson z Wielkiej Brytanii przez 62 lata życia udawał głuchoniemego. Tłumaczył, że zrobił to, bo nie chciał słuchać „zrządzenia swojej żony”. Para, która doczekała się sześciorga dzieci i 13 wnucząt, nigdy ze sobą nie rozmawiała. Pan Dawson wpadł, bo jedno z wnucząt zobaczyło w sieci film z jego udziałem – na pewnej imprezie charytatywnej śpiewał karaoke. Żona Barry’ego postanowiła się z nim rozwieść. ©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ekoszmergla ciąg dalszy

Starbucks ogłosił w 2018 r., że w imię ekologii i walki o przyszłość naszej planety do 2020 r. pozbędzie się plastikowych słomek. W zamian będą dostępne słomki papierowe. Opakowane w plastikowe torebki, zawierające więcej plastiku niż słomki z tegoż materiału.

Ten przykład pokazuje miarę ekoparanoi, w której bierzemy udział. Niestety, na czele walki o ekologiczny postęp stoi Unia Europejska. PE zdecydował dopiero co, że od 2021 r. zakazana ma być sprzedaż plastikowych sztućców, talerzyków, słomek, patyczków do uszu, rączek do balonów i styro-

pianowych kubeczków. Oczywiście nikt nie zrobił żadnej analizy, jaki to będzie mieć faktycznie wpływ na środowisko, czy cokolwiek zmieni, czy te przedmioty da się zastąpić, czy nie można by użyć plastiku biodegradowalnego i tak dalej.

Decyzje są podejmowane na podstawie zdjęć z wbity w nos żółwika plastikową słomką i opierają się wyłącznie na emocjach. Zdrowy rozsądek w tych sprawach już dawno został wyłączony.

Kinga Rusin powinna być chyba przerażona, bo eliminacja plastiku oznacza, że będzie się ścinać więcej drzew, a to, jak wiadomo, zbrodnia.

Ekoszmergiel jest dziś najgroźniejszym fenomenem, który może nas najwięcej kosztować i narobić najwięcej szkód. Jest gorszy niż walka o „prawą” LGBTQWERTY..., bo tam przynajmniej jasno widać linię ideowego podziału, a na ekobzdury łapią się nawet tzw. prawicowcy. W końcu skoro swoją jak dotąd jedyną samodzielnie napisaną encyklikę poświęcił im nawet papież Franciszek...

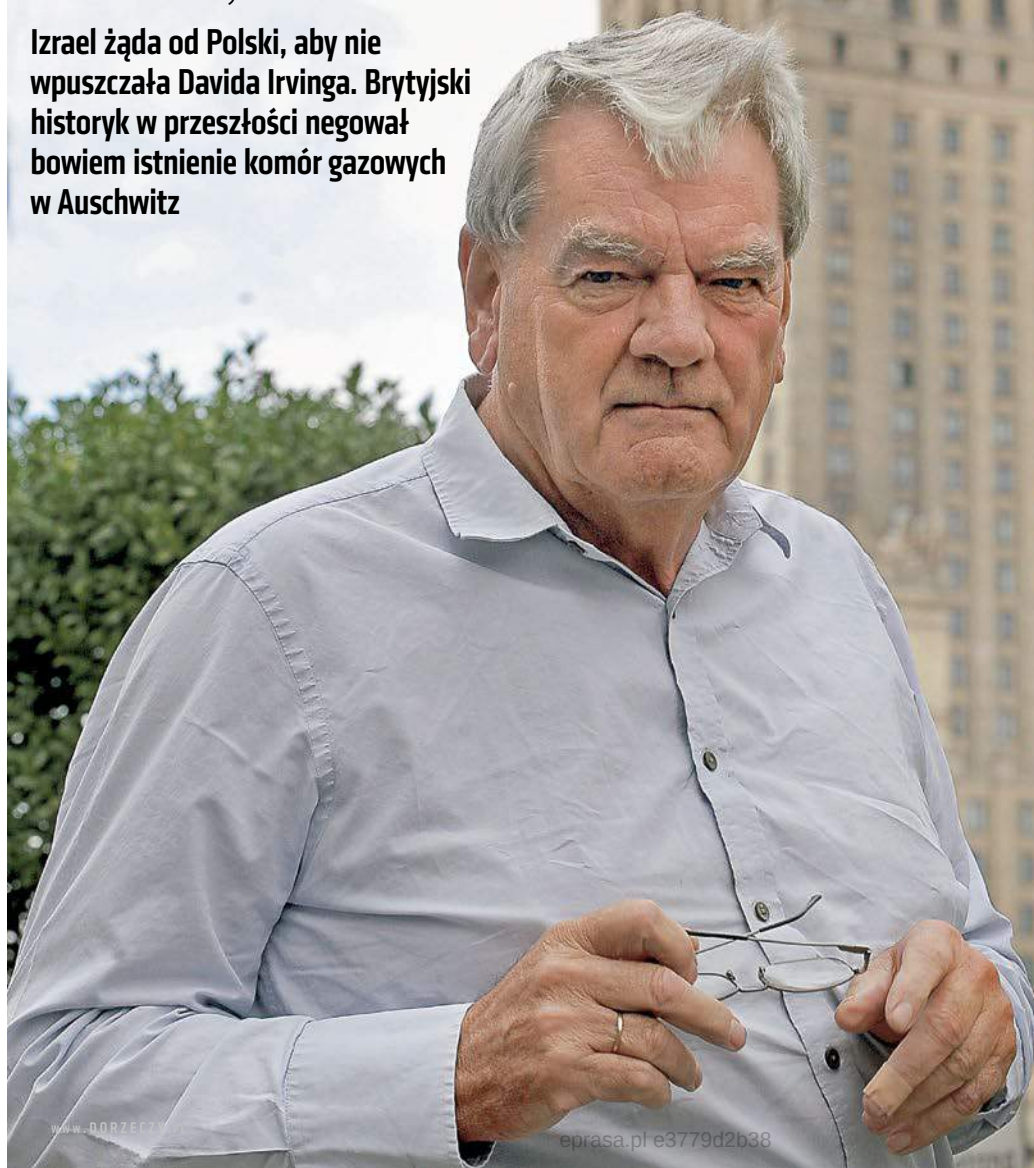
Czy jest gdzieś granica tego absurdu? Historia uczy, że nie ma. Żeby absurd się zatrzymał, musi dojść do ściany. A do niej, niestety, mamy jeszcze daleko. ©

Zatrzymać Irvinga



Piotr Zychowicz

Izrael żąda od Polski, aby nie wpuszczała Davida Irvinga. Brytyjski historyk w przeszłości negocjował bowiem istnienie komór gazowych w Auschwitz



Jeden z najsłynniejszych, a jednocześnie najbardziej kontrowersyjnych historyków świata co kilka lat zabiera swoich czytelników na wyprawę do Polski. Najbliższa miała się odbyć w dniach 1–9 września tego roku.

Brytyjski badacz planował odwiedzić „Wilczy Szaniec”, kwaterę główną Adolfa Hitlera w Kętrzynie. A także były obozy zagłady w Treblince, Sobiborze, Bełżcu i Majdanku. Szczęśliwcy biorący udział w wycieczce mieli zapłacić 3650 dol.

Mieli, bo wszystko wskazuje na to, że David Irving nie zostanie wpuszczony do Polski. Zapowiedział to sam minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz. Dlaczego? Dlatego że na przyjazd brytyjskiego badacza do naszego kraju nie zgadza się... Izrael. Z oficjalnym listem w tej sprawie do polskiego ambasadora w Tel Awiwie Marka Magierowskiego wystąpił minister edukacji i diaspory Naftali Bennett.

„Biorąc pod uwagę liczne odrażające wypowiedzi Irvinga i jego jawne kłamstwa na temat Holokaustu – napisał izraelski dygnitarz – jest całkiem jasne, że zamierza on wykorzystać wizytę w Polsce do szerzenia dalszych kłamstw. W ten sposób głęboko urazi pamięć ofiar Holokaustu i całego narodu żydowskiego. Podsyci szalejący ogień nienawiści i antysemityzmu, który płonie na całym świecie. Dlatego proszę rząd Polski, aby odmówił prawa wjazdu Irvingowi i jego grupie”.

Akcję izraelskiego rządu wsparł Jonny Daniels, żydowski lobbysta, który ma chody w rządzie PiS. Złożył on odpowiednie dokumenty w prokuraturze rejonowej i zażądał, aby Polska uznała brytyjskiego historyka za persona non grata. „Należy podjąć stanowcze działania – grzmiał Daniels – ponieważ jest to całkowicie niedopuszczalne, aby taka osoba mogła oprowadzać po niemieckich nazistowskich obozach koncentracyjnych”.

Wygłada na to, że woli Bennetta i Daniela stanie się zadość. David Irving nie wjedzie do Polski. Rząd PiS spełni wolę swojego bliskowschodniego „partnera”.

WOJNA HITLERA

Kim jest David Irving? Co zrobił i co napisał, że zapowiedział jego przyjazdu do Polski wywołała interwencję Izraela? Przede wszystkim jest człowiekiem pełnym sprzeczności. Z jednej strony uznawany jest za jednego z najwybitniejszych znawców życiorysu Adolfa Hitlera i dziejów III Rzeszy. A za drugiego

strony – jak określa go prasa – za „najgroźniejszego negacjonistę Holokaustu na świecie”, „neonazistowskiego propagandystę” i „wroga numer jeden” światowych środowisk żydowskich.

Urodzony w 1938 r. David Irving nie jest zawodowym historykiem, nigdy nie ukończył studiów historycznych. Jest samoukiem. Aby nauczyć się języka niemieckiego – niezbędnego do czytania dokumentów wytworzonych w III Rzeszy – jako młody człowiek wyjechał do Zagłębia Ruhry, gdzie kilka lat pracował jako robotnik w hucie.

Na początku kariery jego książki nie tylko spotykały się z wielkim zainteresowaniem czytelników na całym świecie, lecz także często cieszyły się uznaniem środowiska naukowego. Chociaż zawsze wywoływały kontrowersje, były światowymi bestsellerami, których recenzje ukazywały się w najpoważniejszych tytułach prasowych świata.

Tak było z jego głośnym debiutem „Drezno. Apokalipsa 1945” (1963), opisującym dywanowe bombardowania

Wygłada na to, że David Irving nie wjedzie do Polski. Rząd PiS spełni wolę swojego bliskowschodniego „partnera”

niemieckiego miasta przez alianckie lotnictwo. Irving uznał to wydarzenie za ludobójstwo, które można porównać do Auschwitz. Z kolei w 1967 r. napisał książkę „Wypadek – śmierć generała Sikorskiego”, w której sugerował, że katastrofa na Gibraltarze była sabotażem dokonany na rozkaz Winstona Churchilla.

Prawdziwą sławę Irvingowi przyniosły jednak biografie. Na czele z monumentalną „Wojną Hitlera”, w której postawił tezę, że niemiecki dyktator nie wiedział o Holokaucie. Masowa zbrodnia na Żydach miała być dziełem jego „złego ducha”, czyli Heinricha Himmlera. Irving wyznaczył nagrodę dla tego, kto przedstawi mu wiarygodny dokument z czasów wojny dowodzący, że Hitler wiedział o Zagładzie. Pieniądze wciąż leżą w banku.

Irving napisał wysoko oceniane książki o Goebbelsie, Göring i Rommlu. Fenomen tych biografii polegał na tym, że Brytyjczkowi udało się dotrzeć do licznych byłych dygnitarzy III Rzeszy. A także sekretarek, szoferów i kochanek członków wewnętrz-

nego kręgu Führera. Ludzie ci zaufali mu i złożyli na jego ręce unikalne relacje. Przekazali mu dokumenty, do których nie miał dostępu żaden inny badacz.

To właśnie Irving podważył autentyczność słynnych „dzienników Hitlera”, których fragmenty w 1983 r. opublikował „Stern”. Brytyjczyk uznawany był wówczas za jednego z najlepszych ekspertów w swojej dziedzinie. Był to zenit jego popularności.

PRZEGRANY PROCES

Pod koniec lat 80. z Irvingiem zaczęło się jednak dziać coś dziwnego. Nawiazał kontakty z kanadyjskimi środowiskami negacjonistów Holokaustu. Coraz większy wpływ wywierali na niego świadkowie historii, z którymi rozmawiał. Głównie byli narodowi socjaliści, bliscy współpracownicy Hitlera, którzy z nostalgia wspominali „stare, dobre czasy”.

To właśnie wówczas Irving zaczął mówić rzeczy niedorzeczne. Między innymi, że w Auschwitz nie było komór gazowych. Według niego ludzie, którzy zginęli w tym obozie zagłady, umarli na tyfus i inne choroby. Zdarzało mu się również wygłaszać wypowiedzi o jawnie antysemickim charakterze. Podobne wybryki wywoływały zdumienie oraz oburzenie prasy i szybko zepchnęły Irvinga z mainstreamu na radykalny margines.

Punktem zwrotnym w jego życiu był proces z 2000 r., który wytoczył amerykańskiej profesor Deborah Lipstadt. Oskarżył ją o zniesławienie, gdyż w jednej ze swoich książek nazwała go negacjonistą Holokaustu i zarzuciła mu manipulowanie źródłami.

– Pamiętam doskonale, jak zachowywał się na sali sądowej – opowiadała mi pani Lipstadt. – Był pewny siebie, agresywny i nieprzyjemny. Przerzywał mi, gdy mówiłam, sędzia wielokrotnie musiał przywracać go do porządku. Był absolutnie przekonany, że wygra proces i mnie ośmieszy.

Ku zaskoczeniu Irvinga sędzia zdecydował inaczej. Nie tylko uznał, że zarzuty Lipstadt są uzasadnione, lecz także w orzeczeniu nazwał go jeszcze antysemitą i rasistą. Wyrok był dla brytyjskiego historyka szokiem. W konsekwencji musiał bowiem pokryć gigantyczne koszty procesowe, co go całkowicie zrujnowało. – Składając ten pozew, strzelił sobie w obie stopy – podsumowała Lipstadt.

Był to jeden z najgłośniejszych procesów tamtych lat. W 2016 r. na jego

kanwie nakręcony został nawet hollywoodzki film „Kłamstwo”. Rolę Lipstadt zagrała Rachel Weisz, a w Irvinga wcielił się angielski aktor Timothy Spall. Po tej sądowej porażce Irving jeszcze bardziej się radykalizował. Coraz częściej w mediach pojawiały się jego kolejne obrazoburcze, szokujące wypowiedzi.

– To syndrom boksera w narożniku. Im bardziej obrywasz, tym wścieklej zaczynasz się odgryzać – mówił mi nieżyjący prof. Paweł Wieczorkiewicz, który nigdy nie ukrywał, że ceni twórczość Irvinga. – To najlepszy, najbardziej kompetentny historyk zajmujący się II wojną światową. Zawsze, gdy chcę coś sprawdzić, zaglądam najpierw do Irvinga. To prawdziwy wstyd dla niemieckich historyków, że Brytyjczyk wie więcej o ich historii niż oni sami. Irving od dłuższego czasu jest ulubionym workiem treningowym mediów. Myślę, że głupstwa, które mówi, wywołane są jego frustracją i przekorą. Oddzielmy jednak jego wypowiedzi od książek, które są fantastyczne.

Co siedzi w Davidzie Irvingu? Dlaczego go rozmyślnie zrezygnował z wielkiej kariery? Dlaczego coraz głębiej brnął w konflikt z resztą świata, świadomie skazując się na marginalizację?

– Austria całkowicie się ośmieszyla w oczach świata – mówił mi Irving świeżo po opuszczeniu więzienia. – To, co ze mną zrobiono, jest symptomem początku końca wolności słowa w Europie. Wykorzystując przepisy o tzw. kłamstwie oświęcimskim, ci ludzie chcą wyeliminować odmienne opinie. To było bardzo dziwne dostać się w tryby austriackiego systemu „sprawiedliwości”. Jest się tam winnym dopóty, dopóki nie udowodni się swojej niewinności. Czyli odwrotnie niż w Anglii.

WOLNOŚĆ SŁOWA

W ostatnich latach przeprowadziłem kilka wywiadów z Irvingiem. Jeden z nich w 2007 r., gdy organizatorzy Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie z hukiem wyrzucili go z imprezy. Oczywiście pytałem go o jego teorie dotyczące tego, że w Auschwitz nie było komór gazowych. Irving zadeklarował wówczas, że oficjalnie się z nich wycofuje. Miał bowiem popełnić „błąd metodologiczny”.

– Odkryłem sensacyjne papiery zastępcy komendanta Auschwitz Hansa Aumeiera. Faktycznie opisywał on gazowanie ludzi. Jednak w tzw. białym i czerwonym domku, a nie w wielkich

Co powinien zrobić rząd w Warszawie, otrzymawszy izraelski wniosek o niewpuszczanie Davida Irvinga do Polski? To zależy. W sytuacji, gdyby relacje Polski z Izraelem były idealne, oczywiście powinien się przychylić do tej prośby. Dobrzy przyjaciele wyrządzają sobie takie drobne przysługi.

Problem w tym, że relacje polsko-izraelskie nie są wcale idealne. Wystarczy wspomnieć o niedawnej wypowiedzi szefa izraelskiej dyplomacji Israhela Katza, który ogłosił, że „Polacy wysłali antysemityzm z mlekiem matki”. A także enuncjacjach premiera Beniamina Netanjahu na temat Polaków mordujących Żydów, wygłoszonych w trakcie pobytu na warszawskiej konferencji na temat Bliskiego Wschodu. Konferencji, która poważnie zaszkodziła Polsce, a przyniosła olbrzymie zyski Izraelowi.

Warto również przypomnieć, że minister Naftali Bennett – który wystosował list w sprawie niewpuszczania Irvinga – w zeszłym roku zasłynął sprzeciwem wobec wspólnej deklaracji premierów Mateusza Morawieckiego i Beniamina Netanjahu dotyczącej historii relacji polsko-żydowskich. Bennett w akcie protestu przeciwko podpisaniu tego dokumentu nakazał wprowadzić specjalne zajęcia, w trakcie których izraelscy uczniowie dowiadują się o roli, jaką Polacy odegrali w Holokauście.

„W sytuacji, w których wybiła się działania Polaków przeciwko Żydom w trakcie Holokaustu, będziemy dokładnie badać te sprawy – mówił wówczas Bennett. – Wielu Polaków pomagało nazistom i mordowało Żydów podczas Holokaustu. To fakt, z którym nie można dyskutować. Ta prawda będzie wykładana uczniom w Izraelu, tak aby mieli oni pełną wiedzę na temat tego, co wydarzyło się na polskiej ziemi. Tym największym cmentarzu na świecie”.

Bennett zapytany przez izraelskich dziennikarzy, czy nie obawia się, że zepsuje w ten sposób relacje z Polską, przyznał, że są one bardzo ważne. „Nie możemy jednak nauczać naszych dzieci kłamstw i wypaczeń”.

Wydaje się, że w tej sytuacji Polska powinna udzielić panu Bennettowi grzecznej odpowiedzi w takim duchu: „Rozumiemy pańskie obawy związane z wizytą Davida Irvinga, ale niestety nie możemy nic w tej sprawie poradzić. Polska jest bowiem krajem, w którym panują wolność słowa i pełna swoboda wypowiedzi”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Minister, który wystosował list w sprawie niewpuszczania Irvinga, w zeszłym roku zasłynął sprzeciwem wobec wspólnej deklaracji premierów dotyczącej historii relacji polsko-żydowskich

– On jest jak ćma, która leci do ognia – mówił mi Norman Davies. – Tyle że on sam ten ogień rozpala. Ma skłonności autodestrukcyjne. Chce być męczennikiem urojonej „batalii o wolność słowa”. Przecież on doskonale zdawał sobie sprawę, że w Austrii go aresztują. Przed wyjazdem zapakował pełną walizkę rzeczy. Sprowokował całą sytuację.

Profesor Davies miał na myśli wydarzenie z 2005 r., gdy – nieco już zapomniany – Irving znowu trafił na pierwsze strony gazet. Został bowiem zatrzymany przez austriacką policję i wtrącony do więzienia, w którym spędził blisko rok. Tamtejszy sąd skazał go za „kłamstwo oświęcimskie”. Chodziło o dwa wykłady wygłoszone w 1989 r., podczas których wzywał, by skończyć z „bajeczkami o komorach gazowych”, a Holokaust nazwał mitem. Władze Austrii rozesłały wówczas za Irvingiem list gończy.

krematoriach, o których mowa w literaturze przedmiotu – opowiada.

Teza ta jest nieprawdziwa. W Auschwitz gazowano również w wielkich krematoriach. Zachowały się na ten temat setki dokumentów i olbrzymia ilość relacji świadków. Sam rozmawiałem z kilkoma byłymi więźniami niemieckiego obozu, którzy widzieli na własne oczy komory gazowe KL Auschwitz. Trudno uwierzyć, że wszyscy ci ludzie brali udział w jakimś antyniemieckim spisku lub padli ofiarą zbiorowej halucynacji.

Trudno doprawdy zrozumieć, po co David Irving z takim uporem, godnym lepszej sprawy, stara się udowodniać rzeczy, których udowodnić się nie da. Fałszywe tezy historyczne to jednak jedna rzecz, a prawo swobodnego poruszania się obywatela Wielkiej Brytanii po terenie naszego kraju – druga.

ZAINWESTUJ I ZARABIAJ **8%** W SKALI ROKU

Stały dochód wypłacany **co miesiąc**
i brak kosztów eksploatacyjnych!



130 przestronnych
apartamentów



30 dni pobytu
właścicielskiego



Bogata
infrastruktura
i atrakcje regionu



Lokalizacja
w centrum Karpacza
– idealna
do inwestowania



Piotr Kościński

Blisko 30 lat piastowania urzędu prezydenta zdarza się bardzo rzadko. Jeszcze rządziej zdarza się jednak, by taki „wieczny” prezydent dobrowolnie ustąpił

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Kazachska dymisja

Po tym, jak Nursułtan Nazarbajew złożył dymisję, szefem państwa został Kasym-Żomart Tokajew, dotychczasowy przewodniczący senatu. Sam Nazarbajew szykował się do odejścia już od jakiegoś czasu. Oddał część pełnomocnictw parlamentowi i pracował nad znalezieniem najlepszej drogi oddania urzędu. Zresztą wcale nie zniknie ze sceny politycznej. Pozostanie szefem rady bezpieczeństwa narodowego i liderem rządzącej partii Nur Otan. A przewodniczącą senatu została jego córka Dariga, co niektórzy od razu skomentowali: oto przyszła pani prezydent. Parlament uchwalił też przemianowanie stolicy z Astany na Nursułtan. To już piąta jej nazwa; miasto nazywało się dotąd: Akmolińsk, Celinograd, Akmoła i właśnie Astana.

Zagraniczni komentatorzy snują domysły, że Nazarbajew pokazuje drogę do odejścia na emeryturę rosyjskiemu prezydentowi Władimirowi Putinowi. Ka-

zachstan to jednak nie Rosja, a Nazarbajew cieszy się o wiele większą popularnością niż jego rosyjski kolega. Nawet jeśli można mieć wątpliwości, czy 97,8 proc. głosów w wyborach 2015 r. uzyskał bez jakichkolwiek „cudów nad urną”, to jednak jego pozycja była zupełnie inna.

Kilka dni po rezygnacji w Nursułtanie, a potem i w Ałma Acie, opozycja zorganizowała protesty przeciwko zmianie nazwy stolicy. Policja zatrzymała co najmniej 20 osób. Opozycja jest jednak bardzo słaba i nie ma się co spodziewać, że dojdzie do jakichkolwiek większych antyrządowych demonstracji.

KRAJ NA STEPIE

Kazachstanowi daleko do Indii, gdzie obok tysięcy bogaczy są też miliony biedaków. I w tym kraju nie brakuje jednak kontrastów. To w sporej mierze efekt geografii: dużą część Kazachstanu pokrywa step. Zima trwa tu od października do maja.

Astana, a raczej już Nursułtan, zadziwia przybyszy. Spora jej część wygląda jak prowincjonalne sowieckie miasto obwodowe, bo taki po prostu był Celinograd (z rosyjskiego – „miasto na ugorze”). Stolica Kazachskiej SRR znajdowała się w odległej Ałma Acie, a tu urzędował pierwszy sekretarz komitetu obwodowego partii komunistycznej i szef obwodowego „ispolkomu” (komitetu wykonawczego). Siedziba prezydenta Kazachstanu, po przeniesieniu tu stolicy, znajdowała się właśnie w budynku obwodowego komitetu partii. Po zbudowaniu wielkiego pałacu prezydenckiego umieszczono w nim muzeum „pierwszego prezydenta”, ale okazało się za skromne i znaleziono dla niego bardziej okazałe miejsce.

Wśród „chruszczówek” (oszczędnościowe domy o specjalnie obniżonych stropach) i innych typowo sowieckich budynków postawiono też trochę nowoczesnych budowli. Jednak w Nursułtanie

dominuje zupełnie nowa zabudowa, położona w większości na południe od rzeki Işym. Istniejące pomieszczenia stylów, azjatyckie, europejsko-chińsko-rosyjskie.

Jednym z symboli kazachskiej stolicy jest ogromne centrum handlowe Chan Szatyr („namiot chana”) o powierzchni 127 tys. mkw. i wysokości 150 m, w którym oprócz sklepów i restauracji są jeszcze usadowione wysoko jednoszynowa kolej oraz plaża z piaskiem sprowadzonym z Malediwów (cena wejścia na tę plażę jest iście zaporowa...). Chan Szatyr stanowi zakończenie osi, na której położona jest wieża-pomnik Bajterek („topola”), symbol miasta mający ucieleśniać kazachską opowieść ludową o mitycznym drzewie życia i magicznym ptaku szczęścia, a na drugim końcu znajduje się ogromny pałac prezydencki, otoczony przez budynki rządowe.

Oddalając się od tego nowego centrum miasta na południe, aleją Qabanbay Batyr można dojechać do ogromnej siedziby Uniwersytetu im. Nazarbayewa, założonego w 2010 r. i będącego symbolem rozwoju nauki w tym kraju. Podobno nauka stoi w nim na wysokim poziomie, bo Kazachstan stać na ściąganie najlepszych naukowców z zagranicy. Naprzeciwko niego stoi kolejne gigantyczne centrum handlowe MEGA Silk Way, jeszcze większe niż Chan Szatyr, bo o powierzchni 140 tys. mkw. oraz długości pół kilometra. A za nim znajdują się niezwykle futurystyczne obiekty Expo 2017.

WZROST DZIĘKI ROPIE

Kazachstan od lat szybko się rozwijał w znacznej mierze dzięki sprzedaży ropy naftowej. Po trudnym okresie lat 2015–2016, kiedy PKB rósł zaledwie o 1,2 i 1,1 proc. rocznie, w 2017 r. nastąpiła zdecydowana poprawa, choć nie taka, jakiej chcieliby Kazachowie. W 2018 r. PKB wzrósł o 3,7 proc., a w 2019 r. będzie to zapewne 3,1 proc. Uruchomione zostało nowe złożo ropy Kaszagan na północy Morza Kaspijskiego, w pobliżu miasta Atyrau, co przynosi sporo pieniędzy. Sama ropa to jednak za mało, by kraj mógł się rozwinąć i liczyć na zamożną przyszłość.

Plan rozwoju Kazachstanu nakreślony został przez Nazarbayewa jako 100 Konkretnych Kroków. Planowane są wprowadzenie rynkowego obrotu ziemią, optymalizacja polityki oraz procedur podatkowych i celnych, stopniowa rezygnacja z monopolu państwowego na dokumentację projektową w budownictwie, rezygnacja ze starych sowieckich norm na rzecz norm

europejskich, przyciągnięcie zagranicznych inwestorów. To wszystko idzie bardzo powoli, bo opór postsowieckiej materii jest niesłychanie silny.

Mimo więc rozmaitych programów wsparcia postsowiecka gospodarka nie pozwala przeciętnym ludziom na życie na poziomie, który nazwalibyśmy europejskim. Skomplikowany system wspierania wielodzietnych rodzin okazuje się niewystarczający; równowartość 150 zł miesięcznie za złoty medal Ałtyn Ałka dla matek z siedmiorgiem dzieci, srebrny medal Kymis Ałka za sześcioro nie zastąpią godziwych wynagrodzeń.

Szczególnie na wsi. Rozrzucone po stepie wsie borykają się z ogromem problemów. Sukces odnieść mogą tylko wielkie, liczące dziesiątki tysięcy hektarów. Widać to choćby po polskich wioskach. Położona 100 km na zachód od stolicy Pierwomajka to jedna z pięciu sąsiadujących ze sobą polskich osad (w 1936 r. wysadzano grupy deportowanych z Ukrainy Polaków co kilka czy kilkanaście kilometrów i kazano budować wieś). Dziś jest to miejscowość mająca własną szkołę, przedszkole, kilka sklepów, kościół z przebudowanej chałupy. Dawną kołchozową ziemię podzielono między byłych kołchoźników. Potem

uzyskała zaledwie 1 proc. głosów i też nie ma deputowanych. Antynazarbayewowska opozycja usiłuje się organizować... w Brukseli.

Kazachstan nie ma demokratycznych tradycji. Jak słusznie zauważył Nazarbayew podczas swego ostatniego prezydenckiego wystąpienia, 30 lat temu tego kraju w ogóle nie było na mapie świata. Kazachowie, stanowiący 65 proc. ludności, to naród koczowniczy. Komuniści zmusili ich do osiedlenia się, ale kazachskie wioski odróżniają się od rosyjskich czy polskich choćby tym, że niemal nie ma w nich pól (koczownicy się nie grodzili), a główne zwierzęta gospodarskie to owce. W wioskach kazachskich są też meczety, podczas gdy w rosyjskich – cerkwie, a w polskich czy niemieckich (choć Niemcy w większości wyjechali do RFN) – kościoły.

Nazarbayew skutecznie utrzymywał spokój, nie dopuszczając do waśni narodowościowych. Między innymi dzięki temu obecni zwłaszcza na północy kraju Rosjanie nie przejawiają skłonności do szukania wsparcia w Moskwie. Skutecznie ograniczał też ekstremizm, a muzułmanie stanowią 70 proc. ludności. Islam i jego struktury są ściśle kontrolowane przez władze.

Gdy zabraknie pierwszego prezydenta Kazachstanu, potrzebny będzie ogromny wysiłek, by utrzymać stabilność kraju

mieszkańcy wsi wydzierżawili ją firmie należącej do prywatnego farmera. Ma aż 30 tys. ha. Gospodarstwo gigant? – U nas można mówić o dochodowości, jeśli jest co najmniej 2 tys. ha – śmieje się akim (wójt) Wiaczesław Dembicki.

W POLITYCE BEZ ZMIAN

Na razie system polityczny Kazachstanu z pewnością pozostanie bez zmian. Partia Nur Otan nadal będzie u władzy, „koncesjonowani” opozycjoniści z Demokratycznej Partii Kazachstanu Ak Żoł (siedem miejsc w parlamencie) i Komunistycznej Ludowej Partii Kazachstanu (również siedem miejsc) nie odgrywają większej roli. Centrowo-Ludowo-Demokratyczna Partia Patriotyczna Aulaj jest nieobecna w parlamencie (ostatnio dostała 2 proc. głosów), a radykalnie opozycyjna Ogólnonarodowa Partia Socjaldemokratyczna w ostatnich wyborach

Dotychczasowy prezydent umiejętnie lawirował między potężnymi sąsiadami, Rosją i Chinami. Co prawda na głównego partnera wybrał Rosję, współtworząc z nią Eurazjatycką Unię Gospodarczą, ale wojny handlowe z tym krajem nauczyły Kazachów ostrożności.

Przyszły następca Nazarbayewa – czy będzie to obecny szef państwa (były premier, w przeszłości m.in. dyrektor generalny biura ONZ w Genewie), czy Dariga Nazarbayewa, czy jeszcze ktoś inny – będzie musiał odnaleźć się w tej niesłychanie skomplikowanej sytuacji. Dopóki Nazarbayew będzie żył, a stan zdrowia pozwoli mu na działanie, dopóty będzie łatwiej. Jednak gdy pierwszy prezydent Kazachstanu zabraknie, potrzebny będzie ogromny wysiłek, by utrzymać stabilność tego państwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem naukowym na AFIB Vistula i współpracownikiem tygodnika „Idziemy”.

Słyszeli już państwo o tym, że Warszawa jest bogatsza od Wiednia? Według Eurostatu nasza stolica (wraz z dziewięcioma okolicznymi powiatami, które wchodzą w skład „statystycznego” regionu Warsaw-Capital) znalazła się na wysokim 19. miejscu (na 281) spośród europejskich regionów pod względem PKB per capita według parytetu siły nabywczej. Na przeciętnego warszawiaka (i „okołowarszawiaka”) przypada 152 proc. średniej unijnej – niewiele mniej niż w Bremie czy holenderskim Utrechcie, ale za to więcej niż w Kolonii, Madrycie czy prowincji Antwerpii.

Dane te można jednak różnie interpretować. Chętnie do tego sięgają politycy, jednostronnie ukazując nam rzeczywistość tak, byśmy uwierzyli im, że jest super albo że przeciwnie – tylko krok dzieli nas od katastrofy. Z reguły rzeczywistość jest jednak bardziej złożona. Dane statystyczne mogą powiedzieć nam wiele ciekawego o tym, jak wygląda np. sytuacja gospodarcza w poszczególnych częściach naszego kraju. I zweryfikować obiegowe opinie na temat gospodarki.

WARSZAWA BOGATSZA?

Wróćmy do zaskakującej informacji, jakoby nasza stolica była bogatsza od stolicy Austrii. PKB jest wskaźnikiem produkcji, nie majątku. Aby ujednolicić dane, PKB przelicza się na euro. Jednak w przypadku korzystania z parytetu siły nabywczej stosuje się przelicznik pozwalający nam uzmysłwić sobie realną wartość pieniędzy w danym miejscu – za równowartość jednego euro możemy kupić wiele więcej w podkarpackim mieście niż w centrum Londynu. Dla przeciętnego Polaka ma to większe znaczenie, jednak działa także w drugą stronę. PKB według parytetu siły nabywczej różni się od zwykłego PKB tym, czym różnią się zakupy na Malcie dla krośnianina i mieszkańca Malty.

Gdy porównamy PKB na głowę z parytetem siły nabywczej i bez niego, możemy przeżyć szok. Gdy nie weźmiemy pod uwagę parytetu siły nabywczej, okaże się, że stolica Austrii... relatywnie się bogaci, bo PKB per capita rośnie do poziomu 167 proc. średniej unijnej. Z kolei średnia Warszawy spada poniżej średniej – do 89 proc. I tak straciliśmy Warszawę z niebios do pozycji europejskich średniaków, i to wcale nie tych najsilniejszych – w okolicy Budapesztu, rolniczej Marchii we Włoszech czy



Stefan Sękowski

Na podstawie unijnych statystyk można stwierdzić jednocześnie, że Warszawa jest bogatsza od Wiednia lub biedniejsza od wschodnich Niemiec

Meklemburgii-Pomorza Przedniego, najbiedniejszego landu w Niemczech.

Ponadto warszawski PKB może być przeszacowany (wiedeński zresztą też). W tak scentralizowanym (i nie najlepiej skomunikowanym) kraju jak nasz to do stolicy najczęściej ściągają inwestorzy. Tutaj wiele firm zakłada swoje siedziby – i nawet jeśli mają one oddziały w terenie, to te oddziały często pracują (o ile nie są np. spółkami córkami z siedzibami poza stolicą) na PKB stolicy właśnie. Nic dziwnego, że taki Inner London-West ma PKB per capita według siły nabywczej na poziomie 626 proc. średniej unijnej. To tam mieści się londyńskie City pełne siedzib i biur banków czy firm ubezpieczeniowych.

NIERÓWNOŚCI?

Warszawa jest na pewno bogatsza od jakiegokolwiek województwa w Polsce (włącznie z resztą województwa mazowieckiego). Tylko ona wystaje powyżej

unijnej średniej, i to tylko przy uwzględnieniu parytetu siły nabywczej. Na 13. miejscu od końca jest województwo lubelskie (48 proc. średniej), a warmińsko-mazurskie i podkarpackie na 17. (49 proc.). Jednak gdy odejmiemy siłę nabywczą, okaże się, że Lubelszczyzna ma raptem... 28 proc. średniej unijnego PKB na głowę, a nie jest przedostatnia w UE tylko dzięki temu, że w 2007 r. do Unii wstąpiły Bułgaria i Rumunia, a wraz z nimi wiele ich najbiedniejszych regionów.

Mamy do czynienia w Polsce z dużymi nierównościami regionalnymi i de facto włączamy się w ogonie Unii Europejskiej (40 proc. PKB per capita jako całość, tylko przed Bułgarią, Chorwacją i Rumunią). Tym bardziej że – jeśli spojrzymy na dane dotyczące dochodu dysponowanego przypadającego na gospodarstwo domowe (według PSN) – to jest właściwie tak samo, z tą różnicą, że w tej kategorii nawet Warszawa nie wystaje powyżej średniej unijnej. Co

Nierówna gonitwa



więcej, jak wskazywał np. ekonomista Hans Kramar w artykule „Regional convergence and economic development in the EU”, jeśli chodzi o PKB, to wraz z integracją europejską rosły nierówności pomiędzy poszczególnymi regionami nowych państw członkowskich. – Rozwój następuje, ale powoli. Istnieje problem z efektywnością wykorzystania funduszy UE. Analiza strategii rozwoju miast wskazuje, że zbyt mało uwagi poświęca się gospodarce i konkurencyjności. Przykładem tego jest Lublin – regionalne centrum wzrostu – mówi politolog dr Mariusz Sienkiewicz z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

BIEDNI BIEDNIEJĄ?

Gdy spojrzymy na cały okres naszego członkostwa w UE, to okaże się, że pokonałmy naprawdę długą drogę. Wystarczy choćby spojrzeć na to, co się dzieje w województwie lubelskim (jako polski „stabeusz” może być dobrym punktem odniesienia). Jeszcze w 2004 r. PKB per capita dla tego województwa sięgał 34 proc. unijnej średniej. Dzisiaj jest to 48 proc. (do tej statystyki doliczono także te państwa, które później wstąpiły do UE). To ogromny skok. Doktor Małgorzata Starczewska-Krzysztozek z Uniwersytetu Warszawskiego wskazuje, że w latach 2011–2017 takie województwa jak lubelskie, podkarpackie czy podlaskie nadganiały UE szybciej niż

cała Polska. – Można mówić, że szklanka jest do połowy pusta, ale te województwa dobrze radzą sobie z napełnianiem tej szklanki – tłumaczy „Do Rzeczy”.

W błędzie będzie ktoś, kto stwierdzi na tej podstawie, że słabszym łatwiej się odbić i osiągnąć krótkoterminowo wysoki wzrost – bo, gdy spojrzymy na wszystkie województwa, nie ma tu reguły. Doktor Starczewska-Krzysztozek zwraca uwagę na to, że ponadprzeciętnie szybko rozwijały się w tym okresie także przykładowo takie województwa jak pomorskie czy wielkopolskie, już wcześniej znajdujące się w czołówce. Z kolei względnie wolno „goniło Europę” województwo świętokrzyskie, a także lider Polski – mazowieckie (liczone już z Warszawą), śląskie czy dolnośląskie.

KŁOPOT Z GONIENIEM

Wzrost – w jednym przypadku szybszy, w innym wolniejszy – dotyczy całego kraju. Od 2004 r. PKB per capita PSN wzrósł z 46 proc. unijnej średniej do 70 proc. dziś. Pod wieloma względami nasza gospodarka zaczyna się upodabniać (zgodnie z teorią konwergencji) do państw „starej” Unii. Zmienia się struktura zatrudnienia (coraz więcej osób pracuje w usługach, coraz mniej w rolnictwie). O rosnącym dobrobycie Polaków może świadczyć zmiana struktury konsumpcji – jak podaje Eurostat, w 2018 r. wydawaliśmy najmniejszą część naszych

pieniędzy na żywność w historii; rosną z kolei wydatki na jedzenie poza domem.

Jak pisali w 2017 r. ekonomiści z Narodowego Banku Polskiego w opracowaniu „Is Central and Eastern Europe converging towards the EU-15?”, nasz wzrost „będzie zależał głównie od czynników wpływających na strukturalną konkurencyjność, szczególnie aktywność innowacyjną, środowisko instytucjonalne i polityki (lub ich brak) ukierunkowane na zmniejszanie wpływu zmian demograficznych na rynek pracy”. Wraz z rozwojem maleje znaczenie niskich płac, a po 2021 r. wyraźnie mniej pieniędzy będzie do nas wpływać w ramach polityki strukturalnej UE.

Największy potencjał innowacyjności (o takim wskaźniku pisze Andrzej Pawlik w „Biuletynie Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego” nr 2/2018) mają województwa mazowieckie, śląskie, dolnośląskie, wielkopolskie i małopolskie (cztery pierwsze znajdują się wśród pięciu województw o najwyższym PKB per capita PSN), najmniejszy zaś – świętokrzyskie, podlaskie, warmińsko-mazurskie, zachodniopomorskie i lubuskie (trzy pierwsze są wśród pięciu „najbiedniejszych” województw).

Czy jest nadzieja dla biedniejszych województw? – Te regiony czekają na swój czas, aż dotrą tam marketerzy, znawcy biznesu, innowatorzy światowej klasy i wykorzystają umiejętnie ich wielki potencjał. A on przecież tam jest. Przykładowo okolice Puszczy Białowieskiej to najczystsze tereny, nadające się świetnie pod uprawę roślin i ich wykorzystanie dla przemysłu, usług i handlu z zastosowaniem najnowszych technologii. Do tego potrzeba jednak zaplanowania długookresowych strategicznych programów wsparcia i współpracy między przedsiębiorcami, bankami i uczelniami, które mogłyby dostarczać wiedzy i kapitału – mówi prof. Agnieszka Ziomek z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Zdaniem dr Starczewskiej-Krzysztozek trzeba postawić na nowoczesne technologie. – Europa nie ma wyjścia: musi przeznaczyć więcej pieniędzy na kwestie cyfrowe. A my musimy się tak ustawić, by i nam jak najwięcej skapnęło w tym zakresie – mówi.

Jest z czego być zadowolonym, ale nie można zasypiać gruszek w popiele – inni nie będą na nas czekać. Zarówno na Warszawę, jak i na biedniejsze części kraju.

za Europą



ŁUKASZ ZBORALSKI: Dlaczego ARP postanowiła skupić się teraz na małych i średnich przedsiębiorcach?

PAWEŁ KOLCZYŃSKI: Nie powiedziałbym, że się skupiamy na nich, raczej uzupełniamy ofertę o te obszary, które są ważne dla rozwoju gospodarczego państwa. Jak wspominał premier Mateusz Morawiecki, dostaliśmy zadanie otworzenia się na małe i średnie przedsiębiorstwa, które cały czas potrzebują kompleksowego wsparcia. Na rynku cały czas jest pewna luka – grupa „wykluczonych” przedsiębiorstw, które ze względu na różnorakie ograniczenia nie mogą skorzystać z istniejących dziś rozwiązań oferowanych na rynku, m.in. finansowym. Mówimy tu o takich firmach, które np. działają zbyt krótko lub przechodzą akurat trudności i nie udaje im się uzyskać kredytu w banku. My chcemy również takim przedsiębiorcom umożliwić uzyskanie finansowania.

Agencja Rozwoju Przemysłu do tej pory utożsamiana z tradycyjnym przemysłem, restrukturyzacjami w trudnych branżach, chce dywersyfikować swoją działalność. Jesteśmy dzisiaj na takim etapie, że na swoją działalność misyjną musimy zarabiać, ale żeby to zrobić, musimy szukać obszarów zapewniających przychody.

Mam rozumieć, że na restrukturyzacji dużych firm i pożyczkach dla nich nie da się już dużo zarobić, bo takich jest coraz mniej?

Da się zarobić, ale w długookresowej perspektywie. Zwrot z inwestycji, bo nie mówimy tylko o akcji pożyczkowej na inwestycje, jest zwykle liczony na lata i odroczony w czasie. Natomiast w ARP musimy mieć zapewnioną stabilną sytuację, stabilne przychody w całym okresie – także gdy oczekujemy na zwrot z inwestycji kapitałowych. Dlatego zakres działalności ARP uzupełniamy teraz o ofertę dla małych i średnich przedsiębiorstw. Zwróć od razu uwagę, że to, co oferujemy, uzupełnia także ofertę bankową i jest skierowane do tych, którzy nie wpisują się w politykę kredytową i zasady obowiązujące banki.

System bankowy zasady wytworzył w jakimś celu, m.in. dla zabezpieczenia pieniędzy ludzi, którzy je w bankach trzymają. Wy wychodzicie z ofertą do przedsiębiorców, którzy dla banków są zbyt ryzykowni. Jak się zabezpieczycie przed ponoszeniem takiego ryzyka?



Z Pawłem Kolczyńskim, wiceprezesem zarządu Agencji Rozwoju Przemysłu
rozmawia Łukasz Zboralski

Wesprzemy przedsiębiorców

Umożliwiamy małym i średnim przedsiębiorcom pozyskanie finansowania, ale robimy to w sposób maksymalnie bezpieczny dla ARP i gwarantujący odpowiednią stopę zwrotu.

Jak to zrobiliśmy? Nasz katalog zabezpieczeń wzrasta wraz ze wzrostem ryzyka dotyczącego transakcji. Czyli im krócej działa przedsiębiorca, im są większe ryzyka współpracy, tym katalog jest większy. Stosujemy standardowe zabezpieczenia, oczywiście najbardziej bezpiecznymi i wpływającymi na wysokość marży są zabezpieczenia w oparciu o majątek, najlepszym jest oczywiście nieruchomości...

Jednak pod zastaw nieruchomości to i bank będzie chciał dać pożyczkę!

Nie zawsze. Szczególnie jeśli mówimy o podmiotach działających zbyt krótko. Wówczas bank zwykle oczekuje szczególnego sposobu zabezpieczenia. A my możemy w pewnych aspektach

być dużo bardziej elastyczni. Możemy zaoferować lepszy okres karencji spłaty kapitału głównego. W przypadku banku jest to maksymalnie sześć miesięcy, u nas w szczególnych wypadkach możemy wydłużyć to do kilkunastu miesięcy, by np. umożliwić przedsiębiorcy przeprowadzenie inwestycji w linię produkcyjną i jej uruchomienie. W ten sposób przedsiębiorca pozyskuje dodatkowe przychody umożliwiające spłatę również kapitału głównego. Jesteśmy też w stanie podejść projektowo do każdej transakcji i zapewnić dłuższe okresy finansowania niż bankowe. Finansowanie biznesu zamyka się zwykle siedmioletnim horyzontem czasowym, w ARP możemy tę granicę przesunąć.

Podpisaliśmy też porozumienie z Krajową Grupą Poręczeniową i 16 funduszami poręczeniowymi, które umożliwiają również udzielenie pożyczki dla przedsiębiorstwa pod zabezpieczenie w formie poręczenia udzielonego przez



Czyli przychodzi do ARP średni przedsiębiorca i mówi, że chce pożyczkę na nową linię produkcyjną. Udzielicie pożyczki, gdy waszym zdaniem jest szansa, iż to się mu biznesowo uda?

Zawsze zaczynamy od pełnej analizy sytuacji przedsiębiorcy. Żeby ta analiza była szybsza i bardziej dokładna, wprowadziliśmy ostatnio aplikację, która pozwala naszym analitykom w prosty sposób ocenić finansowy stan firmy i jej zdolności do spłaty pożyczki. Robimy taką analizę jak każda instytucja finansowa. I to jest podstawą do procedowania transakcji. Co więcej – jesteśmy w stanie przedsiębiorcy doradzić. Centra obsługi przedsiębiorców, podobne do tego, które otworzyliśmy właśnie we Wrocławiu, będą miejscami, w których przedsiębiorca dowie się o swojej zdolności do zaciągania pożyczki, jej wysokości oraz tego, jak zbudować strukturę finansowania umożliwiającą pozyskanie środków i ich spłacenie.

Ile takich centrów obsługi przedsiębiorców powstanie?

Przewidujemy, że będzie ich maksymalnie siedem. W kwietniu ruszy COP w Katowicach, tuż po majowym weekendzie chcemy uruchomić takie biuro w Trójmieście. Oczywiście jest i centrala ARP w Warszawie, gdzie również przedsiębiorców zapraszamy i jesteśmy otwarci na rozmowy.

fundusz poręczeniowy. To powoduje, że ryzyko po stronie ARP jest obniżone do poziomu wynikającego z poręczenia, a z drugiej strony otwieramy funduszom poręczeniowym możliwość prowadzenia akcji poręczeniowej opierającej się na środkach unijnych. Co więcej, dopóki poręczenia będą opierały się o te niewykorzystane środki z UE, dopóty będą dla przedsiębiorców bezpłatne.

Ile będzie w ARP pieniędzy rocznie na takie wsparcie dla przedsiębiorców?

Liczymy, że w tym roku – i to też jest dowód, że nie mierzymy się z bankami, bo nasze zdolności kapitałowe są ograniczone – przeznaczymy do 200 mln zł na pożyczki dla sektora małych i średnich firm.

Dodam, że nie chcemy być konkurencją dla innych instytucji i narzędzi już dostępnych w otoczeniu przedsiębiorców. Dla początkujących przedsiębiorców ofertę ma PARP, gdzie poziom

Jest grupa „wykluczonych” przedsiębiorstw, które nie mogą dziś skorzystać z rozwiązań oferowanych na rynku m.in. finansowym

zaangażowania wynosi do 500 tys. zł i są dedykowane pożyczki z wielu programów unijnych.

My zakładamy dwa podstawowe kryteria – po pierwsze, że wysokość udzielanego przez nas finansowania nie będzie mniejsza niż 800 tys. zł, a po drugie, że przedsiębiorca będzie musiał funkcjonować na rynku co najmniej 12 miesięcy i że jego roczne przychody nie mogą być mniejsze niż 4 mln zł. Mówimy więc o programie dla nieco większych małych przedsiębiorców i tych średnich.

Będzie też specjalna spółka ARP Leasing. To dlatego, że przedsiębiorcom trudno jest leasingować specjalistyczny sprzęt i wy zamierzacie się tym zająć?

Z doświadczeń samej ARP, która taką działalność leasingową prowadziła, wiemy, że jest potrzeba uzupełnienia oferty o podmiot leasingujący specjalistyczne urządzenia czy linie produkcyjne. To są przedmioty, które instytucje bankowe i te z nimi powiązane zaliczają do problematycznych oraz trudnych do uzyskania w leasingu. My uważamy, że rozszerzenie tej oferty jest możliwe. Nie chcemy tworzyć kolejnej spółki flotowej, finansującej samochody. No, chyba że będą to pojazdy naprawdę specjalistyczne.

Warto dodać, że takiej usługi nie ma jeszcze w obrębie grupy PFR, w której działamy. Dlatego dokładamy kolejną cegiełkę do zapewnienia pełnej oferty dla przedsiębiorców w grupie.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Obiecanki PO, obietnice PiS?

Wyborcy – ta ich część, która była w stanie przechrzcić szalę zwycięstwa, nie mogąc się doczekać realizacji liberalnych ekonomicznych obietnic PO ani po wyborach w 2007 r., ani w 2011 r. – w wyborach w 2015 r. postawiła na socjalne obietnice PiS.

Co obiecywała Platforma? Właściwie to samo co PiS – więcej pieniędzy w kieszeniach obywateli. Rzecz jasna, PO miała na myśli nie do końca tych samych obywateli co PiS. Platforma przyrzekła, że redukując wysokość państwowych danin, po prostu zostawi więcej pieniędzy w kieszeniach tych podatników, którzy je wypracowują. Jak pamiętamy, podatki miały być płaskie i równe dla wszystkich – słynne 3 x 15 proc.: jedna stawka VAT, PIT i CIT, i system emerytalny też taki sam dla wszystkich, a więc tańszy dla większości – tych, którzy nie musieliby dalej płacić za emerytalne przywileje rolników, górników itd. Jak wiadomo, z różnych powodów (kryzys plus nikła zdolność do skutecznego ściągania podatków, a więc brak pieniędzy, a do tego wielkie lenistwo) PO żadnej z tych obietnic nie zrealizowała, przez co zmieniły się one w obiecanki.

to dlatego w 2015 r. część zawiedzionych wyborców przeniosła swe głosy na PiS, który też obiecywał więcej pieniędzy w portfelach – lecz poprzez ich transfer z kieszeni jednych do kieszeni innych (i to nie zawsze od bogatszych do biedniejszych). Z tym że PiS, w odróżnieniu od PO, swe obietnice, przynajmniej do tej pory, w większości realizuje:

„500+”, niższy wiek emerytalny, podwyżka niskich emerytur, emerytury matczyne, obniżenie CIT i ZUS dla małych firm. A teraz chce jeszcze zaserwować „trzynaste” emerytury i renty, PIT obniżyć z 18 do 17 proc. i zapewnić zerowy PIT także dla nierolników do 26. roku życia. Inna sprawa, że o ile na wcześniejsze prezenty pieniędzy na razie starcza – dzięki determinacji rządu PiS w domykaniu luki podatkowej i świetnej koniunkturze, o tyle na najnowsze raczej starczać nie będzie, zwłaszcza gdy nadejdzie dekonunktura. A niedawne słowa premiera i zachowanie minister finansów potwierdzają powagę tych obaw.

Wszelako lwiej części wyborców to, co się stanie z deficytem i długiem państwa za rok lub pięć lat, dziś nie interesuje. Ci, którzy już dostają transferowe prezenty od PiS, na pewno o nich nie zapominają, a ci, którzy mają je dostać wkrótce, pewnie już się na nie cieszą. A wyborców tych są grube miliony. I w związku z tym niewielu z nich dziś poważnie traktuje nie tylko liberalne ekonomiczne obietnice niewiarygodnej PO (jeśli się takie w jej chaosie programowym jeszcze trafiają), lecz również na wskroś liberalne ekonomiczne oferty innych ugrupowań – i małych, jak ruch Kukiza, i mikroskopijnych – jak „kanapy” Korwin-Mikkego, Lubnauer, Gwiżdowskiego i Petru.

I właśnie pogrzebanie wyborczych szans liberalnych rozwiązań ekonomicznych – na lata – jest główną, historyczną winą PO Tuska. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Cena czy pochodzenie

Władze Warszawy wybrały koreańską firmę jako dostawcę tramwajów dla stolicy. Koreańczycy pokonali polską firmę, ponieważ zaofiarowali znacznie niższą cenę za tę samą liczbę tramwajów. Czy w zamówieniach publicznych należy się kierować ceną, czy uwzględniać inne czynniki związane z pochodzeniem firmy?

Po pierwsze: co decyduje o tym, że oferta zagraniczna jest tańsza? Jeżeli zagraniczna firma pochodzi z kraju droższego niż Polska, to wiele kosztów ma większych niż

może być finansowany zyskami z innych rynków lub przez jawne lub ukryte subsydia rządu w macierzystym kraju.

Jeżeli firma jest bardziej wydajna, to słusznie wygrywa, bo po prostu jest lepsza. Jednak jeżeli w grę wchodzi czynnik drugi, to wybierając firmę zagraniczną, sektor publiczny karze firmy polskie za niską jakość rządzenia. Natomiast jeżeli w grę wchodzi czynnik trzeci, to znaczy, że polski sektor publiczny wspiera strategię ekspansji firm zagranicznych lub obcych rządów na rodzimym rynku. Ciekawe, czy urzędnicy podejmujący decyzje znają odpowiedzi na postawione te pytania i jakie są fakty w przypadku przetargu na warszawskie tramwaje.

Jeżeli firma jest bardziej wydajna, to słusznie wygrywa, bo po prostu jest lepsza

Decydenci powinni też uwzględnić inne ważne czynniki. Czy w wyniku realizacji kontraktu powstaną dobre i trwałe miejsca pracy w Polsce? Czy kontrakt prowadzi do inwestycji w badania i rozwój w Polsce? Gdzie będą opodatkowane zyski z kontraktu i wynikające bezpośrednio i pośrednio z realizacji kontraktu? Odpowiedzi na te pytania pozwalają na przeprowadzenie rachunku opłacalności kontraktu w szerszym kontekście analizy i na podjęcie właściwej decyzji.

W książce „Go global” opisałem przykłady dwóch polskich firm odnoszących sukcesy międzynarodowe, których powstanie było związane z realizacją kontraktów dla sektora publicznego na początku ich istnienia. O tym też warto pamiętać. ©©

firma z Polski: płaci więcej za wynajem nieruchomości, płaci więcej pracownikom, ma wyższe narzuty wynikające z kosztów zarządu itp. oraz musi ponieść koszty transportu produktów do Polski. Nie wiem, gdzie koreańska firma będzie produkowała i montowała tramwaje, ale jeżeli w Korei, to wówczas koszty transportu będą znaczne.

Polska firma może być droższa z trzech powodów: koreańska jest bardziej wydajna, funkcjonuje w państwie lepiej zorganizowanym i o niższych podatkach albo stosuje dumping cenowy w celu zdobycia nowego rynku, który

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: MOTO G7 PLUS

Dwa niezłe aparaty fotograficzne, minimalistyczny design, naprawdę szybkie ładowanie, NFC, dual SIM i dobry stosunek jakości do ceny – to największe zalety jednego z najlepszych smartfonów ze średniej półki.

Testowany model to telefon dla ludu, który ma stanowić o wiele tańszą alternatywę dla najdroższych flagowców. G7 Plus ma więc duży wyświetlacz (przekątna wynosi 6,2 cala) o całkiem niezłych parametrach (rozdzielczość 2270 x 1080, proporcje 19:9), szybki czytnik linii papilarnych, złącza USB typu C oraz słuchawkowe (mini-jack 3,5 mm). Plusem jest też dostarczana w zestawie ze smartfonem ochronna obudowa. G7 Plus jest też wyposażony w moduł NFC, który pozwala na łatwe dokonywanie telefonem płatności zbliżeniowych, a nawet w radio FM.

Dodatkowo testowany smartfon ma dwa niezłe tylne aparaty fotograficzne (16 Mpix, f/1.7 oraz 5 Mpix, f/2.2) oraz przyzwoity aparat przedni. Jakość zdjęć jak za taką cenę smartfona jest imponująca. Podczas robienia zdjęć przy słabszym świetle oraz kręcenia filmików 4K przydatna jest też optyczna stabilizacja obrazu. Fotografie mają więcej detali oraz wyraźnie mniej szumów niż w poprzednich modelach Moto.

Pamięć RAM wynosi 4 GB, a wbudowana pamięć flash ma wielkość 64 GB (dodatkowo można ją rozszerzyć za pomocą karty microSD o pojemności



do 512 GB). Sercem urządzenia jest całkiem szybki ośmiordzeniowy procesor Snapdragon 636, a możliwym najnowszy system operacyjny An-

droid 9 Pie. Zaletą jest też opcja superszybkiego ładowania, dzięki której po zaledwie 15 minutach ładowania bateria w smartfonie ładuje się niemal do połowy.

Największym minusem tego modelu jest zbyt szybko wyczerpująca się bateria (o pojemności 3000 mAh), która powinna jednak wystarczyć na ok. 8–10 godzin użytkowania. Brakuje też diody informującej o niewyświetlonych powiadomieniach oraz wodoszczelnej obudowy (jest jednak przynajmniej hydrofobowa powłoka, która chroni przed przypadkowymi zalaniem czy lekkim deszczem). Poza tym osobom, które przesiadły się na Moto G7 Plus ze smartfonów z ekranami wykonanymi w technologii AMOLED, kolory mogą wydawać się za mało intensywne, a czernie zbyt jasne. Wyświetlacz LCD pomógł jednak inżynierom w obniżeniu ceny testowanego smartfona.

Mimo mniejszych i większych wad G7 Plus to ciekawa propozycja dla tych, których nie stać na flagowca za kilka tysięcy lub którzy, choć mogliby sobie na to pozwolić, wolą te pieniądze wydać inaczej. Za smartfon Motoroli, na którym płynnie działa większość aplikacji, trzeba zapłacić 1399 zł. ©

Jacek Przybylski

SEREK Z RANA...

Nie trzeba już niczym Roman Kluska hodować owiec, by na śniadanko zjeść świeży ser własnej produkcji. A co trzeba mieć? Gadżet o nazwie, która w zasadzie mówi już wszystko: Fromaggio, czyli domowy serowar, pozwalający na tworzenie kilku odmian serów. Wystarczy: urządzenie nieco większe niż ekspres do kawy, pakiet odpowiednich kultur bakterii, oczywiście mleko, dodatki smakowe i specjalna połączona z Fromaggio aplikacja na smartfon, w której zaprogramujemy urządzenie, wybierając rodzaj sera, który chcemy otrzymać.

Fromaggio produkuje prawie każdy rodzaj sera miękkiego lub twardego: ser śmietankowy, chevre, ricotta, cottage, mozzarella, parmezan, camembert, comté, cheddar, bleu, colby, provolone, kozłowy, bezlaktozowy, a nawet wegański. Przygotowanie świeżych serów, takich jak mozzarella, może zająć zaledwie 30 minut, a w przypadku bardziej złożonych serów twardych – do 48 godzin.

Cena urządzenia, które można zamawiać na Kickstarterze, to ok. 1,6 tys. zł (trzeba dopłacić ok. 200 zł za kilka pakietów dodatków), dostawa w maju.



OKULARY KOMPUTEROWE

Filmy science fiction klasy B z lat 70. i 80. prezentowały naukowców siedzących przy wielkich, buczących i parszczących dymem ekranach czegoś na kształt komputerów, w białych kitach i okularach sprawiających, że sami wyglądali niczym upiorne modliszki. I to właśnie się dzieje. Co prawda kompy już dymem nie zioną, za to „modliszkowy look” pojawi się na rynku za sprawą Barner 2.0, czyli specjalnych okularów chroniących oczy przed błękitnym promieniowaniem z ekranu komputera.

Miłośnicy estetyki będą rozczarowani, miłośnicy futurystycznego image'u gadżetów – podobnie jak zwolennicy zdrowia – zachwyceni. Okrągłe okulary dzięki specjalnemu, chronionemu tajemnicą handlową szklę chronią soczewki przed chorobą zwaną Computer Vision Syndrome, a tym samym oczy przed zmęczeniem. De facto pozwolą także lepiej spać (oczywiście po pracy).

Barner 2.0 przygotowano w trzech różnych wersjach oprawek, a można je zamawiać na portalu Indiegogo w cenie ok. 260 zł za sztukę. Dostawa w kwietniu. ©

Wojciech Wybranowski



Bolidy z laboratorium



Łukasz Majchrzyk

Za zwycięstwami w Formule 1 stoi armia ludzi, którzy projektują i wykonują bolidy. Ich praca jest równie ważna, jak i umiejętności kierowców. A może nawet ważniejsza



Przed rozpoczęciem każdego sezonu trwa wyścig konstruktorów, inżynierów. To oni w znacznej mierze decydują o tym, kto zdobędzie mistrzostwo świata. Często już przed rozpoczęciem wyścigu kierowca wie, że nie ma szans walczyć o zwycięstwo – jeśli inżynier przygotuje zamiast szybkiego auta „wóz z węglem”, który sprawia kłopoty na zakrętach, to nawet najlepszy zawodnik nie stanie na podium.

Dlatego tak ważne jest, kto kogo zdoła przechrzyć, wymyślić nowe rozwiązania, których nie zabrania regulamin. Kto przygotuje lepszy samochód, który będzie gnał na prostych odcinkach, wyprzedzał bolidy rywali, a jednocześnie prowadził się wygodnie i bezproblemowo? Co można dołożyć do konstrukcji, a co z niej zdjąć? Gdzie umieścić owiewki? Jaki kształt ma mieć nos samochodu, a jaki wygląd tylne skrzydło? Nawet rozmieszczenie lusterek jest ważne, bo jeśli zostaną źle zaprojektowane, to kierowca może tracić tysięczne części sekundy na każdym okrążeniu, a to już

może ostatecznie kosztować zwycięstwo w wyścigu.

NAJWAŻNIEJSZY TEST

Robert Kubica od dawna ma opinię jednego z najlepszych „inżynierów” w środowisku kierowców. Potrafi doskonale wyczuć samochód i przekazać swoje uwagi projektantom, którzy dzięki temu mają choć trochę łatwiejszą pracę. Bo co innego symulatory i nawet najdoskonalsze programy komputerowe, a co innego rzeczywiste warunki na torze. Każdą z ok. 2,5 tys. części, z których składa się samochód Formuły 1, trzeba przetestować w realnych warunkach. Dlatego tak ważne są zimowe testy, które ze względu na cięcie kosztów ograniczono tylko do ośmiu dni i dlatego tak szeroko komentowane było spóźnienie Williamsa.

Nie dość, że w poprzednim sezonie był to zdecydowanie najsłabszy zespół w stawce teamów Formuły 1, to jeszcze nie potrafił się wyrobić na czas z zaprojektowaniem nowych rozwiązań. Kubica wyjechał na tor w środę po południu,

zamiast w poniedziałek rano i potem narzekał, że taką stratę trudno nadrobić. Okazało się, że skopiowanie kilku rozwiązań z samochodu Mercedesa, które przyniósł ze sobą Paddy Lowe (wcześniej w niemieckiej ekipie), nie wystarczy do zwycięstw, bo wszystko musi do siebie idealnie pasować.

Pracę dziesiątek inżynierów oraz mechaników trzeba dobrze skoordynować i tak nią zarządzać, żeby wydobyć to, co najlepsze. W centrum projektowym Renault hierarchia jest maksymalnie uproszczona, a każdy pracownik może przyjść z pomysłem do szefa Boba Bella. Pomysły są testowane w ciągu kilku tygodni albo nawet dni i ewentualnie wprowadzane do konstrukcji samochodu.

PENIĄDZE TO WSZYSTKO

Zimowe testy to jeden z najważniejszych elementów sezonu i tak naprawdę, jeśli popytać wśród inżynierów, to najchętniej rozciągnęliby je na więcej niż osiem dni, żeby zebrać więcej danych. Problem polega na tym, że nie wszystkich byłoby na



FOT. WILLIAMS RACING

przepisy, to przynajmniej niech sytuacja będzie na tyle zagmatwana, żeby specjaliści od układania przepisów mieli twarde orzechy do zgryzienia. W Formule 1 żartuje się, że prawdziwą wartość ulepszenia konstrukcji można poznać po reakcji komisji regulaminowej. Jeśli w następnym sezonie ta nowinka zostanie zakazana, to znaczy, że inżynierowie wykonali naprawdę dobrą robotę.

Weźmy choćby takie aktywne zawieszenie, nad którym niektóre zespoły pracowały już od końcówki lat 70. Można powiedzieć, że był to jeden z pierwszych elektronicznych wspomagaczy w bolidach Formuły 1. System miał zapewniać jazdę ze stałą, wysoką prędkością, pomagać w prowadzeniu. Te systemy pomogły kierowcom Williamsa w sezonie 1993 – Alain Prost i Ayrton Senna zdominowali wyścigi, a brytyjski zespół został jednocześnie zwycięzcą w klasyfikacji konstruktorów.

Rozwiązanie było tak dobre, a jednocześnie groziło uruchomieniem rujnującego wyścigu zbrojeń, że przed następnym sezonem władze Formuły 1 zakazały używania w bolidach aktywnego zawieszenia, kontroli trakcji, ABS. To nie znaczy, że zespoły nie próbują powrócić do tego rozwiązania. Mówi się, że system może w najbliższych latach powrócić, a lobbować za takim rozwiązaniem miałby zespół Mercedesu.

Przedstawiciele dominującego w ostatnich latach zespołu wskazują, że przywrócenie aktywnego zawieszenia nie zwiększyłoby kosztów, bo raz zaprojektowane rozwiązanie mogłoby być używane w bolidach przez wiele sezonów. Dodatkową korzyścią byłoby wspomaganie wyprzedzania przez zmniejszenie zawirowań powietrza z tyłu samochodu – dzięki temu wyścigi miałyby się stać bardziej widowiskowe.

HISTORIA ULEPSZEŃ

Historia Formuły 1 to właśnie historia takich ulepszeń, które pchały rywalizację do przodu. Nagle pojawiał się projektant, który wpadał na pomysł, że można by coś przesunąć, dodać lub odjąć. Sprawdzał, działało, a potem kopiowali to inni. Od czasów rydwanów i dylizansów każdy wiedział, że napęd pojazdu ma się znajdować z przodu. Bo jak inaczej można to zaprojektować? Okazało się jednak, że to, co sprawdza się przy zaprzęgach konnych, podczas wyścigów samochodowych, przy ogromnych prędkościach, prowadzi do podsterowności bolidu. Dlatego by więc nie przesunąć silnika za kierowcę, ale

jednocześnie umieścić go przed tylną osią? Uzyskujemy dzięki temu lepszy rozkład masy. Spora część zespołów patrzyła na to rozwiązanie nieufnie, ale kiedy ekipa Brabhama zdobyła dwa razy z rzędu (1959, 1960) tytuł mistrzowski, w następnym sezonie już wszyscy przesunęli silniki za plecy kierowców i ten standard obowiązuje do dziś.

Podobnie było z podwójnym dyfuzorem, który robił furorę w sezonie 2009. Przed startem władze Formuły 1 starały się ograniczyć liczbę elementów konstrukcyjnych mających wpływ na aerodynamikę. Została jednak mała luka w przepisach, dzięki której zespoły Brawna, Toyoty i Williamsa rozpoczęły sezon z podwójnym dyfuzorem, zamontowanym z tyłu auta, który generował ogromny docisk i pozwalał bolidom na osiąganie lepszych rezultatów.

Kierowcy zespołu Brawna wygrali dwa pierwsze wyścigi, a w świecie Formuły 1 oraz wśród kibiców rozgorzała dyskusja, czy to rozwiązanie jest zgodne z przepisami. Ostatecznie dwie instancje przyznały rację zespołom, które odważyły się na wprowadzenie innowacji, Brawn został mistrzem konstruktorów. Jednak dwa lata później to rewolucyjne rozwiązanie zostało zakazane.

Innowacji można szukać wszędzie i oczywiście można wydawać miliony dolarów na nowe rozwiązania, komputery oraz tunele aerodynamiczne, ale w tym świecie, gdzie wszystko jest zaplanowane co do setnych części milimetra, ciągle liczy się ludzka pomysłowość. Dlatego zespoły Formuły 1 szukają nie tylko talentów wśród kierowców, lecz także starają się wyłapywać najzdolniejszych inżynierów, bo może się okazać, że to ważniejsze niż utalentowany, młody kierowca.

Dlatego marka Infiniti (należy do grupy Renault i współpracuje z zespołem F1) uruchomiła akademię dla młodych inżynierów. Wiele osób chce się tam dostać (rocznie wpływa nawet ponad 12 tys. aplikacji) z całego świata, ale miejsc jest tylko siedem. Najlepsi spędzają sześć miesięcy w centrum technicznym Infiniti w Wielkiej Brytanii, a następne sześć miesięcy przyglądają się pracy zespołu Formuły 1. Podobnym tropem podąża Williams, który nawiązał nawet współpracę z marką Unilever, a tutaj selekcja jest równie ostra. Na efekty trzeba będzie poczekać kilka lat (programem mogą być objęci pasjonaci inżynierii w wieku 16–18 lat), ale warto być cierpliwym. Na genialne pomysły warto poczekać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

to stać. Najbogatsze ekipy, sponsorowane przez wielkie koncerny, takie jak Mercedes, Ferrari czy Red Bull, mogłyby testować rozwiązania w nieskończoność. Biedniejsi (co nie oznacza, że biedni, bo każdy zespół ma do dyspozycji dziesiątki milionów euro), musieliby skończyć prace wcześniej, więc dystans między liderami a resztą stawki jeszcze by się powiększył.

Władze Formuły 1 starają się do tego nie dopuścić, bo najbardziej straci na tym widowisko. Wprowadzają więc zmiany, które mają zaostrzyć rywalizację i spowodować, że odległości między bolidami się zmniejszą. To prawdziwa płatanina interesów i sprzecznych dążeń. A z drugiej strony stoją inżynierowie i właściciele zespołów, którzy starają się obejść te przepisy – tworzone przy udziale zespołów z myślą o tym, żeby były jak najbardziej szczelne – i wykorzystywać luki regulaminowe wielkości łebka od szpilki, żeby zamontować coś, co nie zostało zabronione.

A jeśli już nawet nie da się jednoznacznie wykazać, że dany element konstrukcji jest dokładnie zgodny z tym, co mówią



Katarzyna Pinkosz

Nowe terapie, które pojawiają się w ostatnich latach, są skuteczniejsze, ale drogie. Jednakże generują mniej powikłań, których leczenie jest jeszcze kosztowniejsze. Stać nas więc, by leczyć nowocześnie?

To jedno z pytań, które zadaliśmy podczas konferencji „Przyszłość ochrony zdrowia w Polsce 2019–2023” organizowanej przez „Do Rzeczy”. Zaraz za tym pytaniem pojawiło się kolejne: „Czy stać nas na to, by leczyć nienowocześnie i mało skutecznie, płacąc po latach wyższą cenę za powikłania?”. Do dyskusji zaprosiliśmy ekspertów, przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia, NFZ i pacjentów.

EKSPERCI PUNKTUJĄ

Doktor habilitowana Stanisława Bazan-Socha z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego leczy m.in. osoby z bardzo rzadką chorobą Fabry’ego. Takich chorych jest w Polsce ok. 80. Brak jednego z enzymów powoduje odkładanie się szkodliwych związków w każdej komórce, co powoduje spustoszenia w całym organizmie: niszczenie serca, nerek, powtarzające się udary mózgu. Mimo że już od kilkunastu lat jest dostępna w Europie tzw. enzymatyczna terapia zastępcza, w Polsce dostaje ją – charytatywnie od firmy farmaceutycznej – dwudziestu kilku chorych. Pozostali nie są leczeni.

– Rozmawiam z tymi pacjentami, to dla mnie bardzo trudne, kiedy za każdym razem mówię: „Niestety, nie mam jeszcze dla pana/pani terapii”. Nie potrafię odpowiedzieć, dlaczego nie, skoro jej efektywność została udowodniona już wiele lat temu, a choroba jest leczona we wszystkich krajach UE, poza Polską – mówiła dr Bazan-Socha.

W Polsce leczy się tylko skutki choroby: chore serce, niewydolne nerki, udar mózgu. To mało efektywne, bo brak enzymu nadal niszczy organizm, a zmiany, które w nim zachodzą, są nie do odwrócenia. Czy stać nas na takie pseudoleczenie?

W podobnej sytuacji jest część osób z chorobami zapalnymi jelit, takimi jak choroba Leśniowskiego-Crohna czy wrzodziejące zapalenie jelita grubego. W większości przypadków te autoimmunologiczne schorzenia dotyczą osób młodych. Stan zapalny toczący się w przewodzie pokarmowym powoduje m.in. silne bóle brzucha i częste biegunki wyniszczające organizm. U osób z ciężkimi postaciami choroby dochodzi do poważnych powikłań: w przewodzie pokarmowym pojawiają się przetoki,

staje na nie reagować. Są nowe terapie, które można by podać, niestety w Polsce nie ma ich w refundacji – mówiła prof. Grażyna Rydzewska, krajowa konsultant w dziedzinie gastroenterologii.

Brak właściwego leczenia to nie tylko cierpienie chorych, lecz także realne straty dla gospodarki, bo chorzy przebywają na zwolnieniach lub bardzo wcześnie przechodzą na renty. – Z raportów przygotowanych przez ekspertów Uczelni Łazarskiego wynika, że osoba chorująca na Leśniowskiego-



ropnie, zwężenia, krwawienia; często wtedy jedynym ratunkiem jest leczenie operacyjne, usunięcie fragmentu jelita, wyłonienie stomii czy nawet żywienie pozajelitowe. W wielu przypadkach tym powikłaniom można zapobiec, wdrażając odpowiednio wcześniej leczenie biologiczne. – Już po roku stosowania leków anty TNF-alfa 30–40 proc. chorych prze-

-Crohna przebywa przeciętnie ponad 30 dni w roku na zwolnieniach lekarskich. Nowoczesne terapie, skuteczniejsze niż dotychczasowe, mogłyby spowodować, że ci młodzi ludzie mogliby normalnie żyć i pracować – podkreślała prof. Rydzewska.

Skuteczniejszych terapii, o dodatkowej wartości dodanej – zapobiega-

nia zawałom serca, udarom mózgu, a przede wszystkim wydłużających życie – brakuje też w cukrzycy typu 2. – W innych krajach są dostępne od wielu lat, w Polsce nadal na nie czekamy. Wyniki badań klinicznych dwóch z tych leków okazały się szczególnie korzystne: wykazały, że terapie nie tylko obniżają poziom glukozy we krwi, lecz także chronią przed hipoglikemią (zbyt niskim poziomem cukru), której chorzy bardzo się obawiają, a przede wszystkim wydłużają życie – zapewniał



prof. Edward Franek kierujący Kliniką Chorób Wewnętrznych, Endokrynologii i Diabetologii szpitala MSWiA w Warszawie.

Na często nieefektywne leczenie osób starszych, mimo deklarowanej polityki senioralnej, zwróciła uwagę prof. Ewa Marcinowska-Suchowierska z Narodowej Rady Rozwoju przy

Prezydencie RP. Co trzecia kobieta i co piąty mężczyzna po 65. roku życia ma osteoporozę, która powoduje złamania, prowadzące do niepełnosprawności. Często nie jest ona w ogóle leczona, mimo że jedno złamanie kości jest czynnikiem ryzyka kolejnego, a aż 20 proc. kobiet i 30 proc. mężczyzn umiera w ciągu pierwszego roku po złamaniu biodra. – Dla części starszych pacjentów, którzy nie mogą z różnych powodów stosować standardowej terapii, konieczne jest leczenie biologiczne. Dobrze tolerowany lek podawany podskórnie, raz na pół roku, jest jednak refundowany tylko dla kobiet, w dodatku po spełnieniu wielu wyśrubowanych kryteriów. Mężczyźni zaś w ogóle nie mogą dostać go w refundacji, nawet jeśli doszło u nich do złamania i są narażeni na kolejne – mówiła prof. Marcinowska-Suchowierska.

CO NA TO MINISTERSTWO?

Obecny podczas konferencji wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski tłumaczył, że decyzje o refundacji nowych leków są podejmowane po dogłębnych analizach. – Podejmujemy trudne decyzje: czy przeznaczyć pieniądze na choroby rzadkie, gdzie terapia dla 50–100 chorych może kosztować tyle samo co poprawienie dostępu do opieki specjalistycznej dla 20 tys. chorych z niewydolnością serca. Staramy się decyzje wypośrodkować – mówił. Podkreślał, że PKB Polski jest niższy niż w wielu innych krajach UE, co firmy farmaceutyczne powinny brać pod uwagę przy negocjowaniu cen. Zapewniał też, że Ministerstwo Zdrowia chce poprosić Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji o powtórne przeanalizowanie części leków, które już od dawna znajdują się w refundacji, gdyż być może nie są one tak efektywne, jak się wydawało. Zaoszczędzone pieniądze można by wydać na nowe terapie.

– Jako kardiolog doskonale znam zalety nowych leków przeciwcukrzycowych, które jednocześnie są lekami kardiologicznymi. Wiele nowoczesnych leków warto byłoby zastosować, to dobra inwestycja, jednak nasze nakłady na ochronę zdrowia są ograniczone. Staramy się jak najlepiej gospodarować tymi środkami, jakimi dysponujemy – podkreślał dr n. med. Radosław Sierpiński, doradca ministra zdrowia

i pełnomocnik ds. utworzenia Agencji Badań Medycznych.

SKĄD PIENIĄDZE NA TERAPIE

W ostatnich latach leczenie wielu chorób w Polsce się poprawiło: w refundacji znalazło się wiele nowych leków, np. w raku płuca, piersi, prostaty, nerki, czerniaku, białaczkach, stwardnieniu rozsianym, niektórych chorobach rzadkich. Wciąż jednak pojawiają się skuteczne nowe terapie wydłużające życie i poprawiające jego jakość. Ekspert starali się doradzić, jak poprawić funkcjonowanie systemu ochrony zdrowia, by znaleźć oszczędności i udostępnić chorym efektywniejsze leczenie.

Doktor Bazan-Socha zwróciła uwagę na to, że wiele osób nie odwołuje wizyt u lekarza, podczas gdy na ich miejsce mógłby przyjść inny chory. Oszczędności mogłyby też pojawić się dzięki lepiej zorganizowanemu leczeniu. – Często pacjenci są niepotrzebnie kładzeni do szpitala, koszty byłyby niższe, gdyby leczenie odbywało się w przychodniach. Poprawiłoby też sytuację stworzenie elektronicznego konta pacjenta z zapisaną całą historią choroby. Dzięki temu nie powtarzalibyśmy niepotrzebnie wielu badań – mówiła dr Małgorzata Gałązka-Sobotka z Uczelni Łazarskiego. Oszczędności przyniosłoby też wprowadzenie koordynowanego leczenia – nie tylko w niewydolności serca i po zawale, lecz także nad pacjentami np. z cukrzycą, chorobami zapalnymi, nowotworami. – Niezbędna jest też edukacja chorych: w diabetologii wiele zależy od pacjenta, jednak on potrzebuje pomocy np. w schudnięciu, dlatego porada dietetyczna powinna być refundowana. Warto za to byłoby zastanowić się, czy konieczna jest aż w takim stopniu refundacja pasków do mierzenia poziomu glukozy – zastanawiał się prof. Franek.

Ekspert podkreślał też, że konieczne jest skuteczne leczenie jak najszybciej po zdiagnozowaniu choroby, co zapobiega powikłaniom. – A pacjenci powinni przestrzegać zaleceń lekarza nie tylko co do przyjmowania leków, lecz także stylu życia. Ważne jest np. rzucenie palenia – zaznaczała Aleksandra Rudnicka z Polskiej Koalicji Pacjentów Onkologicznych. Wiceminister Miłkowski dziękiował za przedstawione propozycje i podkreślił, że nad wieloma z nich resort zdrowia już pracuje. Pytanie tylko, kiedy zostaną wprowadzone w życie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

GRZECY PIASTÓW

Święty gromi króla sodomitę



JACEK KOMUDA

Święty Stanisław, zabity przez króla Bolesława Szczodrego prawdopodobnie 11 kwietnia 1079 r. w kościele na Skałce w Krakowie, jest zakładnikiem polskiej historii. W zależności od tego, czy Polska była wolna, pod zaborami, komuną albo walczącą o wyzwolenie, biskupowi imputowano: spisek przeciwko królowi, przygotowywanie buntu możnych albo przeciwnie – uznawano go za człowieka, który wystąpił przeciwko okrutnej tyranii. Niektóre źródła historyczne pokazują zaś, że jego sprzeciw zyskuje jeszcze jeden, całkiem współczesny wymiar.

Konflikt rozegrał się tak: po powrocie z wyprawy na Ruś król Bolesław, jeszcze zwany Szczodrym, skazał bp. Stanisława na obcięcie członków. Gall Anonim podaje, że za zdradę, ale jak zwykle tłumaczenie jego kroniki wywołuje burzę wśród historyków. Chodzi o to, czy łacińskie słowo „traditor” („zdrajca”) znaczyło w XI w. człowieka zdradzającego króla i kraj, czy też sformułowanie to oznacza tylko zwykłego buntownika przeciw władzy. Zwłaszcza że prawdziwych zdrajców Anonim określał zwykle słowem „proditor”. Tadeusz Wojciechowski uznał św. Stanisława za buntownika narodu, a Tadeusz Grudziński postawił tezę, że przyczyną konfliktu było ograniczenie władzy biskupstwa krakowskiego. Tak czy owak św. Stanisław zagroził królowi rzuceniem klątwy lub też go ekskomunikował. W odpowiedzi władca skazał go na obcięcie członków, do czego jednak nie doszło. Wówczas rozwścieczony Bolesław Szczodry albo jego towarzysze dopadli biskupa w kościele na Skałce i zabili go w trakcie odprawiania mszy. Dopiero później jego ciało zostało rozcłonkowane, aby zrosnąć się w całość w cudowny sposób. Na skutek postępu króla wybuchł bunt i Szczodry musiał uchodzić na Węgry.



FOT. WIKIPEDIA

Jaka naprawdę była przyczyna zabójstwa? Gall Anonim nabiera wody w usta, dopiero późniejsze kroniki podają, że w czasie wyprawy na Ruś Bolesław został opuszczony przez rycerzy, którzy zbyt długo nie byli w domu. Ponadto okazało się, że ich żony i córki dopuściły się zdrad, łącząc się z niewolnymi i sługami, za co król je ukarał, każąc przystawiać do piersi szczeniaki i – być może – pozabijać dzieci zrodzone ze zdrady. Te okrucieństwa nie spodobały się biskupowi, który najpierw napominał władcę, a potem rzucił na niego klątwę.

Dzięki badaniom jego czaszki, które przeprowadzili w 1963 r. prof. Jan Olbrycht i dr Marian Kusiak, wiemy, jak został zabity. Najprawdopodobniej stało się to w czasie odprawiania mszy – gdyż czaszka na potylicy nosi ślady wgniecenia biegnące od góry ku dołowi: „charakterystyczne dla działania urazów zadanych narzędziem tępokrawędzistym. Ścisłe określenie użytego narzędzia jest niemożliwe”. Wygląda na to, że św. Stanisława nie zabito mieczem, lecz raczej toporem, kiedy zwrócony twarzą do ołtarza odprawiał mszę w kościele na Skałce.

Jest jeszcze jeden aspekt konfliktu między królem a biskupem, który

historycy zwykle albo pomijali, albo też uważali za oszczerstwa kronikarzy. Otóż św. Stanisław piętnował cielesne występki króla, a mianowicie biseksualizm lub homoseksualizm Szczodrego w czasie pobytu w Kijowie. Jak pisze Jan Długosz: „Nie poprzestając na zwykłych miłostkach, popadł w haniebną i plugawą grzech sodomski, naśladując godne potępienia zwyczaje Rusinów, u których to zбочenie było pospolite. Najpierw zaczęli okazywać królowi pogardę własni poddani, Polacy, potem Rusini, choć naśladował ich rozpustne obyczaje”. Co gorsza, król po powrocie „nie tylko nie zaniechał swego sprośnego, zwierzęcego, przeciwnego naturze nałogu, w który popadł na Rusi, lecz się w nim jeszcze więcej pograżał. [...] Biskup Stanisław nie mógł dłużej ścierpieć pogłębiającej się stale przykryj i trudnej do zniesienia surowości i coraz większego pograżenia się w sprośnym występku króla polskiego”.

Długosz pisał swoje słowa prawie 500 lat po tych wydarzeniach. Jednak jego poprzednicy wcale nie są bardziej powściągliwi. „Porzuciwszy zamięłowanie do cnót, pograżał się we wszelakich występkach, a ulegając niecnym skłonnościom, jak koń i muł, który nie ma rozumu, ogarnięty złością i niegodziwością zamienił chwałę swoją na hańbę, a naturalny sposób życia na taki, który sprzeczny jest z naturą” – pisał Wincenty z Kielczy w XIII w. w „Żywocie św. Stanisława”. Homoseksualne skłonności króla potwierdzał także Franciszek Sielicki, który pisząc o tym w 1997 r., nie musiał gryźć się w język i podał, że król naśladował „godne potępienia zwyczaje Rusinów, u których to zбочenie było pospolite”. Święty Stanisław stał się zatem pierwszym polskim duchownym walczącym z agresywnym homoseksualizmem promowanym przez władzę królewską. Pokój jego duszy. ©

INDYJSKA PRZEKĄSKA OD GWIAZDY BOLLYWOOD

Ponieważ gram w filmach Bollywood, ludzie często pytają mnie o kuchnię indyjską. Prawda jest taka, że nie udało mi się z nią zbyt zaprzyjaźnić. Przede wszystkim dlatego, że jest dla mnie zdecydowanie za ostra. Poza tym w Indiach od samego rana je się ciężkie, smażone na głębokim oleju potrawy, do czego my w Europie nie jesteśmy przyzwyczajeni. Krótko mówiąc, kuchnia indyjska nie jest moją ulubioną, ale jest w niej kilka pozycji, które bardzo lubię. Jedną z nich jest samosa. Samosa to najbardziej znana hinduska przekąska, ciasto wypełnione wegetariańskim lub mięsnym nadzieniem, smażone w głębokim tłuszczu. Przypomina trochę nasze pierogi, ale w cieście bardziej podobnym do francuskiego.

Wegetariańska samosa

Ciasto:

- 230 g mąki tortowej
- 60 g oleju rzepakowego
- woda
- sól

Farsz:

- 8 ziemniaków
- 100 g zielonego groszku
- 2 łyżki nasion kolendry
- cebula
- 2 papryczki chili
- olej roślinny
- sok z cytryny
- 2 łyżeczki świeżego imbiru
- 2 łyżeczki przyprawy garam masala
- 2 łyżeczki soli

Przygotowanie:

W dużej misce mieszamy mąkę z łyżeczką soli. Na dnie robimy miejsce na olej, wlewamy go tam, a potem nabieramy na jedną dłoń mąkę, drugą zanurzamy w oleju, a następnie wcieramy olej w mąkę. Kiedy już porcja po porcji cała mąka zmieszana się z olejem, dolewamy 6–7 łyżek wody i dokładnie mieszamy. Następnie wyjmujemy ciasto z miski i ugniatamy ok. 10 min. Dajemy mu odpocząć i bierzemy się za farsz.

Na rozgrzany na patelni olej wrzucamy nasiona kolendry (smażymy je do zbrązowienia), następnie drobno posiekane cebulę i imbir. Po kilku minutach dodajemy ugotowane i pokrojone w dość drobną kostkę ziemniaki oraz ugotowany zielony groszek. Po ok. 10 min zdejmujemy patelnię z ognia, dokładamy pozostałe składniki i mieszamy.

Wyjmujemy ciasto, dzielimy na pół, rozwałkowujemy i każdą połówkę dzielimy na osiem części.

Formujemy kulki, następnie każdą rozwałkowujemy na kilkunastocentymetrowe placki i dzielimy jeszcze na pół. Ciasto sklejamy wzdłuż prostego brzegu, do środka wkładamy farsz i sklejamy górę stożka. Smażymy na głębokim tłuszczu przez ok. 12 min, co jakiś czas obracając. Możemy podawać z mięsowym sosem.

© *oprac. raw*
Natalia Janoszek
*jest aktorką,
gwiazdą
Bollywood,
modelką.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Prawdziwa bagietka

Bagietka z piekarni Vincenta kosztuje 5,5 zł i uchodzi za najbardziej luksusową bułkę w Warszawie. Jest smaczna, o ile zjesz ją wcześniej w dniu upieczenia. Już wieczorem robi się półczerstwa, następnego dnia jest tak twarda, że można nią wbijać gwoździe. Nie wiem, jaką technologię stosuje Vincent, ale wiem, że prawdziwe bagietki w Paryżu można jeść także następnego dnia – nie są już tak dobre ani świeże, ale w odróżnieniu od swego polskiego odpowiednika nie twardnieją na kamień.

W pracach sprzed transformacji mieliśmy bułkę tzw. paryską – na szczęście nie wyginęła całkowicie, ale jest gatunkiem coraz trudniejszym do zdobycia. Co ciekawe, w niczym, poza nazwą, nie przypominała francuskiej koleżanki. Była krótsza, bardziej objętościowa, miała dużo smacznego białego miąższu. W latach 90. nasza odwieczna tęsknota za francuskością wygenerowała liczne odmiany pseudobagietki. Z różnym skutkiem, ale na ogół była to swojska podróbka flagowego produktu Francuzów.

Pierwowzór to żelazna podstawa francuskiej kuchni, obiekt narodowego kultu. „Diner sans baguette?” („Kolacja bez bagietki?”) – nie do pomyślenia. Codziennie ok. godz. 18 w lokalnych piekarniach całego kraju ustawiają się kolejki, a na ulicach widać ludzi niosących podłużny kształt. Swoją wąską i długą kształt bułka zawdzięcza żołnierzom armii Napoleona – łatwo ją było włożyć

do kieszeni wojskowego munduru. Standardy wypieku są we Francji bardzo wyśrubowane. W 1993 r. wobec galopującego uprzemysłowienia, ekspansji supermarketów z mrożonym pieczywem wydano „dekret chleba”, który precyzuje technologię wypieku bagietek. Nie można wrzucić tam byle czego.

Prawdziwa bagietka to: mąka, woda i drożdże.

Mąka bez żadnych chemicznych przyspesczaczy ani dodatku glutenu, co sprawia, że ciasto szybciej się piecze. Wyrabiać trzeba długo i starannie, rosnąć ciasto ma długo. No i żadnego mrożenia! Prawdziwa bułka ma być



świeża. Od lat w Paryżu ogłasza się konkurs na najlepszą bagietkę roku. Zwycięzca otrzymuje przywilej zaopatrzenia Pałacu Elizejskiego. W tym roku wygrał Mahmoud M'seddi, piekarz w drugim pokoleniu. Co dzień rano pojawia się przy pałacu prezydenckim z koszem 20 bagietek.

Nasze bułki z supermarketów nie mają wiele wspólnego z oryginałem. Nie martwmy się tym. Rekompensuje to żytne pieczywo na zakwasie, polska znakomita specjalność, której liczne odmiany zadowolą najbardziej wybrednych. Chyba tylko Niemcy mają równie smaczny chleb. ©

KOENIGSEGG JESKO WYPRZEDANY

Koenigsegg Jesko ma być najszybszym seryjnie produkowanym samochodem świata. Dzięki podwójnie doładowanemu pięciolitrowemu silnikowi V8 auto dysponuje mocą aż 1298 KM. Prędkość maksymalna wynosi 482,8 km/godz. Niezwykła jest również dziewięciobiegowa skrzynia, która ma aż sześć sprzęgieł. Chociaż kosztujące równowartość ok. 12 mln zł auto trafi do produkcji dopiero pod koniec przyszłego roku, to już sprzedano wszystkie 125 egzemplarzy. Nabywcy muszą uzbroić się w cierpliwość: z taśmy montażowej ma zjeżdżać jedna sztuka tygodniowo.



PORSCHE W OFENSYWIE

BMW X6, Mercedes GLE Coupé oraz Audi Q8 mają poważnego konkurenta. Założona przez Ferdinanda Porschego firma pokazała bowiem właśnie swoją propozycję dla bogatych miłośników SUV-ów à la coupé. Porsche Cayenne Coupé ma niemal 5 m długości oraz rozstaw osi wynoszący 2895 mm. Auto ze ściętym dachem zostało wyposażone w umieszczony nad linią świateł aktywny tylny spojler, który wysuwa się przy prędkościach powyżej 90 km/godz., zwiększając docisk tylny osi.



Bagażnik w podstawowej wersji oferuje ponad 600 l, a po złożeniu tylnej kanapy jego pojemność rośnie do 1540 l. Nowy model jest oferowany z dwoma silnikami. Pierwszy, mocniejszy, to czterolitrowy silnik V8 turbo o mocy 550 KM i momencie obrotowym wynoszącym aż 770 Nm, który rozpędza cayenne coupé od zera do pierwszej setki w zaledwie 3,9 s. Prędkość maksymalna w tym wariantcie wynosi 286 km/godz. Druga jednostka – 3-litrowy silnik V6 turbo o mocy 340 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 450 Nm – pozwala na sprint od 0 do 100 km/godz. w ciągu 6 s. Auto można rozpędzić do 243 km/godz. Ceny nowego SUV-a dla bogatych chłopców (choć pewnie w tej wersji raczej dla bogatych dziewczynek) zaczynają się od 411 tys. zł.

PIERWSZA SUPRA JUŻ GOTOWA

Piękny, pokryty szarym, matowym lakierem pierwszy egzemplarz produkcyjnej wersji Toyoty GR Supry piątej generacji zjechał już z taśmy montażowej w austriackim mieście Graz. Na pokrywie silnika auta z czerwonymi lusterkami bocznymi oraz z czerwonym wnętrzem znalazł się autograf prezesa



Toyota Motor Corporation Akio Toyody. Pierwszy egzemplarz został sprzedany podczas aukcji charytatywnej za 2,1 mln dol. Oficjalnie sprzedaż tego modelu rozpocznie się już wkrótce.

NAJDROŻSZE FERRARI W HISTORII?

Po czterech latach prac legendarny włoski producent samochodów zbudował P80/C. Auto wykonane w całości z włókna węglowego powstało w jednym egzemplarzu dla „konesera świata Ferrari” z Hongkongu. Każdy element tego modelu – od fotela przez rozmieszczenie przycisków do rozmiaru i kształtu bocznych drzwi – zaprojektowano pod konkretnego kierowcę. Zarówno parametry techniczne, jak i cena tego cudownika pozostają tajemnicą. Szacuje się jednak, że koszty wyprodukowania od nowa jednego egzemplarza były astronomiczne. ©©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (x6)

KAŻDY PIĄTEK 19:45

**NOWY
PROGRAM**

PREMIERY



MAGAZYN FILMOWY PIOTRA GOĆKA

KINO



DVD ♦ BLU-RAY ♦ STREAMING

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Miernik absurdów

Prima aprilis stał się uniwersalnym narzędziem pozwalającym mierzyć postępy absurdów przenikających za pośrednictwem „nowoczesnych” ideologii do świata nauki, mediów i polityki. To, co jeszcze do niedawna mogłoby uchodzić za primaaprilisowy żart, jest już uznaną w świecie akademii teorią lub elementem oficjalnej polityki państwa.

Przecież jeszcze parę lat temu, gdyby 1 kwietnia powiedzieć komuś, że o poziomie naukowym książki w Polsce nie będzie decydować jej treść, ale miejsce wydania, można by podejrzewać w tym momencie wyszukany żart. Tymczasem od stycznia tego roku, za sprawą ministerialnej listy wydawnictw odpowiednio punktowanych, taka zasada już obowiązuje w świecie polskiej nauki. Nie jest ważne, co napiszesz, tylko gdzie to wydasz.

Trzeba przyznać, że wysiłki Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego i tak są niczym w porównaniu z „osiągnięciami” zachodniego świata naukowego w ściganiu się na absurdy z żartami primaaprilisowymi. Co powiedzą państwo na „feministyczną glaciologię”, dynamicznie rozwijającą się dyscyplinę na niektórych amerykańskich uniwersytetach?

Sowite granty idą na badanie zjawisk typu „lodowce a prawa kobiet”. Do niedawna byłby to świetny prima aprilis. Tymczasem w 2016 r. grupa badaczy z University of Oregon opublikowała wynik swoich prac finansowanych z wielomilionowego grantu przyznanego przez amerykańską National Science Foundation (odpowiednik Fundacji Nauki Polskiej) nad „genderowo ukierunkowaną” glaciologią. Amerykańscy naukowcy stwierdzili m.in., że „istotnym, a pomijanym aspektem ludzkiego wymiaru lodowców i zmian w globalnym klimacie jest relacja między lodowcami a gender”. W związku z tym, jak zalecają naukowcy z Oregonu, w dalszych badaniach nad lodowcami pilnie trzeba zwrócić uwagę na takie pojęcia, jak „władza, sprawiedliwość, nierówność i produkcja wiedzy w kontekście lodu, zmian zachodzących w lodowcach i glaciologii”.

Inne ustalenie dotyczy poważnych błędów metodologicznych w dotychczasowych badaniach glaciologicznych, które w zbyt dużym stopniu polegały „na wiedzy pochodzącej z perspektywy nauk przyrodniczych”, co wiodło do „zmarginalizowania głosu kobiet i kultur na całym świecie,

które żyły w świecie lodowców”. Na tym jednak nie zatrzymywała się dociekliwość naukowców. Jako jedno z ważniejszych ustaleń swojego projektu uznali konstatację, że to „struktury władzy i dominacji stymulowały również pierwsze, na dużą skalę, wiercenia rdzenia lodowców”. W tym przypadku mamy więc do czynienia z „archetypicznymi maskulinistycznymi projektami”.

Ale co tam lodowce! Ileż ukrytych w sobie treści mają stoki narciarskie. Wiemy to dzięki badaniom nad „konstruowaniem zmaskulinizowanych przestrzeni sportowych”, podjętym przez dr. Marka Stoddarta z Memorial University w Nowej Fundlandii (Kanada). Ten uczony mąż w artykule opublikowanym w uznanym czasopiśmie naukowym stwierdził po długich badaniach, że do tej pory „za mało uwagi poświęcono kwestii, jak bardzo społeczna konstrukcja krajobrazu kształtuje relacje władzy napędzane kwestią płci”. Kanadyjski, hm, naukowiec nie ma bowiem wątpliwości, że „krajobraz wysokogórski jest miejscem uprawiania atletycznej, szukającej ryzyka maskulinizacji”, a „poprzez zjazd na nartach, uczestnicy konstruują znaczenie płci i miejsca, uprzywilejowując zmaskulinizowane wersje sportu”.

Nie wiem, czy „International Review for Sociology of Sport”, w którym Stoddart opublikował w 2011 r. te rewelacje, jest na tzw. liście filadelfijskiej (wysoko punktowanych czasopism), wskazywanej przez nasze ministerstwo nauki jako najlepsze miejsce do publikacji tekstów (punkty, czyli granty, czyli większe pieniądze). A może by tak napisać artykuł pt. „Żart primaaprilisowy jako wyraz dominacji maskulinistycznego kodu kulturowego” i wysłać go gdzieś do USA lub Kanady? Byłbym wtedy innowacyjny i punktotwórczy. A przecież o to chodzi w nauce. Żart? ©©

Nie bój się, głupia, przecież jestem gejem!



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

O Lechu należy
zawiadomić FBI

Mnie się wyobraziło samo (za co najmocniej przepraszam), że on na oczach świata, przed kamerami ściąga nagle z siebie taką jakby gumową maskę, ale właściwie to powłokę, a pod spodem (o ty zgrozo, ty jedna ty!) Obcy, ale taki całkiem z obcej planety, z czułkami i z takimi wielgaśnymi oczami. No horror!

Żeby to tylko nie było profetyczne czy coś. W każdym razie w przypadkach takich wątpliwości należy powiadomić FBI. Koniecznie! Ja nie wiem, czy państwo pamiętają, ale amerykański pisarz science fiction Philip K. Dick (świeć, Panie, nad jego książkami) przetań już szlak i poinformował już raz FBI w sprawie pewnego też Polaka. Ten Polak nazywał się Stanisław Lem.

Dick do dziś jest uznanym i czytany chętnie pisarzem. I on powziął, ten Dick, podejrzenie graniczące z pewnością, po dogłębnej analizie tekstów i wypowiedzi Lema Stanisława, że nie ma żadnego Lema człowieka, że to jest jakiś taki twór, tak, twór, i to zapewne komunistyczny! Dick był całkiem pewien, że jedna osoba nie może tyle prowadzić narracji, tyle poruszać spraw dziwnych, tak dziwnie pisać, no nie da się mieć tyle wcieleń i już. Poinformował FBI i już. No akurat w tym przypadku to FBI tak za bardzo się do pracy nie przyłożyło.

Ale ja tu nie o tym. Ja tu przecież o Lechu Wałęsie naszym. Niektórzy mówią, że to bardzo dobrze, że naszym, a inni mówią z kolei, że to bardzo niedobrze, że naszym. Taki niejednoznaczny

jest po prostu. Lechowi Wałęsie, przynajmniej uczciwie, zdarzyło się już parę razy powiedzieć coś kontrowersyjnego. Tak dokładnie to kilkadziesiąt milionów razy mu się zdarzyło, ale przecież nie chodzi tu o skrupulatność, tylko o wydźwięk ogólny.

A teraz ostatnio, jak powiedział, to świat wstrzymał dziurę ozonową. Lech Wałęsa powiedział: „Na innych galaktykach są trzy razy wyższe poziomy rozwoju intelektualnego. My jesteśmy najniżej. Wyższa cywilizacja przyjeżdża, przygląda się, »Co oni tu wyprawiają?«. Jak zagrozimy destabilizacją, Putinem, atomem, oni nam przeszkodzą, przetną na pół, Ziemia się zwinie, wszystkich nas zgniecie”.

Uuu! Przepraszam, ale jestem wciąż pod takim wrażeniem, że muszę powtórzyć. Uuu! Zwykły człowiek by tego nie wymyślił, a jakby nawet wymyślił, to przecież by nie powiedział. Nawet człowiek z Noblem też by nie powiedział. Bo skąd by wiedział? Stąd ta obawa, że Lech może po prostu zdjąć wreszcie tę maskę i wtedy się okaże, że to wysłannik obcej cywilizacji przeprowadzał nas przez te meandry historyczne z takim humorem i takimi akurat teczkami nie z tej Ziemi po prostu.

Może tak być, ale nie jestem tego pewien, a sprawdzać przecież nie będę. No co? Mam podejść i ciągnąć Pana Lecha za maskę? Na litość Światowida, czy państwo poszaleli? Trzeba to zlecić FBI. Tylko po cichu, żeby nikt o tym nie pisał czy coś. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Wielka nuda
Wielkiego Brata

Nostalgia to jedno z najwydajniejszych paliw marketingowych XXI w. I choć od ponad 2,5 tys. lat jako ludzkość wiemy, że nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki, to coś stale nas kusi. Jakiś demon nad głową podszeptuje, że to, co bawiło wczoraj, bawić będzie tak samo dzisiaj. Wracają „kultowe” konsole, gry, logotypy, marki, muzyka, relaksy i szklane butelki Coca-Coli. A wraz z nimi z telewizyjnych archiwów wyłazą odgrzewane formaty dawnych rozrywkowych hitów. Zgodnie z tą nieubłagłą logiką po 10 latach przerwy, a 18 od czasu pierwszej edycji, grupa TVN postanowiła raz jeszcze uraczyć Polaków uwspółcześioną odsłoną domu Wielkiego Brata. A ponieważ popkulturę kocham niemal tak samo jak polską politykę i frytki, obejrzałem dla państwa kilka odcinków. Głównie po to, żebyście wy nie musieli.

Predzierając się przez kolejne godziny transmisji „widowskiej” reklamowanego jako wejrzenie w psychikę ludzi, którzy przez trzy miesiące nie będą w stanie „utrzymać dziubka”, a odcięci od Internetu z nudów roznieglizują się przed nami fizycznie i emocjonalnie, poczułem się jak jeden z uczestników „Big Brothera”, który na własne życzenie opuścił program. „Moja dusza tutaj umiera” – stwierdził góral kulturysta, przez Pudelka określany jako „chrześcijański hodowca owiec”. W przypływie ewangelizacyjnego zapału próbował on nawet tworzyć

improvizowane kursy biblijne, nauczając o rozwodach i etyce seksualnej Kościoła, ale po jakimś czasie odbijając się od ściany, po prostu wymiękł. I ja razem z nim. Nie dlatego, że uniosłem się w jakimś porywie purytanizmu, furkając na zgorzniecie lejące się z ekranu telewizora i płatnych streamów bez cenzury (reklamowanych hasłem: „Wejdz z butami w cudze życie”).

Wymiękłem, ponieważ nowy „Big Brother” jest tak nudny jak oglądanie ziemniaków gnijących w piwnicy. To, co było siłą pierwszej edycji – naturalność uczestników, swoistych everymanów początku polskiej transformacji – stało się antytezą castingu obecnej edycji. Wymuskani, plastikowi, mówiący wprost, że marzą o byciu celebrytami, za najistotniejszy element swojej tożsamości uznający weganizm. Pokazujący dupę do kamery w pierwszym odcinku, przewidywalni, podobni do siebie, ocierający się o banał archetypów słodkich blondynek i wysportowanych półgłówków. Przepraszam za dosadność, ale właśnie tak nieporównywalnie wydają mi się bohaterzy widowiska, którzy siłą rzeczy na starcie wymiękają w turnieju obciachu z uczestnikami np. „Warsaw Shore”. Skoro nie obsceną „Big Brother” powinien przyciągać zatem osobowościami. Tylko jak się mam bawić oglądaniem reality, gdy nawet prowadzący wydają się ziewać z nudów w wieczornych łączeniach z „domem banałów”? ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Pomnik **wyklety**

KRZYSZTOF MIESZKOWSKI: *W ten sposób ci dwaj chłopcy oswajają się z tą przestrzenią i powinni się oswajać.*

Politycy i komentatorzy prześcigają się w usprawiedliwianiu chłopców, którzy zrobili sobie z pomnika upamiętniającego 96 ofiar największej katastrofy w powojennej Polsce rampę do ćwiczeń; są już nawet chętni do powtórzenia ich bohaterstwa wyczynu.

Gdy 10 lat temu nastolatka wrzuciła na Facebooka swoje zdjęcie w piecu krematoryjnym na Majdanku, nikt nie mówił, że w ten

dziewczynki, ewidentnie bezmyślnej, ale przecież szkodę wyrządziła tym tylko sobie.

Gdy trzy lata temu inny nastolatek wrzucił na portal społecznościowy zdjęcie swojego wystawionego w obraźliwym geście środkowego palca skierowanego w stronę pomnika Walki i Męczeństwa na Majdanku, został błyskawicznie namierzony przez internautów i wyrzucony ze szkoły, a prokuratura wszczęła postępowanie w kierunku możliwości popełnienia przez niego przestępstwa znieważenia pomnika lub innego miejsca pamięci.

Niecały rok temu wrocławski sąd zajmował się sprawą sześciu młodych ludzi oskarżonych o znieważenie pomnika rtm. Pileckiego, polegające na zrobieniu sobie na nim radosnego zdjęcia i umieszczeniu go w Internecie. Młodzi ludzie musieli odejść z pracy, a ich sprawa trafiła do sądu, który uznał ich winę, choć odstąpił od wymierzenia kary. „Oskarżeni nie wiedzieli, na czym pomniku się wygłupiają, ale musieli się domyślać, że to miejsce ważne i upamiętniające kogoś ważnego w historii Polski. Choćby dlatego, że widzieli tam udekorowane biało-czerwonymi szarfami wieńce i wiązanki kwiatów” – tak w ustnym uzasadnieniu sędzia tłumaczył wyrok, przyznając, że czyn nie miał

charakteru chuligańskiego, był jedynie efektem złego zachowania, ale i tak zasługuje na reakcję państwa.

Taką już mamy kulturę – miejsca pamięci raczej szanujemy i dobrze byłoby, aby tak zostało. Mam nadzieję nie doczekać czasów, kiedy kolejne pokolenia młodzieży będą przy akceptacji polityków i komentatorów „oswajać się z przestrzenią” pomnika Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, który ma budowę jeszcze bardziej „atrakcyjną” do miejskich sportów.

Kogo my oszukujemy? Przecież tu nigdy nie chodziło o sam czyn ani o to, że młodzi. Gdyby to robili w każdym innym miejscu, nikt by się policji, która potraktowała ich bardzo łagodnie w porównaniu z innymi podobnymi przypadkami, nie czepiał. Chodzi o wbicie wszystkim do głowy, że ten jeden jedyny pomnik nie zasługuje na objęcie naszym kulturowym tabu, zresztą jazda po nim na deskorolce to i tak nic, wszak były już propozycje zbiorowego obsikiwania go. Jestem pewna, że i to dałoby się jakoś usprawiedliwić. Tylko czy ci wszyscy entuzjaści znieważania na wszystkie sposoby znienawidzonego pomnika pomyśleli choć przez chwilę, że to także miejsce pamięci Sebastiana Karpiniuka z PO i Natalii Januszko, bezpartyjnej? Nie chcę myśleć, jak się czują ich rodziny. ©

Kogo my oszukujemy? Przecież tu nigdy nie chodziło o sam czyn

sposób „oswajała się z tą przestrzenią”, a gdy policja wszczęła poszukiwania dziewczyny ze zdjęcia, żeby jej przedstawić zarzuty znieważenia pomnika, nikt jej nie krytykował za nadgorliwość. Pani prokurator zapowiadała w mediach, że gdy już dziewczynę dorwają i okaże się, iż ma ukończone 17 lat, wtedy za swój czyn odpowie karnie jak dorosła, a jeśli jest młodsza – zajmie się nią sąd rodzinny. Nie przypominam sobie żadnych tyrad w obronie

PODSŁUCHANE

Niby trochę tak, trochę nie

Grzegorz, a mówiłam ci, żeby jasno powiedzieć od początku, jak się odnosimy do tych aktów.

Gośka, jakich aktów? Znaczący – do ACTA dwa?

No, dwa akta. Mówię przecież. Jak dwa, to nie jedno, co nie?

Nieważne. Mniejsza z tym. I tak nikt nie wie, o co w tym chodzi.

To inna sprawa. No ale przecież nikt normalny nie rozumie prawie nic z tego, co tam ta Unia sobie wymyśla.

Ciszej trochę. Ostatnio złapałem jednego pismaka, jak pod moimi drzwiami próbował podsłuchiwać.

Tak czy owak, albo tak, albo nie.

A my niby trochę tak, trochę nie, potem znowu tak, a potem znowu nie. I na idiotów wyszliśmy.

Mam wrażenie, że to zemsta

Boniego. Za tę piątkę na liście. **Jak to?**

Tak to. Jak się dowiedział, że ma piątkę, i niby zrezygnował, to mi przysłał mejla, że nie ma żalu, pierdu-pierdu, a przy okazji doradza w sprawie dyrektywy, że niby mądrze podzieliłyśmy głosy, że dla każdego coś miłego i takie tam. Posłuchałem go, jak idiota.

No, to faktycznie. Jak idiota.

Ty się hamuj, Gośka, bo listy do Sejmu to jednak ja będę układał.

No! ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Na innych galaktykach są... jest trzy poziomy rozwoju intelektualnego. My jesteśmy najniżej”.

LECH WAŁĘSA podczas spotkania Klubu Obywatelskiego w Krośnie



foto: Jerzy Gumowski

Plotki warszawskie

Wiosną Warszawa zawsze huczy od plotek. Huczek ten eksploduje z reguły w pierwszym dniu miesiąca kwietnia (czyli dzisiaj — zobaczcie datę na okładce), i później rozlewa się po całej RP, budząc złość lub wesołość, jednak plotki zmierzające do tej kulminującej daty rodzą się wcześniej, już od początku marca. Niżej przedstawiam garść tych plotek. Wybrałem same prognostyczne (zapowiadające jakieś wydarzenia), selekcionując sprawiedliwie: 10 o Salonie (a więc z życia opozycji) i 10 o antySalonie (czyli o władzy i związanych z nią kręgach). Salon jako pierwszy:

TOTALOPPOSITION

- Władze Platformy obywatelskiej stanowczo zdementują pogłoski jakoby praca doktorska Grzegorza Schetyny (z politologii) była plagiatem wypracowania o historii dyplomacji napisanego przez Ryszarda Petru w dwunastej klasie szkoły podstawowej, podkreślając szczególną niestosowność używania słowa „plagiat”, bardzo niepolitpoprawnego odkąd „**Washington Times**” ujawnił, że praca doktorska Władimira Putina o planowaniu strategicznym została żywcem zerżnięta z wydanej w roku 1978 książki Kinga i Clelanda „**Strategic Planning**”.
- Obnażeniu ulegną bezwstydne praktyki młodego polskiego kleru, który w ostępach leśnych sika zbiorowo na krzyż ułożony z czekoladowych wafelków, skandując bluźnierstwa. Zostanie to nakręcone z ukrycia przez TVN i wyemitowane przez tę stację.
- Lech Wałęsa jeszcze raz przeklnie IPN, tym razem za to, że ta fałszerska instytucja, która na polecenie Kaczyńskiego fabrykowała tony dokumentów dotyczących młodego „**Bolka**”, złośliwie nie wyprodukowała świadectwa zdania przezeń matury, czy choćby „**małej matury**”.
- Jerzy Owsiak będzie za pomocą swojej Orkiestry zbierał fundusze na sprzęt chirurgiczny dla młodych pacjentów pragnących zmienić swą płć pod wpływem szkolnych lekcji wychowania seksualnego.
- Kandydatura Tomasza Lisa znowu zostanie zgłoszona do wyborów prezydenckich, tym razem przez polskie aktorki, które bojowymi wzmoczeniami politycznymi kompensują napięcia klimakteryjne.
- „**Gazeta Wyborcza**” ogłosi, że ze źródeł policyjnych dowiedziała się, iż „**Jaroslav Kaczyński jest zamieszany w kradzież**”, a kilka dni później wyjaśni, że napisała tak, ponieważ Kaczyńskiemu ukradziono służbowy samochód.
- Ryszard Petru mocno rozbuduje swą nową partię Teraz, dzięki milionowi złotych polskich wygranych przezeń w TVN-owskiej teleturniejowej audycji „**Milionerzy**”.



Julian U. Niemcewicz („**Plotki**”):

„*Nigdzie się plotki
Tak bujnie nie rodzą,
Nigdzie tak pięknie
Nie kwitną, nie wschodzą,
Nigdzie nie są w takiej sławie,
Jak tu w Warszawie*”



- Dorota Wellman zdobędzie, metodą perswazji, tytuły Miss World i Miss Universum, a Robert Biedroń tytuły Mister Universum i Gay-Pride Champion metodą obnażenia bez mówienia.
- Justyna Pochanke i Monika Olejnik zapiszą się do PiS-u, wzorem „**antykomunistów**”, którzy podczas PRL-u wstępowali do PZPR, żeby „**rozłożyć tę straszną partię od wewnątrz**”.
- Podczas seansu spirytystycznego w redakcji „**Najwyższego Czasu!**” endecy przywołają widmo Romana D., by wskrzesił ND i zarejestrował ją jako partię korzystając z prawnej pomocy kancelarii Romana G.

PISPOWER

- Państwowy boss (Andrzej Duda), razem ze związkowym bossem (Piotrem Dudą), powołają prezydencko-syndykatowe stowarzyszenie DUDA (DUŻA DARMOCHA) mające lobbować o 10 000+, 20 000+, a nawet 50 000+ dla figur ze świecznika przemęczonych codzienną ciężką harówką na rzecz szczególnie ubogich kręgów społeczeństwa, czyli figur ze śmietnika.
- Władze polskie pryncypialnie i kategorycznie potępia węgiel jako głównego zadymiarza planety oraz głównego sprawcę globalnego ocieplenia, deklarując dla pozbycia się „**carbonu**” z Polski nieodwołalne i systematyczne niszczenie naszych zasobów węgla ogniem, czyli metodą intensywnego spalania.
- Wojska Obrony Terytorialnej (WOT) zostaną wyposażone w broń jądrową, a konkretnie w małe Indywidualne Pociski Nuklearne (IPN), metodą zakupu przez Ministerstwo Obrony Narodowej (MON) odpowiedniej ilości młotków do rozbijania jąder.
- Toruńskie pierniki, smażone rydzyki, redemptorski gulasz i nalewka geotermalna znikną z menu jadłodajni sejmowej jako zakąski niestrawne i płynny ustrojowe szkodliwe dla zdrowia narodu.
- PiS-owska Komisja Sejmowa badająca szkalowanie PiS-u noszonym na brzuchu przez Lecha Wałęsę hasłem OTUA wyda werdykt, że wedle starego (Norwidowskiego) porzekadła „**ideał sięgnął bruku**”, lecz ponieważ bruków już dzisiaj nie ma — słowo „**bruk**” zostanie w orzeczeniu zastąpione wyrazem „**trOTUAR**”.

- Premier Mateusz Morawiecki przesiądzie się do rządowej limuzyny elektrycznej z akumulatorem niewyczerpywalnym wskutek napedu pedałowego (sprezentowanego przez Roberta Biedronia i Pawła Rabejka?).
- Podczas wakacji letnich ulegnie modernizacji figura konnego jeźdźcy stojąca na placu przed Pałacem Prezydenta RP. Z konia zostanie zdjęty książę Józef Poniatowski, którego zastąpi Lech Kaczyński.
- Historycy sympatyzujący z PiS-em oddadzą do sądu sprawę przeciwko niemieckiej telewizji ZDF planującej produkcję serialu „**Nasze pramatki, nasi praojcowie**” o powstańcach z Insurekcji Kościuszkowskiej, którzy przygotowując Warszawę do oblężenia przez armię pruską (1794) wymordowali wszystkich stołecznych Żydów.
- Magdalena Ogórek będzie nosiła burkę (zakryte całutkie ciało, łącznie z twarzą) lub przynajmniej nikab (odsłonięte tylko oczy), żeby nie wkurzać do stanu furii swą urodą pań opozycjonistek ulicznych (tych sprzed gmachu TVP albo sprzed Sejmu), chyba że zmieni imię na Grażyna i zostanie Miss Podkarpacia z woli tych samych wyborców, którzy nie stanowili jej elektoratu w wyborach prezydenckich.
- Izrael zorganizuje w Warszawie wielką Międzynarodową Konferencję dotyczącą Palestyńczyków (ściślej: „**palestyńskich terrorystów**”), na której Polaków będą mogli bronić dopuszczeni do stołu obrad przedstawiciele IPN, ale tylko ci, co uzyskają akredytację izraelskiego MSZ-u i przepustkę od pani ambasador Azari.
- Nie brak też plotek, które miast jednej czy drugiej strony barykady w „**wojnie polsko-polskiej**” dotyczą ogółu, całego społeczeństwa, całego państwa, są bowiem ogólnonarodowe, nadpodziałowe. Szkoda, że miejsce kończy mi się już — będę mógł tylko trzy takie zamieścić:
- Piłkarska reprezentacja III RP zdobędzie pierwsze miejsce na liście rankingowej FIFA (czyli o pięć miejsc wyżej niż w rankingu sprzed Mundialu 2018).
- Dla uczczenia wyzwoleniczej (dekomunizującej) roli NSZZ „**Solidarność**” środowisko LGBTQ zagrozi wytaczaniem procesów sądowych każdemu piętnującemu predylekcje erotyczne „**Legendarne kapelana «Delegata»**”, księdza Henryka Jankowskiego.
- Od 1 Maja lub 22 Lipca decyzją Knese-tu pani Georgette Mosbacher (ambasador USA nad Wisłą) będzie miała prawo dyscyplinować polskich dygnitarzy rządowych i opozycyjnych restrykcyjnymi „**notami dyplomatycznymi**” zawierającymi wartościujący/karący termin „**meszugene**”, a w przypadku recydywy stawiać niesfornego polityka do kąta przy wieszaku w przedpokoju swego gabinetu wewnątrz ambasady.
- Tyle na dzisiaj. Kolejna taka porcja plotek prognostycznych być może już za rok (jak dobrze pójdzie). ©©

Waldemar Łysiak

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
PAKIET KSIĄŻEK POŚWIĘCONYCH
ROCZNICY KATASTROFY SMOLEŃSKIEJ:
PRACA ZBIOROWA POD PATRONATEM
TYGODNIKA DO RZECZY:

„LECH KACZYŃSKI. ODWAGA I WIZJA”
„CZERWONA ZARAŻA”
„HEKATOMBA POLAKÓW”

~~655~~ zł



239,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
416 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl